

Elizabeth Gaskell

Panie z Cranford

Tłumaczyła

Aldona Szpakowska

Tytuł oryginału angielskiego:

CRANFORD

ROZDZIAŁ I

Nasza społeczność

A więc przede wszystkim Cranford jest we władaniu Amazonek; kobiety rządzą we wszystkich domach o nieco wyższym czynszu. Jeżeli jakaś małżeńska para przybędzie do miasta na stałe, dżentelmen — w ten czy inny sposób — znika. Albo wypłasza go fakt, że na wieczornych przyjęciach on jeden reprezentuje płęć brzydką, albo tłumaczy jego nieobecność służba w pułku lub na okręcie czy też zaangażowanie sprawami handlowymi, zmuszające do spędzania wszystkich dni tygodnia w wielkim handlowym mieście Drumble, położonym przy linii kolejowej i odległym od Cranford zaledwie o dwadzieścia mil. Jednym słowem, cokolwiek dzieje się z panami — tu ich nie ma. Bo i cóż by tu mogli robić, gdyby pozostali? Nasz doktor objeżdża pacjentów w promieniu trzydziestu mil i sypia w Cranford, ale nie każdy może być doktorem. Aby utrzymać strzyżone ogrody, pełne wspaniałych kwiatów, bez jednego chwastu; aby odstraszać małych chłopców, zawistnie spoglądających przez sztachety na rzeczone kwiaty; aby przepędzać gęsi wpadające czasem przez nie domkniętą furtkę do tych ogrodów; aby rozstrzygać wszystkie problemy literatury i polityki bez zamięczania się zbędnym rozumowaniem czy argumentacją; aby posiadać dokładną i nieomylną znajomość spraw każdego w naszej parafii; aby utrzymać schludne pokojóweczki w podziwu godnym rygorze; aby okazywać biednym dobroć (nieco po dyktatorsku), a sobie nawzajem świadczyć w złej godzinie rzeczywiste przysługi — na to w Cranford zupełnie wystarczą panie. „Mężczyzna — jak jedna z nich zauważyła w rozmowie ze mną — tak zawadza w domu!” Panie kranfordzkie wiedzą o każdym swym kroku, jednak żadna nie przejmuje się tym, co myśli druga. Każda z nich odznacza się silną indywidualnością — by nie rzec: dziwactwami — wszelkie słowne utarczki byłyby więc rzeczą naturalną, a jednak wciąż panuje wśród nich wielka życzliwość.

Jedynie od czasu do czasu zdarza się jakaś drobna sprzeczką, wypalająca się w paru ostrych słowach, w paru gniewnych ruchach głowy: wystarcza tego, by równy bieg ich życia nie stał się monotony. Stroje pań cechuje całkowita niezależność od mody. Powiadają: „Cóż to ma za znaczenie, jak się ubieramy tutaj, gdzie nas każdy zna?” A kiedy wyjeżdżają z domu, ich rozumowanie jest równie logiczne: „Cóż to ma za znaczenie, jak się ubierzemy tam, gdzie nas nikt nie zna?” Suknie ich są, na ogół biorąc, z materiałów dobrych, choć niepięknych, ale zaręczam, ostatni rękaw wydęty jak udziec barani, ostatnią obcisłą i skąpą spódnicę, noszoną w Anglii, oglądano właśnie w Cranford i spoglądano na nią bez uśmieszków.

Sama widywałam w słotne dni wspaniałą parasol rodzinny z czerwonego jedwabiu, rozpostarty nad spieszącą do kościoła łagodną drobniutką starą panną — jedyną dziś z licznego ongiś rodzeństwa. Czy macie w Londynie choć jeden czerwony parasol?

Żywe jest wspomnienie pierwszego, jaki kiedykolwiek oglądano w Cranford, czerwonego parasola. Mali chłopcy otoczyli go tłumnie, nazywając „kijem w spódnicy”. Mógł to być ten właśnie, który opisałam, trzymany silną ręką ojca nad gromadką dziatwy. Drobna pani, która przeżyła ich wszystkich, zaledwie dawała radę go utrzymać.

Istniały w Cranford zasady i przepisy, dotyczące wizyt i odwiedzin. Obwieszczano je każdej młodej osobie, jaka bawiła w miasteczku, tak uroczyście, jak uroczyście odczytuje się co roku na górze Tynwald stare prawa wyspy Man.

— Moja droga, przyjaciółki nasze zapytują, jak się czujesz po wczorajszej podróży (piętnaście mil, w wygodnym powozie). Jutro pozwolą ci wypocząć, ale pojutrze, bez wątpienia, odwiedzą nas. Bądź więc wolna po dwunastej — godziny składania wizyt są między dwunastą a trzecią.

A gdy wizyta już się odbyła:

— Dziś jest trzeci dzień. Myślę, że twoja mama pouczyła cię, moja droga, że należy oddać wizytę nie później niż po trzech dniach i że nie powinna ona trwać

dłużej niż kwadrans.

— Ale czy mam zerkać na zegarek? Bo skąd będę wiedziała, kiedy minie kwadrans?

— Musisz pamiętać o czasie, moja droga, nie wolno ci zapominać o tym w rozmowie.

Tak więc, skoro każdy miał tę zasadę w pamięci, czy to przyjmując gości, czy składając wizytę, oczywiście nie poruszałyśmy nigdy absorbujących tematów ograniczając się do zdawkowej potocznej rozmowy. I byłyśmy punktualne.

Myślę, że część dystygowanych mieszkanek Cranford była niezamożna i z trudem wiązała koniec z końcem, ale podobne do Spartan uśmiechem pokrywały ból. Nigdy nie mówiło się o pieniądzach, gdyż pachniałoby to handlem i rzemiosłem, a choć niektóre z nas zubożały, wszystkie należałyśmy przecie do wyższych sfer. Panie z Cranford odznaczały się owym życzliwym esprit de corps, który pozwalał im nie dostrzegać wszelkich niepowodzeń w próbach ukrywania niedostatku. Kiedy pani Forrester, na przykład, wydawała przyjęcie w swym maleńkim, jak dla lalki, mieszkanku i mała pokojóweczka przepraszała panie, siedzące na sofie, prosząc, by pozwoliły jej wydobyć spod spodu tacę z filiżankami, każda z nas przyjęła ową nowość w postępowaniu jako rzecz najzwyczajszą w świecie nie przerywając rozmowy o sposobie prowadzenia gospodarstwa i formach towarzyskich, tak jakbyśmy były wszystkie przekonane, że nasza gospodyni ma całe zastępy służby, gospodynię i klucznicę, a nie tę jedną, wziętą z przytułku dziewczyninę, której drobne, ogorzałe ręce nie miały siły przydźwigać na górę tacy bez ukradkowej pomocy pani, która teraz siedziała godnie, udając, że nie wie, jakie ciasto przysłano, chociaż wiedziała, i my wiedziałyśmy, i ona wiedziała, że my wiemy, i my wiedziałyśmy, że ona wie, że my wiemy, że cały ranek przygotowywała kanapki i ciasto biszkoptowe.

Z tego ogólnego, choć ukrywanego niedostatku i bynajmniej nie ukrywanego dobrego urodzenia wypływało parę konsekwencji obyczajowych, całkiem rozsądnych, które można by z wielką korzyścią przyjąć w niejednym kręgu

towarzyskim. I tak na przykład mieszkanki Cranford przestrzegały wczesnych godzin i już o dziewiątej postukując drewnianymi patynkami wracały do domu pod opieką latarnika, zaś o wpół do jedenastej całe miasteczko pogrążone było we śnie. Co więcej, uważano za rzecz wulgarną (a to słowo wielkiej wagi w Cranford) podawać na wieczornych przyjęciach kosztowne smakołyki czy napoje. Cieniutkie kromki chleba z masłem i ciasto biszkoptowe — to wszystko, czym podejmowała gości czcigodna pani Jamieson; była ona szwagierką świętej pamięci lorda Glenmire, a przecież łączyła „oszczędność z elegancją”.

„Oszczędność z elegancją”! Jak łatwo wpaść znowu w ton Cranford! Tam oszczędzanie było zawsze eleganckie, a wydawanie pieniędzy zawsze „wulgarną ostentacją”. Ta filozofia kwaśnych winogron sprawiała, że byliśmy spokojne i zadowolone.

Nigdy nie zapomnę, jaki niesmak odczuwano, kiedy do Cranford przybył niejaki kapitan Brown i otwarcie mówił, że jest biedny — nie zwierzał się z tego szeptem zaufanemu przyjacielowi, zamknąwszy przedtem drzwi i okna, ale na ulicy miasta, donośnym głosem wojskowego podawał swój brak pieniędzy jako przyczynę niewynajęcia pewnego domu. Panie kranfordzkie już jęczały z powodu najazdu, jakiego dokonał na ich tereny mężczyzna, i to w dodatku dżentelmen! Był on spensjonowanym kapitanem i dostał posadę na pobliskiej kolei, przeciw doprowadzeniu której do Cranford całe miasteczko niedawno protestowało. Jakby więc nie dość już tego, że był rodzaju męskiego, że związał się z tą obrzydłą koleją, posiadał jeszcze tyle bezczelności, że mówił o swej biedzie! Doprawdy, należałoby zerwać z nim wszelkie stosunki! Śmierć jest równie prawdziwa i powszechna jak ubóstwo, a przecież nie rozprawia się o niej głośno na ulicy. Było to słowo, którego nie wymawiało się w towarzystwie. Po cichu zgodziłyśmy się ignorować fakt, że kogoś, z kim utrzymujemy stosunki towarzyskie, ubóstwo mogłoby powstrzymać od uczynienia czegoś, na co miałyby ochotę. Jeśli szłyśmy na przyjęcie lub wracałyśmy z niego na piechotę, to dlatego, że wieczór był piękny lub powietrze orzeźwiające, a nie dlatego, że lektyka

kosztowała drogo. Jeśli chodziłyśmy w perkalu, a nie w jedwabiach, to dlatego, że wolałyśmy materiał do prania; i tak dalej. W końcu zaczęłyśmy zupełnie nie dostrzegać pospolitego faktu, że należymy, my wszystkie, do ludzi o bardzo ograniczonych możliwościach finansowych. Naturalne było zatem, że nie wiedziałyśmy, co począć z człowiekiem, który mówił o ubóstwie tak, jakby to nie była hańba. Jednakże kapitan Brown zdobył w jakiś sposób szacunek Cranford i składano mu wizyty pomimo odmiennych postanowień. Kiedy w rok po jego zamieszkaniu w Cranford przyjechałam tu w odwiedzinach, zdumiałam się słysząc, że przytaczano jego zdanie czy opinię i powoływano się na nie. Zaledwie przed dwunastu miesiącami moje przyjaciółki były najbardziej zagorzałymi przeciwniczkami składania mu wizyt; a teraz wpuszczano go do domu nawet w godzinach przedpołudniowych. Prawda, że zrobiono to w tym celu, by przed rozpaleniem ognia wykrył, dlaczego piec dymi, ale nie zmienia to faktu, że kapitan Brown poszedł na górę, zupełnie nie onieśmielony, mówił głosem zbyt donośnym jak na tak mały pokój i żartował zupełnie jak bywalec tego domu. Nie dostrzegał żadnych drobnych uchybień grzeczności ani zlekceważenia etykiety w sposobie przyjmowania go. Był przyjazny, gdy panie kranfordzkie okazywały mu chłód, w dobrej wierze przyjmował ironiczne komplementy i męską otwartością przewyciężył niechęć, z jaką traktowano człowieka, nie wstydzącego się swego ubóstwa. I wierzcie, jego wspaniały męski zdrowy rozsądek i łatwość wynajdywania środków zaradczych na różnorakie domowe kłopoty zapewniły mu niezwykłą pozycję: stał się autorytetem w społeczeństwie pań kranfordzkich. On sam kroczył dalej własną drogą, równie nieświadom swej obecnej popularności jak poprzednio odwrotnego stanu rzeczy. Zaskoczyło go zupełnie, gdy pewnego dnia przekonał się, że rady jego są wysoko cenione, a to, co powiedział w żarcie, przyjęte zostało na serio, z całą powagą.

Dotyczyło to następującej sprawy. Jedna starsza pani miała holenderską krowę, którą traktowała niemal jak córkę. Nie można tam było złożyć nawet krótkiej, pięciominutowej wizyty, by nie usłyszeć o cudownym mleku lub

cudownej inteligencji tego zwierzęcia. Całe miasto знаło holenderkę panny Betsy Barker i lubiło ją, toteż odczuwano współczucie i żal, gdy w chwili nieuwagi biedna krówka stoczyła się do dołu z wapnem. Stękała tak okropnie, że ją wkrótce usłyszano i pośpieszono z pomocą, ale biedne zwierzę zdążyło utracić większość sierści i gdy je wyciągnięto, było łyse, zziębnięte, żalosne, z zupełnie wyleniąłą skórą. Każdy współczuł krówce, ale nie każdy umiał powstrzymać uśmiech na jej widok. Panna Betsy zapłakiwała się z żalu i zgrozy. Mówiono, że zamierza próbować kąpieli w oliwie. Tę kurację zapewne zalecił ktoś, kogo pytano o radę, ale propozycja ta — o ile w ogóle istniała taka propozycja — została nieodwołalnie odrzucona na skutek zdecydowanych słów kapitana Browna: „Jeśli pani chce, żeby krówka żyła, niech jej pani uszyje flanelowy kaftanik i pantalon. Jednakże ja doradzałbym natychmiastowe jej zabicie”.

Panna Betsy Barker otarła oczy i serdecznie podziękowała kapitanowi. Zabrała się do pracy i wkrótce całe miasto wyległo, chcąc zobaczyć, jak krówka, odziana w ciemnoszarą flanelę, spokojnie podąża na pastwisko. Przyglądałam się temu wiele razy. Czy widzieliście kiedy w Londynie krowę ubraną w ciemnoszarą flanelę?

Kapitan Brown wynajął niewielki dom na skraju miasteczka i zamieszkał tam z dwiema córkami. Musiał już dźwigać szósty krzyżyk, gdy po wyjeździe z Cranford na stałe po raz pierwszy przyjechałam tam z wizytą. Ale jego prężna, wygimnastykowana postać, elastyczny krok, głowa po wojskowemu odrzucona do góry nadawały mu wygląd znacznie młodszego. Starsza córka wydawała się równa mu wiekiem, zdradzając tym fakt, że jest starszy, niż wygląda. Panna Brown musiała już dochodzić do czterdziestki, twarz miała schorowaną, pooraną troskami i cierpieniem, jakby od dawna nie rozjaśniła jej radość młodości. Chyba i za młodych lat twarz ta miała surowe rysy i nie odznaczała się urodą. Panna Jessie Brown natomiast była z dziesięć lat młodszą od siostry i dwakroć od niej ładniejsza. Miała twarz okrągłą, z dołeczkami. Kiedyś panna Jenkyns, zagniewana na kapitana (przyczynę tego gniewu zaraz wyjaśnię), powiedziała:

„Czas już, by panna Jessie wyrosła z tych swoich dołeczków na twarzy i nie starała się ciągle wyglądać jak dziecko”. Bo rzeczywiście było w jej twarzy coś dzieciennego i myślę, że nawet żyjąc do stu lat nie wyzbyłaby się tego. Jej duże, ruchliwe, błękitne oczy spoglądały wprost na rozmówcę; miała krótki, zadarty nosek, wargi czerwone, wilgotne, włosy czesała w drobne loczki, co jeszcze podkreślało ten wyraz. Nie wiem, czy była ładna, czy nie, ale podobała mi się jej twarz, mnie i wszystkim innym, i sędzę, że na dołeczki nie mogła nic poradzić. Miała w sobie coś z ojcowskiej sprężystości postawy i ruchów i każdej kobiecie rzucała się w oczy pewna różnica w strojach tych dwóch sióstr — suknie panny Jessie musiały kosztować o dwa funty rocznie więcej niż jej siostry. Dwa funty — to duża pozycja w rocznych rozchodach kapitana Browna.

Takie wrażenie uczyniła na mnie rodzina kapitana Browna, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam ich razem w kranfordzkim kościele. Kapitana już poznałam poprzednio z racji dymiącego pieca, który doprowadził do porządku przez jakąś drobną zmianę w przewodzie kominowym. W kościele w czasie porannego hymnu trzymał przy oczach binokle, a później wznosił głowę i śpiewał donośnie i wesoło, odpowiadał głośniejszym głosem niż pastor, starzec o wysokim słabym głosie, którego, jak mi się zdawało, bas kapitana napełniał smutkiem i przyprawiał o jeszcze większe drżenie głosu.

Wyszędłszy z kościoła dziarski kapitan zajął się swymi córkami z największą galanterią. Skinieniem głowy i uśmiechem witał znajomych, ale nim podał komukolwiek rękę, pomógł starszej córce rozpostrzeć parasolkę, wziął od niej modlitewnik, poczekał cierpliwie, aż jej drżące nerwowe palce uniosły rąbek sukni i ruszyła przez mokre ulice.

Zastanawiałam się, co kranfordzkie panie robią z kapitanem Brownem na swych przyjęciach. Dawniej zawsze cieszyłyśmy się, że nie bywa na nich żaden dżentelmen, którego trzeba by obsługiwać i wynajdywać dla niego tematy do rozmów. Gratulowałyśmy sobie naszych przyjemnych wieczorów towarzyskich, a kochając wszystko, co wytworne i delikatne, i w pogardzie mając mężczyzn,

niemalże przekonaliśmy same siebie, że być mężczyzną, to znaczy być „wulgarnym”; kiedy zatem zobaczyłam, że panna Jenkyns, przyjaciółka, u której gościłam, chce wydać przyjęcie dla mnie w swoim domu i że zaprosiła kapitana i panny Brown, poczęłam się zastanawiać, jaki będzie przebieg wieczoru. Stoliki do gry, pokryte zielonym suknem, rozstawiono, jak zwykle, przy świetle dziennym; był to trzeci tydzień listopada, więc wieczór zapadał koło czwartej. Na każdym stoliku przygotowano świece i talie kart. Rozpalono ogień; schludna pokojóweczka otrzymała ostatnie wskazówki i oto stałyśmy w naszych najlepszych sukniach, każda z fidybusem w rękę, by rzucić się ku świecom na pierwsze stukanie do drzwi. Przyjęcia w Cranford to były uroczyste chwile, a siedząca w swych najlepszych strojach grupka pań przeżywała wzniosły i poważny nastrój. Skoro zjawily się trzy panie, natychmiast zasiadłyśmy do preferansa, a ja byłam ową nieszczęsną czwartą. Następną czwórka gości została natychmiast usadowiona przy drugim stoliku, wkrótce zaś tace z herbatą, które widziałam w spiżarni, gdy przechodziłam koło niej rano, porozstawiano pośrodku każdego stolika. Porcelana była delikatna jak skorupka jajka, staroświeckie srebro wyczyszczone do połysku, ale jedzenie niewarte wzmianki. Kiedy tace znajdowały się już na miejscu zjawił się kapitan i panny Brown, a ja spostrzegłam, że w jakiś niepojęty sposób stał się ulubieńcem wszystkich pań. Zmarszczone czoła rozchmurzały się, ostre głosy łagodniały z jego przybyciem. Panna Brown wyglądała na chorą i ogromnie przygnębioną. Panna Jessie uśmiechała się jak zwykle i zdawała się wzbudzać niemal taką sympatię, jak jej ojciec. On zaś natychmiast przejął rolę mężczyzny w tym pokoju i dbał, by żadnej z pań niczego nie brakowało, pomagał pokojóweczce napełniając puste filiżanki i podsuwając kanapki. Robił to wszystko w ten sposób, jak gdyby było sprawą oczywistą, że silni usługują słabym, tak po prostu i z taką godnością, że nie przestał ani na chwilę być prawdziwym mężczyzną. Grał o trzy pensy za punkt z takim zainteresowaniem i powagą, jak gdyby chodziło o funty, a jednak będąc uprzejmym dla obcych ani na moment nie spuszczał oka ze swej cierpiącej córki

— bo cierpiąca była z pewnością, choć wielu mogła się wydawać tylko zdenerwowana. Panna Jessie nie umiała grać w karty, ale rozmawiała z nie grającymi paniami, które przed jej przybyciem były trochę chmurne. Poza tym śpiewała przy dźwiękach rozstrojonego fortepianu, który, jak sędzę, w swej młodości był szpinetem. Panna Jessie śpiewała „Jock of Hazeldean” nieco niezgodnie z melodią, ale żadne z nas nie było osobą muzykalną, chociaż panna Jenkyns, aby okazać, że nią jest, wybijała takt — wcale nie do taktu.

Było to jednak bardzo ładnie ze strony panny Jenkyns, bo chwilę przedtem zauważyłam, że z dużym niesmakiem przyjęła nierozważne wyznanie panny Jessie (à propos wełny szetlandzkiej), że jej wujek prowadzi sklep w Edynburgu. Panna Jenkyns próbowała zagłuszyć to wyznanie kaskadą straszliwego kaszlu — wszak czcigodna pani Jamieson siedziała przy najbliższym karcianym stoliku, a cóż by ona powiedziała lub pomyślała zorientowawszy się, że w tym samym pokoju znajduje się siostrzenica sklepikarza! Ale panna Jessie Brown (całkowicie pozbawiona taktu, jak zgodnie uznaliśmy następnego rana) powtórzyła tę informację i jeszcze zapewniła pannę Pole, że z łatwością zdobędzie dla niej wełnę szetlandzką, identycznie taką, jakiej ona potrzebuje, „przez swojego wujka, który ma najbogatszy w całym Edynburgu asortyment szetlandzkich wełen”. Aby zatrzeć wrażenie tych słów panna Jenkyns zaproponowała muzykę: a więc, powtarzam, było to bardzo ładnie z jej strony, że wybijała takt.

Kiedy, punktualnie za kwadrans dziewiąta, tace pojawiły się znowu, tym razem z herbatnikami i winem, toczyła się konwersacja: omawiano, jakie kto miał karty i sposoby gry, a po chwili kapitan Brown poruszył temat literacki.

— Czy czytały panie któryś z odcinków „KlubuPickwicka”? — zapytał. — Kapitalna rzecz.

Panna Jenkyns była córką nie żyjącego już tutejszego pastora i ponieważ posiadała pewną ilość rękopisów kazań oraz pokaźną biblioteczkę książek religijnych, uważała siebie za znawcę literatury, a konwersację na temat książek traktowała jako rzucone sobie wyzwanie. Więc podjęła je, mówiąc:

— Tak, czytałam, a nawet mogę powiedzieć, że czytałam je wszystkie.

— A co pani o nich sądzi? — wykrzyknął kapitan Brown. — Czyż nie są wspaniałe?

A więc panna Jenkyns musiała zabrać głos.

— Muszę przyznać, że nie sądzę, aby pod jakimkolwiek względem dorównywał dziełom doktora Johnsona. Jednakże autor jest zapewne młody. Jeśli okaże wytrwałość, któż może przewidzieć, jak daleko zajdzie, byle wziął wielkiego doktora za wzór.

Tego już widać kapitan nie mógł znieść spokojnie. Nim jeszcze panna Jenkyns skończyła zdanie widziałam sformułowaną na jego wargach odpowiedź.

— To zupełnie inny rodzaj twórczości, droga pani — zaczął.

— Jestem tego świadoma — odparła. — I biorę różne względy pod uwagę.

— Proszę pozwolić mi odczytać scenę z ostatniego numeru — prosił. — Otrzymałem go dopiero dziś rano i nie sądzę, by panie zdążyły już przeczytać.

— Jak pan sobie życzy — odparła, przybierając pozę pełną rezygnacji.

Odczytał scenę w Bath z Samem Wellerem. Niektóre z pań śmiały się serdecznie. Ja nie ośmieliłam się. Gościłam w tym domu na dłużej. Panna Jenkyns słuchała z cierpliwą powagą. Gdy kapitan skończył zwróciła się do mnie i powiedziała łagodnie i z godnością:

— Przynieś mi, moja droga, „Rasselasa”¹ z biblioteki.

Kiedy przyniosłam książkę zwróciła się do kapitana:

— A teraz, pozwoli pan, ja odczytam pewną scenę, a potem niech całe towarzystwo wybierze między pańskim ulubieńcem, panem Bozem², a doktorem Johnsonem.

Wysokim, pompatycznym głosem odczytała jedną z rozmów między Rasselasem a Imlakiem, a skończywszy rzekła:

¹ Rasselas, a właściwie „Dzieje Rasselasa, księcia abisyńskiego”, to dydaktyczne rozważania Samuela Johnsona (1709—1784) lekko powiązane nicią akcji, na którą składają się przygody i doświadczenia z podróży młodego księcia, jego siostry Nekai i starego filozofa Imlaka.

² Boz — pseudonim młodego Dickensa debiutującego powieścią „Klub Pickwicka”. Ukazywała się ona w miesięcznych zeszytach od kwietnia 1836 do listopada 1837.

— Sądzę, że zrozumiałe jest teraz, dlaczego wolę doktora Johnsona jako powieściopisarza.

Kapitan ściągnął usta i bębnił palcami po stole, ale nic nie odpowiedział. Zdecydowała się zadać jeszcze parę druzgocących ciosów.

— Uważam za rzecz wulgarną, niegodną prawdziwej literatury, aby drukować w odcinkach.

— A jak był drukowany „Rambler”³, proszę pani? — zapytał kapitan tak cicho, że jak myślę, panna Jenkyns nie mogła go usłyszeć.

— Styl doktora Johnsona powinien być wzorem dla początkujących pisarzy. Mój ojciec zalecił mi go, kiedy zaczynałam prowadzić korespondencję, i uformowałam według niego mój własny styl. Polecam go pana wybrańcowi.

— Wielka byłaby szkoda, gdyby zamienił swój styl na tak pompatyczną pisaninę — odparł kapitan Brown.

Nie wyobrażał sobie nawet, jak głęboko dotknie tym pannę Jenkyns, która odczuła te słowa jako afront osobisty. Ona sama i jej przyjaciółki uważały pisanie listów za jej forte. Widziałam wiele razy, jak pisała na tabliczce i poprawiała list, nim „znalazła pół godzinki właśnie przed odejściem poczty, by zapewnić” swoje przyjaciółki o tym lub owym. A, jak powiedziała, doktor Johnson był jej wzorem w ich komponowaniu. Wyprostowała się z godnością i na ostatnią uwagę kapitana Browna odpowiedziała krótko, silnie akcentując każde słowo:

— Przekładam doktora Johnsona nad pana Boza.

Mówiono — nie przysięgnę na to! — że kapitan rzekł sotto voce: „Do diabła z doktorem Johnsonem!” Jeśli powiedział, to zaraz się zreflektował, co okazał podchodząc do krzesła panny Jenkyns i próbując nawiązać z nią rozmowę na przyjemniejszy temat. Lecz ona była nieugięta. Następnego dnia uczyniła wspomnianą już uwagę o dołkach na twarzy panny Jessie.

³ Rambler — założone przez Samuela Johnsona w 1750 i wychodzące przez dwa lata pismo literackie, którego celem było umacnianie czytelników w mądrości i cnocie a także doskonalenie języka. Prawie cała treść pisma — eseje, alegorie, krytyki — wyszła spod pióra samego doktora Johnsona; poza nim pisywali dla Ramblera tylko Samuel Richardson, Elizabeth Carter, Hester Chapone i Catherine Talbot.

ROZDZIAŁ II

Kapitan

Niepodobna było przeżyć miesiąca w Cranford i nie poznać codziennych zwyczajów każdego mieszkańca, toteż na długo przed końcem mojej wizyty wiedziałam już wiele o całej trójce Brownów. Nie musiałam nic wykrywać, jeżeli chodzi o ich stan majątkowy, bo od początku mówili o tym prosto i otwarcie i nie robili żadnej tajemnicy z faktu, że muszą żyć oszczędnie. Ale co wykryłam, to wielką dobroć serca kapitana i różne sposoby, w jakie ją okazywał, sam tego nieświadom. W miasteczku coraz to krążyły o nim anegdotki. Nie czytywałyśmy wiele, wszystkie panie miały dobre służące, więc nieraz panowała posucha na tematy do rozmów. Omawiałyśmy zatem szczegółowo, jak to pewnej niedzieli, kiedy było bardzo ślisko na dworze, kapitan niósł garnek z obiadem ubogiej staruszce. Wracając z kościoła zobaczył ją przy sklepie piekarza idącą niepewnie, więc z powagą i godnością, jakie go zawsze cechowały, wyjął z jej rąk ciężar i szedł obok niej ulicą, aż doniósł bezpiecznie do jej domu pieczoną baraninę z kartoflami. Uznałyśmy to postępowanie za wielce ekscentryczne i oczekiwałyśmy, że w poniedziałkowe przedpołudnie złożą wizytę w szeregu domów, żeby się wytłumaczyć i przeprosić za pogwałcenie kranfordzkiego poczucia tego, co wypada, ale on nic takiego nie zrobił. Wtedy doszłyśmy do wniosku, że wstydzi się i nie śmie nikomu pokazać na oczy. W szlachetnym współczuciu dla niego mówiłyśmy: „No cóż, w gruncie rzeczy niedzielne wydarzenie świadczy o wielkiej dobroci serca”, i zdecydowałyśmy, że należy go pocieszyć, gdy się zjawi wśród nas. Ale on przyszedł bez najmniejszego śladu zawstydzenia, rozprawiając głośnym basem, jak zwykle, z głową podniesioną, peruką równie dobrze ułożoną, jak zwykle. No i nie pozostało nam nic innego, jak uznać, że zapomniał z kretesem o niedzieli.

Panna Pole i panna Jessie Brown zawarły bliską znajomość dzięki włócznie

szetlandzkiej i nowym ściegom robót na drutach, tak więc się składało, że odwiedzając pannę Pole częściej spotykałam Brownów niż przebywając u panny Jenkyns, która nie mogła przejść do porządku dziennego nad, wedle jej określenia, uwłaczającymi uwagami kapitana Browna o doktorze Johnsonie jako o twórcy lekkich, przyjemnych w czytaniu powieści. Przekonałam się, że panna Brown dotkliwie cierpiała na skutek jakiejś chronicznej, nieuleczalnej choroby i że bóle, nią wywołane, nadały jej twarzy ów wyraz niezadowolenia, który przypisywałam zgryźliwości. Zgryźliwa co prawda bywała czasami, kiedy nerwowe rozdrażnienie chorobą stawało się nie do zniesienia. Panna Jessie okazywała jej wówczas bardzo wiele wyrozumienia, więcej nawet niż podczas gwałtownego przyływu samooskarżeń, co zawsze potem następowało. Panna Brown wyrzucała sobie nie tylko porywczosć, ale i to, że z jej przyczyny ojciec i siostra cierpią niedostatek, bo chcą jej zapewnić drobne luksusy, konieczne w tej sytuacji. Ona sama tak by chciała ponosić dla nich wyrzeczenia i rozpędzić ich troski, że ta wrodzona szczodrość doprowadziła ją do jeszcze większego zgorzknienia. Ojciec i siostra znosili wszystko pogodnie, a nawet więcej, z ogromną serdecznością i czułością. Wybaczyłam pannie Jessie i usterki jej śpiewu, i trochę zbyt dziewczęce stroje, kiedy przyjrzałam jej się w domu. Zrozumiałam że ciemna peruka, jaką nosi kapitan Brown, i jego wywatowany surdut (niestety, tak już wyszarzały!) to pozostałość wojskowego sznytu z lat jego młodości, który zachowuje bezwiednie i teraz. Z doświadczeń w koszarach wyniósł ogromną zaradność. Kiedyś powiedział, że nikt oprócz niego samego nie dogodzi mu w czyszczeniu butów; ale z drugiej strony nie uważał, by go poniżało, jeśli zaoszczędzi trudu pokojówce, a musiał przecież wiedzieć, że służba u niego, z powodu choroby córki, nie była łatwa.

Wkrótce po opisanym przeze mnie pamiętnym sporze starał się pojednać z panną Jenkyns i ofiarował jej drewnianą szuflę do węgla własnej roboty, bo słyszał, jak mówiła, że zgrzyt żelaznej szuflki irytuje ją w najwyższym stopniu. Przyjęła prezent z chłodną uprzejmością i podziękowała mu oficjalnie. Po jego

odejściu poleciła mi złożyć szuflę w graciarni. Zapewne uważała, że łatwiej jej przyjdzie znieść zgrzyt żelaznej szuflki, aniżeli cieszyć się prezentem od człowieka, który przekłada pana Boza nad doktora Johnsona.

Taki był stan rzeczy, kiedy wyjeżdżałam z Cranford do Drumble. Jednakże kilka pań korespondowało ze mną i dzięki temu byłam au fait wszystkiego, co działo się w miasteczku. Pisywała do mnie panna Pole, którą szydełkowanie zaczynało tak absorbować, jak poprzednio robota na drutach, i w każdym jej liście powtarzało się coś na kształt refrenu ze starej piosenki: „Nie zapomnij o białej włóczce od Flinta”, po każdej nowinie z miasteczka pojawiała się świeża wskazówka dotycząca jakiegoś zlecenia na zakup włóczki do robót szydełkowych. Panna Matylda Jenkyns (która, jeśli jej starsza siostra była nieobecna, nie miała nic przeciw temu, żeby nazywać ją panną Matty) pisywała przyjemne, życzeniwe listy i czasami odważała się wypowiadać na jakiś temat własne zdanie, lecz potem zwykle opamiętywała się nagle i albo prosiła, żebym nie wspominała o tym, bo Debora sądzi na ten temat co innego, a ona przecież wie lepiej, albo też dodawała post scriptum w tym sensie, że po napisaniu powyższego omawiała tę sprawę z Deborą i jest przekonana, że... (Tu następowało zazwyczaj odwołanie każdego sądu, zawartego w liście.) Potem szła panna Jenkyns — Debora, jak chciała, by ją siostra nazywała, ponieważ ojciec rzekł kiedyś, że jej hebrajskie imię powinno być tak wymawiane. Myślę, że obrała tę surową żydowską prorokinię za wzór postępowania i, wierząc mi, pod pewnymi względami nie różniła się od niej — wzięwszy oczywiście pod uwagę odmiennosc współczesnych obyczajów i stroju. Panna Jenkyns nosiła krawat i mały kapeluszek na kształt czapeczki dzokeja i w ogóle wyglądała na kobietę o silnym charakterze, chociaż z pogardą odrzuciłaby nowoczesny pogląd, że kobiety są równe mężczyznom. Równe, doprawdy! Wiedziała dobrze, że ich przewyższają. Ale wracajmy do listów. Wszystko w nich było dostojne i wspaniałe, jak ona sama:

„Przed chwilą zaledwie wyszła czcigodna pani Jamieson. W czasie rozmowy przekazała mi wiadomość, że poprzedniego wieczora złożył jej wizytę dawny

przyjaciel jej szanownego męża, lord Mauleverer. Nie odgadłabyś, co sprowadziło jego lordowską mość do naszego miasteczka. Przyjechał zobaczyć się z kapitanem Brownem, z którym, jak wnoszę, jego lordowska mość zapoznał się w czasie „dawnych wojen” i który miał zaszczyt ocalić od zagłady jego lordowską mość, gdy nad jego głową zawisło groźne niebezpieczeństwo w pobliżu przylądka, błędnie zwanego przylądkiem Dobrej Nadziei. Wiesz, jak nasza czcigodna pani Jamieson pozbawiona jest ducha niewinnej ciekawości, zatem nie zaskoczy cię zbytnio, kiedy powiem, że nie była w stanie wyjaśnić mi istoty owego niebezpieczeństwa. Wyznaję, że pragnęłam się dowiedzieć, w jaki sposób kapitan Brown, mając tak ograniczone możliwości, zdoła przyjąć czcigodnego gościa. Wykryłam, że jego lordowska mość udał się na spoczynek i, miejmy nadzieję, na pokrzepiający sen do „Hotelu pod Aniołem”, ale dzielił z kapitanem posiłki podczas tych dwóch dni, kiedy to zaszczycał Cranford swą dostojną obecnością. Pani Johnson, żona naszego rzeźnika, poinformowała mnie, że panna Jessie nabyła udziec barani, ale poza tym nie doszło do mych uszu nic więcej na temat jakichkolwiek przygotowań podjętych dla przyjęcia tak dostojnego gościa. Może raczyli go tylko ucztą duchową? Dla nas, którzy znamy pożałowania godny brak upodobania do „czystych źródeł nieskałanej angielszczyzny”, jakim odznacza się kapitan Brown, może być pewną pociechą myśl, że miał on sposobność naprawienia swego smaku przez konwersację z tak wytwornym i wykształconym przedstawicielem arystokracji brytyjskiej. Ale któż jest całkowicie wolny od ziemskich niedoskonałości?”

Listy panny Pole i panny Matty przysły do mnie tą samą pocztą. Taka nowina, jak przyjazd lorda Mauleverera, była wprost bezcenna dla korespondentek Cranford, toteż starały się wykorzystać ją w pełni. Panna Matty z pokorą przepraszała, że pisze jednocześnie ze swą siostrą, która o tyle lepiej potrafi przedstawić to wydarzenie stanowiące taki zaszczyt dla Cranford. Jednakże mimo paru błędów ortograficznych, sprawozdanie panny Matty dało mi najlepszy obraz poruszenia, wywołanego wizytą jego lordowskiej mości już po

jej zakończeniu; bo poza ludźmi w hotelu, państwem Brown, panią Jamieson i małym chłopaczkiem, którego jego lordowska mość skłął za potoczenie brudnego kółka na jego arystokratyczne nogi — nie słyszałam o nikim, z kim jego lordowska mość rozmawiał.

Moje następne odwiedziny w Cranford wypadły w lecie. Od mojego ostatniego pobytu nikt się nie urodził, nikt nie umarł, nie zawarto żadnego małżeństwa. Nikt nie zmienił miejsca zamieszkania, niemal każda z pań nosiła te same, staromodne, dobrze zachowane suknie. Zdarzeniem największej wagi było to, że panna Jenkyns kupiła nowy dywan do salonu. Och, jakże się namęczyłyśmy, walcząc z promieniami słońca, które po południu, przez okno pozbawione żaluzji, padały wprost na dywan! Rozpościerałyśmy w tych miejscach gazety i zasiadałyśmy do książki lub robótki, lecz po kwadransie okazywało się, że słońce już się przesunęło i promienie jego pałą inne miejsce, więc znowu padałyśmy na kolana i przesuwałyśmy papiery. Kiedyś też, owego dnia, kiedy panna Jenkyns wydawała przyjęcie, byłyśmy bardzo zajęte przez cały ranek, gdyż stosownie do jej instrukcji cięłyśmy gazety na paski, potem zszywałyśmy je, tworząc ścieżynki prowadzące do krzeseł, rozstawionych dla gości, aby z ich trzewików nie padł kurz na niepokalanej czystości dywan. Czy w Londynie układa się też na przyjęcie gości takie papierowe ścieżki?

Stosunki między kapitanem Brownem i panną Jenkyns były nie nazbyt serdeczne. Kłótnia literacka, jak nie zgojona rana, jątrzyła się za lada dotknięciem. Raz tylko doszło między nimi do wymiany zdań, ale to wystarczyło. Panna Jenkyns nie mogła się powstrzymać od dogadywania kapitanowi Brownowi, a on, chociaż nie odpowiadał, bębnił palcami po stole, co panna Jenkyns odczuwała jako obelgę dla doktora Johnsona. Kapitan lubił manifestować swe upodobanie do twórczości pana Boza; chodził ulicami tak zaabsorbowany czytaniem, że raz omal nie wpadł na pannę Jenkyns, a choć przeprosił zaraz szczerze i uroczyście, i w gruncie rzeczy tylko ją trochę zaskoczył i przestraszył, a i sam się trochę przestraszył, panna Jenkyns wyznała

mi, że wolałaby, żeby ją nawet przewrócił, ale pochłonięty wyższym rodzajem literatury. Biedny, dzielny kapitan! Postarzał się, wydawał się bardziej zmęczony, a jego ubranie bardziej wytarte. Lecz był jak zawsze pogodny i wesół, chyba że ktoś go zapytał o zdrowie córki.

— Bardzo cierpi i będzie jeszcze więcej cierpieć. Robimy, co jest w naszej mocy, by jej ulżyć. Bądź wola Twoja, Panie. — Przy tych ostatnich słowach zdjął kapelusz. Przekonałam się, na podstawie tego, co mówiła panna Matty, że rzeczywiście zrobili wszystko. Posłali po lekarza, cieszącego się wielką sławą w tej okolicy, i stosowali się do wszystkich jego zaleceń nie zważając na koszt. Panna Matty była przekonana, że odmawiali sobie wielu rzeczy, aby życie chorej uczynić znośniejszym, ale nigdy o tym nie mówili. A co się tyczy panny Jessie... — Ona jest aniołem — mawiała biedna panna Matty z wielkim wzruszeniem. — Gdy się widzi, jak znosi złe humory panny Brown, jak pogodną okazuje twarz po nocy czuwania przy chorej, która ją przez pół nocy łajała, to ogarnia podziw. A przy śniadaniu wygląda tak świeżo i tak serdecznie wita kapitana, jak gdyby całą noc spała na królewskim łożu. Moja droga, gdybyś to widziała, jak ja widziałam, nigdy już nie mogłabyś się śmiać z jej wymuskanych drobnych loczków i różowych kokard.

Poczułam skruchę i kiedy spotkałam pannę Jessie, powitałam ją z większym niż dawniej szacunkiem. Była wymizerowana, pobladła, a kiedy mówiła o siostrze, wargi jej drżały, jak w wielkim osłabieniu. Ale rozpogodziła się, powstrzymała łzy, lśniące w jej pięknych oczach, mówiąc:

— Och, Cranford jest niezrównane w okazywaniu dobroci. Wydaje mi się, że gdy tylko ktoś ze znajomych ma coś specjalnie dobrego na obiad, wtedy zawsze najlepsze kęski w ciepło zawiniętym naczyniu przysyła mojej siostrze. A ludzie biedni zostawiają dla niej u drzwi naszego domu najwcześniejsze warzywa ze swych ogródków. Rzuca burkliwie parę słów, jakby się wstydzili, ale zapewniam panie, że ich troskliwość przejmuję mnie do głębi duszy. — Łzy napłynęły do jej oczu i potoczyły się po policzkach, ale już po chwili zaczęła fukać na samą siebie

i w końcu odeszła pogodna jak zawsze.

— Ale dlaczego lord Mauleverer nic nie zrobił dla człowieka, który uratował mu życie? — zapytałam.

— No cóż, rozumiesz, kapitan Brown, jeśli nie ma specjalnego powodu, nigdy nie mówi o tym, że jest biedny, więc chodził u boku jego lordowskiej mości, wesoły i pogodny jak poranek, a ponieważ nie mają zwyczaju zwracać uwagi na obiad przeprasząc za jego skromność, a panna Brown czuła się lepiej tego dnia i wszystko wydawało się w jak najlepszym porządku, ośmielałam się twierdzić, że jego lordowska mość nie miał pojęcia, ile trosk się za tym kryło. W zimie często przysyłał zwierzyne, ale teraz pojechał za granicę.

Często miałam okazję zauważyć, jak w Cranford umiano wykorzystywać wszystkie drobiazgi i możliwości: jak zbierano płatki róż, nim spadły, aby uczynić z nich potpourri w szklanych słoiczkach dla kogoś pozbawionego ogrodu: małe bukietki kwiatów lawendy posyłano znajomym z miasta, aby trzymali je w szufladach, albo na trociczki w pokoju chorego. W Cranford dbano o rzeczy, którymi gdzie indziej pogardzano, i troszczono się o sprawy, którym gdzie indziej nie chciano by poświęcić chwili czasu. Panna Jenkyns nabiła jabłko goździkami, aby ogrzane napełniło miłym zapachem pokój panny Brown, wbijając zaś każdy goździk wypowiadała jakieś zdanie doktora Johnsona. Doprawdy, nie umiała już myśleć o Brownach bez cytowania Johnsona; ponieważ zaś wówczas rzadko kiedy o nich nie myślała, słyszałam wiele potocznych, długich zdań.

Pewnego dnia kapitan Brown złożył wizytę pannie Jenkyns, żeby jej podziękować za liczne dowody jej dobroci, o których do tej pory nie wiedziałam. Zobaczyłam nagle, że wyglądał jakby postarzały i w jego basowym głosie słychać było drżenie, oczy zdawały się zamglone, zmarszczki na twarzy pogłębiły się. Tego dnia nie mówił z optymizmem o stanie zdrowia swej córki — to było niemożliwe — ale te parę zdań, jakie wypowiedział, cechowała męska, pobożna rezygnacja. Dwukrotnie powtórzył: „Bóg tylko wie, czym Jessie jest dla nas” — a

powiedziawszy to po raz drugi, powstał pośpiesznie, bez słowa podał wszystkim rękę i wyszedł z pokoju.

Tego popołudnia dostrzegłyśmy grupkę ludzi na ulicy, słuchających czegoś z przygnębionymi twarzami. Panna Jenkyns przez pewien czas zastanawiała się, co to może znaczyć, zanim zdecydowała się na tak niedystyngowany krok, jak posłanie Jenny z zapytaniem.

Jenny wróciła przerażona i pobladła.

— Och, proszę pani, och, panno Jenkyns, och, proszę pani! Kapitana Browna zabiła ta wstrętna, okrutna kolej! — i wybuchnęła płaczem. I ona, podobnie jak inni, doświadczyła dobroci biednego kapitana.

— Jak? Gdzie? Gdzie? Dobry Boże! Jenny, nie trać czasu na płacze, mówże! — Panna Matty wypadła na ulicę od razu i złapała za klapy człowieka, opowiadającego coś innym.

— Proszę wejść, proszę natychmiast przyjść do mojej siostry... panny Jenkyns, córki pastora. Och, człowieku, człowieku... powiedz, że to nieprawda! — wołała gładząc włosy przerażonego furmana i wprowadzając go do salonu, gdzie stanął zabłoconymi butami na nowym dywanie, a nikt nie zwracał na to uwagi.

— Proszę paniusi, to jest prawda. Sam widziałem — i aż wzdrygnął się cały na wspomnienie tego. — Kiedy kapitan czekał na pociąg, miał jakąś nową książkę i całkiem w niej się zaczytał. I była tam mała dziewczynka, co chciała iść do swojej mamy i wyrwała się siostrze, i przebiegała przez tor. A on nagle podniósł głowę, bo usłyszał, że pociąg nadchodzi, a jak zobaczył dziecko, to skoczył na tory i podniósł dzieciaka, i noga mu się pośliznęła, i pociąg przejechał po nim w oka mgnieniu. O, mój Boże! Paniusiu, to jest prawda, i przyjechali teraz powiedzieć to jego córkom. Ale dziecko całe, tylko ma guza na ramieniu, bo je rzucił do matki. Biedny kapitan cieszyłby się z tego, prawda, proszę paniusi? Niech go Bóg błogosławi!

Męska twarz tego prostego człowieka wykrzywiła się nagle i odwrócił się, by

ukryć łzy. Spojrzałam na pannę Jenkyns. Wyglądała tak, jakby miała zaraz zemdleć, i skinęła na mnie, żebym otworzyła okno.

— Matyldo, przynieś mi mój kapelusz. Muszę iść do nich. Boże, nie pamiętaj mi, jeśli kiedykolwiek mówiła do niego z wyższością.

Panna Jenkyns ubrała się do wyjścia, zleciwszy pannie Matyldzie, by dała kielich wina temu człowiekowi. Panna Matty i ja, skulone przy ogniu, rozmawiałyśmy cicho pełne przerażenia. Pamiętam, że popłakiwałyśmy przez cały czas.

Panna Jenkyns wróciła do domu milcząca i nie śmiałyśmy zadawać jej wielu pytań. Powiedziała nam, że panna Jessie zemdląła i że z trudnością doprowadziła ją do przytomności z pomocą panny Pole, i że jak tylko wróciła do siebie, prosiła, by jedna z nich poszła do jej siostry i posiedziała przy niej.

— Pan Hoggins mówi, że jej dni są policzone, więc należy jej zaoszczędzić tego wstrząsu — dodała panna Jessie, drżąc pod naporem uczuć, których nie śmiała wypowiedzieć.

— Ale jak to zrobimy, moja droga? — zapytała panna Jenkyns. — Nie zdołasz się opanować. Będzie widziała twoje łzy.

— Bóg mi dopomoże... nie załamie się... spała, kiedy przysłała ta wiadomość, i chyba jeszcze śpi. Cierpiałaby tak strasznie, nie tylko nad śmiercią ojca, ale i z troski o mnie. Jest dla mnie taka dobra. — Patrzała poważnie w ich twarze swymi szczerymi, łagodnymi oczyma, a panna Pole, jak później powiedziała pannie Jenkyns, wprost nie mogła tego znieść, wiedząc przecież, jak panna Brown traktuje swą siostrę.

Jednakże wszystko załatwiono zgodnie z życzeniem panny Jessie.

Pannie Brown miano powiedzieć, że jej ojciec musiał wyjechać w krótką podróż w sprawach kolei. Jakoś im się to udało — choć panna Jenkyns nie mogła dokładnie powiedzieć, jak to zrobiły. Panna Pole miała pozostać u panny Jessie. Pani Jamieson przysłała kogoś ze służby pytając o szczegóły wypadku. To wszystko, co usłyszałyśmy owej nocy — a była to smutna noc. Następnego dnia

w miejscowej gazecie, którą prenumerowała panna Jenkyns, ukazał się opis śmiertelnego wypadku kapitana. Powiedziała, że ma bardzo słabe oczy i poprosiła mnie o przeczytanie. Kiedy doszłam do słów: „dżentelmen był zatopiony w czytaniu świeżo otrzymanego odcinka Pickwicka”, panna Jenkyns długo i uroczyście potrząsała głową i westchnawszy rzekła:

— Biedny, drogi kapitan Brown, taki zaślepiony.

Zwłoki miały być przewiezione ze stacji do kościoła parafialnego i tu pogrzebane. Panna Jessie postanowiła odprowadzić ojca do grobu i żadne perswazje nie były w stanie zmienić jej decyzji. Narzucony sobie rygor uczynił ją wprost nieczułą; nie słuchała żadnych próśb panny Pole ani rad panny Jenkyns. W końcu panna Jenkyns zaprzestała dalszych nalegań i po chwili ciszy, nabrzmiałej, jak wydawało mi się, głęboką urazą do panny Jessie, oświadczyła, że będzie jej towarzyszyć na pogrzebie.

— Nie jest rzeczą stosowną, by pani szła sama. Postąpiłabym wbrew zasadom przyzwoitości i miłości bliźniego, gdybym na to pozwoliła.

Wydawało się, że panna Jessie nie bardzo jest temu rada, ale jej upór — jeśli to był upór — ograniczał się do decyzji, że pójdzie na pogrzeb.

Nie miałam wątpliwości, że biedaczka pragnie wypłakać się samotnie nad grobem ukochanego ojca, dla którego była wszystkim, i przez krótkie pół godziny, nie skrępowana spojrzeniami przyjaciół ani słowami pociechy, dać ujście swej żałości. Ale nie było jej to dane. Tego popołudnia panna Jenkyns posłała po jard czarnej krepy i energicznie zabrała się do przystrajania czarnego jedwabnego kapelusika, o którym wspominałam. Dokonawszy tego włożyła kapelusik i spojrzała na nas szukając aprobaty — zachwyty nie szukała. Było mi bardzo smutno, ale pod wpływem jednej z tych przekornych myśli, które w najcięższych momentach przychodzą do głowy nieproszone, jak tylko spojrzałam na kapelusz, przypomniał mi on hełm. I w tym to kapeluszu-mieszkańcu, na wpół hełmie, a na wpół czapeczce dżokejskiej, panna Jenkyns udała się na pogrzeb kapitana Browna i, jak sądzę, podtrzymywała pannę Jessie, delikatnie, z

wyrozumieniem, a mocno, co było rzeczą nieocenioną, i pozwoliła jej się wypłakać z całego serca przed powrotem do domu.

Tymczasem panna Pole, panna Matty i ja zajęłyśmy się panną Brown i przekonałyśmy się, jak wielkiego wysiłku wymaga ucieszanie jej płaczliwych, nie kończących się skarg. A skoro my czułyśmy się tak znużone i przygnębione, jakże czuć się musiała panna Jessie! A jednak wróciła spokojna, jak gdyby ożywiona nowymi siłami. Zdjęła żałobny strój i weszła, blada i delikatna, i podziękowała każdej z nas długim uściśnięciem swej miękkiej dłoni. Zdobyła się nawet na uśmiech, blady, łagodny, melancholijny uśmiech, jak gdyby chciała nas zapewnić o swej mocy przetrwania. Ale na ten widok łzy napłynęły nam do oczu obficie, niż gdyby płakała otwarcie.

Ułożyłyśmy, że panna Pole zostanie z nią na tę długą noc czuwania, a rano przyjdę z panną Matty, aby je zmienić i dać pannie Jessie możliwość przespania paru godzin. Ale kiedy nadeszło rano, panna Jenkyns pojawiła się przy stole śniadaniowym przystrojona w swój kapelusz podobny do hełmu i kazała pannie Matty pozostać w domu, ponieważ ona idzie do chorej i pomoże w jej pielęgnowaniu. Jej uczucie przyjaźni nagliło ją do działania, co okazała jedząc śniadanie na stojąco i besztając służbę na wszystkie strony.

Lecz żadna pielęgnacja, nawet najbardziej energicznej kobiety, nie mogła już pomóc pannie Brown. Wyczuwałyśmy w jej pokoju obecność czegoś, co silniejsze jest od nas, wobec czego stałyśmy bezradne, oniemiałe, przerażone. Panna Brown umierała.

Wprost poznać nie mogłyśmy jej głosu, tak był zmieniony, pozbawiony nuty skargi, która się z nim na zawsze kojarzyła. Panna Jessie powiedziała nam później, że jej głos, a także jej twarz były na powrót takie jak wówczas, kiedy po śmierci matki młoda dziewczyna została opiekunką rodzeństwa, z którego obecnie żyła tylko panna Jessie.

Zdawała sobie sprawę z obecności siostry, ale z naszej chyba nie. Stałyśmy trochę ukryte za zasłoną, a panna Jessie klęczała zbliżywszy twarz do twarzy

siostry, aby słyszeć jej ostatni, cichy, bolesny szept.

— O, Jessie! Jessie! Jakże byłam samolubna! Niech mi Bóg przebaczy, że pozwoliłam ci tak się dla mnie poświęcać! Tak bardzo ciebie kochałam, a jednak myślałam tylko o sobie. Boże, przebacz!

— Spokojnie, kochana, spokojnie! — mówiła wśród łkań panna Jessie.

— A mój ojciec, mój kochany, kochany ojciec! Nie będę się skarżyć, jeśli Bóg da mi siły, abym mogła okazać cierpliwość. Ale, Jessie, powiedz ojcu, jak bardzo pragnęłam go zobaczyć i prosić o przebaczenie! Nigdy już nie będzie wiedział, jak go kochałam... och, gdybym mogła mu to powiedzieć, nim umrę! Ileż miał zmartwienia przeze mnie, a ja tak mało robiłam, by go rozweselić !

Twarz panny Jessie rozjaśniła się.

— A czy pocieszyłaby cię, najdroższa, myśl, że on wie? Czy pocieszyłaby cię, kochana, gdybyś wiedziała, że jego troski... jego smutki... — głos jej zadrżał, ale przezwyciężyła się i zachowała spokój. — Mary! On przed tobą udał się do tego miejsca, gdzie znużeni znajdują spoczynek. On teraz wie, jak go kochałaś.

Dziwny wyraz, ale nie udreki, zagościł na twarzy panny Brown. Nie odzywała się przez chwilę, a potem zobaczyłyśmy raczej na jej wargach formujące się słowa, niż usłyszałyśmy je: — Ojciec, matka, Harry, Archy... — a potem, jak gdyby jakiś nowy cień przysłonił jej mroczniejący umysł, szepnęła: — Ale ty zostaniesz sama, Jessie!

Panna Jessie zapewne myślała o tym przez tę chwilę ciszy, bo na te słowa łzy jak deszcz zrosiły jej policzki i z początku nie mogła nic odpowiedzieć. Potem złożyła ręce, zacisnęła je mocno i powiedziała — ale nie do nas:

— „Choćby mnie też zabił, w Nim ufać będę”.

Po chwili panna Brown leżała spokojna i nieruchoma: już nigdy więcej nie miała się smucić ni skarżyć. Po tym drugim pogrzebie panna Jenkyns nalegała, by panna Jessie zamieszkała z nią, zamiast wracać do opustoszałego domu, z którego zresztą, jak dowiedziałyśmy się od panny Jessie, i tak musiała się wyprowadzić, bo nie miała z czego zań płacić. Miałyby niewiele ponad dwadzieścia funtów na

rok, a poza tym procent od sumy, uzyskanej ze sprzedaży mebli. Z tego nie sposób wyżyć, więc dyskutowałyśmy nad tym, jak mogłaby zarabiać.

— Umiem ładnie szyć — powiedziała — i lubię opiekować się chorymi. Myślę, że potrafiłabym prowadzić dom, jeśliby kto wziął mnie za gospodynię. Poszłabym pracować jako ekspedientka, jeśli w sklepie mieliby do mnie z początku cierpliwość.

Panna Jenkyns obwieściła gniewnym głosem, że nie powinna robić nic takiego, i mruczała sama do siebie, że „niektóre córki kapitanów zapominają o swoim stanowisku w społeczeństwie”, jeszcze w godzinę potem, gdy przyniosła pannie Jessie głęboki talerz smakowicie przyrządzonego kleiku z mączki indyjskiej i stała nad nią jak dragon, dopóki ta nie zjadła wszystkiego do czysta; wtedy oddaliła się. Panna Jessie zaczęła opowiadać mi o swoich planach i niepostrzeżenie przeszła do wspomnień o dniach, które minęły bezpowrotnie, a tak mnie zainteresowała, że zapomniałam o czasie. Złękłyśmy się obie, kiedy panna Jenkyns wróciwszy przyłapała nas na płaczu. Bałam się, że będzie niezadowolona, bo zwykła mówić, że płacz hamuje trawienie, a wiedziałam, że pragnęła, by panna Jessie się wzmocniła. Lecz ona wyglądała jakoś dziwnie, była podniecona i kręciła się koło nas bez słowa. Wreszcie przemówiła:

— Bardzo się przestraszyłam... nie, wcale się nie przestraszyłam... proszę mi darować, droga panno Jessie... Bardzo się zdziwiłam... jednym słowem, miałam gościa, dawnego pani znajomego, moja droga panno Jessie...

Panna Jessie pobladła, poczerwieniała gwałtownie i spojrzała niespokojnie na pannę Jenkyns.

— Dżentelmena, moja droga, który chciałby wiedzieć, czy zechce się pani z nim zobaczyć.

— Czy to jest... czy to nie jest... — wyjąkała panna Jessie. I nic ponadto.

— Oto jego bilet — rzekła panna Jenkyns, dając go pannie Jessie, a kiedy ta pochyliła nad nim głowę, panna Jenkyns robiła do mnie dziwne miny i poruszała wargami wypowiadając bezgłośnie jakieś długie zdanie, z którego, oczywiście,

nie zrozumiałam ani słowa.

— Czy może wejść? — zapytała panna Jessie.

— O tak! Naturalnie — odpowiedziała tamta, w sensie: „To dom pani, może pani przyjmować każdego, gdzie tylko pani zechce”. Wzięła jakąś robótkę na drutach panny Matty i bardzo była nią zajęta, lecz ja widziałam, że drży cała.

Panna Jenkyns nacisnęła dzwonek i poleciła służącej wprowadzić na górę majora Gordona; po chwili zjawił się w pokoju wysoki i przystojny mężczyzna o szczerym spojrzeniu. Panna Jessie podała mu rękę, którą on uścisnął, ale nie mógł jej spojrzeć w oczy, bo wzrok miała wbity w ziemię. Panna Jenkyns zwróciła się do mnie z zapytaniem, czy nie zeszłabym do spiżarni pomóc jej wiązać słoje z konfiturami i chociaż panna Jessie skubała mnie za suknię, a nawet rzuciła mi błagalne spojrzenie, nie ośmieliłam się odmówić prośbie panny Jenkyns. Jednakże nie wiązałyśmy w spiżarni słoje konfitur, ale udałyśmy się na rozmowę do jadalni. Tutaj panna Jenkyns powtórzyła mi, co jej opowiedział major Gordon. Otóż służył on kiedyś w tym samym pułku co kapitan Brown i poznał wówczas osiemnastoletnią pannę Jessie, dziewczynę o słodkiej twarzy, w rozkwicie urody. Znajomość przerodziła się w miłość z jego strony, choć trwał to przez parę lat. Kiedy na mocy testamentu wujka odziedziczył znaczną posiadłość w Szkocji, oświadczył się o rękę panny Jessie; ona odmówiła, ale w wielkim pomieszaniu i udreće, więc nabrał pewności, że nie jest względem niego obojętna. Potem wykrył, że przeszkodę stanowi okrutna choroba, która już wówczas niechybnie zagrażała jej siostrze. Panna Jessie wyznała mu kiedyś, iż lekarze przewidują, że siostra jej będzie bardzo cierpieć i że poza nią nie ma nikogo, kto mógłby pielęgnować biedną Mary ani też pocieszać ojca i dbać o niego w czasie jej choroby. Odbywali długie rozmowy, a kiedy nie chciała mu przyrzec, że zostanie jego żoną, gdy już rodzinie nie będzie potrzebna, major rozgniewał się, zerwał z nią zupełnie, przekonany, że jest bez serca, więc powinien o niej zapomnieć. Podróżował po Wschodzie, a kiedy wracał do kraju i znalazł się w Rzymie, natrafił w gazecie na opis śmierci kapitana Browna.

W tym momencie panna Matty, która cały ranek przebywała poza domem i dopiero przed chwilą wróciła, wpadła do jadalni z twarzą pełną niesmaku i poczucia obrażonej przyzwoitości.

— Wielkie nieba! — zawołała. — Debora, jakiś dżentelmen siedzi w salonie, a jego ramię obejmuje w pasie pannę Jessie!

Panna Jenkyns natychmiast przywołała ją do porządku.

— To najwłaściwsze miejsce dla jego ramienia. Odejdź, Matyldo, i pilnuj własnych spraw.

Te słowa wypowiedziane przez siostrę, która dotychczas była wzorem kobiecego decorum, stanowiły ciężki cios dla panny Matty i podwójnie wstrząśnięta opuściła pokój.

Ostatni raz widziałam biedną pannę Jenkyns w wiele lat potem. Pani Gordon utrzymywała serdeczne stosunki ze wszystkimi w Cranford. I panna Jenkyns, panna Matty i panna Pole jeździły kolejno do niej, a każda po powrocie opowiadała cuda o jej domu, mężu, strojach i wyglądzie. Szczęście bowiem przywróciło jej coś z urody młodości, a była o parę lat młodsza, niż sądziłyśmy. Jej oczy pozostały zawsze piękne, a dołeczki w policzkach pani Gordon były całkiem na miejscu. W tym czasie, kiedy to po raz ostatni widziałam pannę Jenkyns, pani ta była już stara i słaba i utraciła trochę sił swego ducha. Mała Flora Gordon przebywała u siostr Jenkyns i kiedy weszłam, czytała właśnie głośno starszej pani, która słaba i zmieniona leżała na sofie.

Ujrzawszy mnie dziewczynka odłożyła „Ramblera”.

— Ach — westchnęła panna Jenkyns. — Widzisz mnie zmienioną, moja droga. Nie mam już takich oczu jak dawniej. Gdyby nie było tu Flory, która mi czyta, doprawdy nie wiem, co robiłabym przez cały długi dzień. Czy znasz „Ramblera”? To cudowna książka! Cudowna! I niesłychanie pouczająca dla Flory (może by i była, gdyby Flora umiała przeczytać choć połowę słów bez sylabizowania, a z nich gdyby choć połowę rozumiała). — To lepsza lektura dla niej, niż ta dziwaczna stara książka o tym dziwnym tytule, przez czytanie której

zginął kapitan Brown... ta książka pana Boza... wiesz przecie... „Stary Poz”... kiedy byłam dziewczynką... ale to już dawno temu... Grałam Lucy w „Starym Pozie”.

Rozwodziła się nad tym długo, tak że Flora zdążyła przeczytać spory ustęp „Opowieści wigilijnych”, które panna Matty zostawiła na stole.

ROZDZIAŁ III

Stara miłość

Myślałam, że po śmierci panny Jenkyns zerwą się moje związki z Cranford albo w najlepszym razie będę je utrzymywać drogą korespondencji, która pozostaje w takim stosunku do osobistej rozmowy, jak zielniki, które czasem oglądam (Hortus Siccus, tak zdaje się to nazywają), do żywych, świeżych roślin z pól i łąk. Toteż byłam mile zdziwiona otrzymawszy list od panny Pole (która zawsze dotąd zabiegała, bym u niej gościła przez dodatkowy tydzień po wizycie u panny Jenkyns) z propozycją, żebym przyjechała i zatrzymała się u niej. Odpisałam, przyjmując zaprosiny, a w parę dni później przysłała do mnie kartka od panny Matty, w której, bardzo okrężną drogą i z wielką pokorą, przekładała, jak wielką zrobiłabym jej przyjemność, gdybym spędziła u niej tydzień lub dwa, przed albo po wizycie u panny Pole. „Bo — dodawała — wiem dobrze, że po śmierci mojej siostry ja sama nie mam nic do ofiarowania przyjaciołom i tylko z dobroci darzą mnie swoim towarzystwem.”

Naturalnie przyrzekłam zatrzymać się u drogiej panny Matty zaraz po moim pobycie u panny Pole i nazajutrz po przyjeździe do Cranford poszłam do niej, niepewna, czym jest ten dom bez panny Jenkyns, i trochę zaniepokojona na myśl o zmianach, jakie tam zająć mogły. Panna Matty na mój widok rozplakała się. Zdenerwowała się widocznie oczekiwaniem na moją wizytę. Pocieszałam ją, jak

mogłam; i okazało się, że najlepszą pociechą z mojej strony były szczere, z serca płynące pochwały zmarłej. Panna Matty z wolna przytakiwała, gdy wymieniałam cnoty, jakimi odznaczała się jej siostra, w końcu przestała powstrzymywać łzy, od dłuższej chwili płynące cicho po jej twarzy, zasłoniła twarz chusteczką i rozszlochała się w głos.

— Droga panno Matty — rzekłam i wzięłam ją za rękę, bo doprawdy nie wiedziałam, w jaki sposób wyrazić swe współczucie dla niej, tak samotnej na świecie. Ona zaś odjęła chusteczkę od oczu i powiedziała:

— Droga moja, wolałabym, żebyś nie nazywała mnie panną Matty. Ona tego nie lubiła, ale ja robiłam dużo rzeczy, których ona nie lubiła, a teraz jej nie ma! Czy nie zechciałabyś, kochana moja, nazywać mnie Matyldą?

Przyrzekłam jej to szczerze i od razu tego dnia zaczęłyśmy z panną Pole wprawiać się w używanie tego imienia i wkrótce całe Cranford dowiedziało się, jakie to ma dla niej znaczenie. Staraliśmy się wszystkie zapomnieć mniej oficjalnego „Matty”, ale z tak niewielkim powodzeniem, że wkrótce zaprzestałyśmy tych wysiłków.

Moja wizyta u panny Pole upłynęła bardzo spokojnie. Panna Jenkyns przez tak długi czas nadawała ton wszystkiemu w Cranford, że teraz, gdy jej zabrakło, nie umiano nawet urządzić przyjęcia. Czcigodna pani Jamieson, której sama panna Jenkyns zawsze ustępowała honorowego miejsca, była otyła i ospała, zależna od swej starej służby. Jeżeli służba uznała, że pora wydać przyjęcie, przypominano jej, w przeciwnym razie zaniedbywała tego. Tym więcej zatem miałam czasu, by szyjąc ojcowskie koszule wysłuchiwać opowieści z dawnych dni, jakie snuła panna Pole, wykonując jednocześnie jakąś robotę na drutach. Zawsze zabierałam do Cranford dużo szycia, bo ani nie czytałyśmy, ani nie spacerowałyśmy zbyt wiele, więc nie brakło sposobności, by oddawać się pracy. W jednym z tych opowiadań panna Pole wspominała pewną miłość czy może cień miłości, której istnienie przed wielu laty niejasno dostrzegano, a może tylko wyczuwano.

Wkrótce nadszedł dzień, w którym miałam przenieść się do panny Matyldy. Zastałam ją przejętą myślą o zapewnieniu mi wygod i jakby niepewną siebie. W czasie gdy się rozpakowywałam, nieustannie podchodziła do kominka, żeby poruszyć ogień, wskutek czego palił się jeszcze gorzej.

— Czy starczy ci szuflad, moja kochana? — pytała. — Ja nie wiem dokładnie, jak moja siostra to organizowała. Miała doskonale metody. Ona w ciągu tygodnia potrafiła nauczyć służącą dobrze rozpalać ogień, a ja mam już Fanny od czterech miesięcy.

Służące stanowiły temat ciągłych narzekań i nie mogłam się temu dziwić, jeśli bowiem panów było niewiele i niemal się o nich nie słyszało w lepszym towarzystwie Cranford, to niższe klasy obfitowały w mężczyzn i w ich odpowiedniki — przystojnych młodzieńców. Pokojóweczki więc swobodnie przebierały wśród godnych uwagi „chłopaków”, a ich panie, nawet te, których w przeciwieństwie do panny Matty nie dręczył tajemniczy lęk przed mężczyznami i małżeństwem, mogły być trochę zaniepokojone, czy ich małym służącym nie zawróci w głowie stolarz, rzeźnik lub ogrodnik, których sam zawód zmuszał do przychodzenia do domu i którzy, tak pech chciał, byli na ogół przystojni i nieżonaci. Wielbiciele Fanny, prawdziwi i domniemani — panna Matty bowiem podejrzewała ją o tyle flirtów, że gdyby dziewczyna nie odznaczała się urodą, skłonna byłabym przypuścić, że nie ma ani jednego — byli przyczyną nieustannego niepokoju jej pani.

Panna Matty przyjmując Fanny zastrzegła sobie, że ta nie będzie mieć chłopaków, na co dziewczyna odpowiedziała z całą naiwnością, mnąc rąbek fartuszka: „Tak, proszę pani, ja zawsze mam tylko jednego naraz” — ale i tego jednego jej wzbroniono.

Jednakże w kuchni wyczuwało się obecność mężczyzny i gdyby nie zapewnienia Fanny, że to tylko moja wyobraźnia, twierdziłabym sama, że pewnego razu wieczorem, kiedy panna Matty posłała mnie do spiżarni, widziałam skraj męskiej marynarki wślizgującej się do pomywalni; a znowu innego

wieczoru, kiedy stanęły nam zegarki i chciałam spojrzeć na zegar w kuchni, ujrzałam dziwne zjawisko, do złudzenia przypominające młodego człowieka, wciśniętego między ów zegar a otwarte drzwi do kuchni; Fanny wówczas chwyciła świecę, jak mi się wydawało, w wielkim pośpiechu, uniosła ją tak, by cień padł na tarczę zegara, a sama bardzo stanowczo podała mi czas o pół godziny wcześniejszy, co stwierdziłyśmy później słysząc zegar kościelny. Ale nie powiększałam niepokoju panny Matty zdradzaniem swych podejrzeń, zwłaszcza że Fanny poskarżyła mi się zaraz następnego dnia, że to taka dziwna kuchnia, tyle w niej tajemniczych cieni, że po prostu boi się dłużej tu być. „Bo panienka przecież sama rozumie — wyjaśniła — żywego ducha nie widzę od południowej herbaty aż do dziesiątej, kiedy pani dzwoni na pacierze.”

I tak się zdarzyło, że Fanny musiała odejść, a panna Matylda prosiła mnie, żebym została, aż przywyknę do nowej służącej, na co zgodziłam się, ojciec bowiem napisał, że nie jestem w domu potrzebna. Nowa służąca była prostą dziewczyną, której uczciwie z oczu patrzyło i która do tej pory mieszkała na wsi, ale spodobała mi się z wyglądu, kiedy przyszła się zgodzić, i obiecałam panie Matyldzie, że ją wprowadzę w obyczaje domowe. A obyczaje domowe były dokładnie takie, jakie zdaniem panny Matyldy podobałyby się jej siostrze. Za życia panny Jenkyns wiele domowych zasad i zarządzeń było przedmiotem żalonych utyskiwań, szeptanych w moje ucho, ale teraz, gdy jej zabrakło, nawet ja, ulubienica domu, nie ośmieliłabym się zaproponować żadnej zmiany. Dam przykład: stale trzymałyśmy się form, które obowiązywały „w domu mego ojca, pastora”. Stosownie do tego zawsze na stole było wino i deser i chociaż zawsze po obiedzie przed każdą z nas stały dwa kieliszki do wina, karafkę napełniano tylko na przyjęcie, a tego, co pozostało, nie ruszano aż do następnej uroczystości, przed którą rada rodzinna sprawdzała stan tych resztek. Zwykle wtedy zmętniałe wino dawano biednym, ale od czasu do czasu, jeśli dużo wina pozostało po ostatnim przyjęciu (mogło ono być nawet przed pięcioma miesiącami), mieszano je ze świeżym, nalany z butelki przyniesionej z piwnicy. Myślę, że kapitan Brown

nie bardzo lubił wino, bo zauważyłam, że nigdy nie dopijał pierwszego kieliszka, a wojskowi przeważnie wychylają kilka. Co się zaś tyczy deserów, panna Jenkyns zwykła sama zbierać na nie porzeczeki i agrest, choć, jak nieraz myślałam, smakowałyby lepiej prosto z krzaka. Ale wówczas, jak zauważyła panna Jenkyns, w lecie nie byłoby nic na deser. A tak czułyśmy się bardzo wytworne, kiedy przed każdą z nas stały dwa kieliszki do wina i talerzyk z agrestem u szczytu stołu, dwa inne z porzeczkami i herbatnikami po dwóch bokach, a dwie karafki w dole stołu. Kiedy zjawily się pomarańcze, zachowywano dziwny ceremoniał. Panna Jenkyns nie lubiła krajać owocu, bo jak mówiła, sok wycieka nie wiadomo gdzie; w istocie więc, jedynym dobrym sposobem jedzenia pomarańcz jest ich ssanie (tylko, zdaje się, użyła jakiegoś bardziej eleganckiego słowa), jednakże ta czynność nieprzyjemnie kojarzyła się z tym, co często przydarza się niemowlętom, toteż w sezonie pomarańczy panna Jenkyns i panna Matylda po obiedzie wstawaly od stołu, brały w milczeniu każda po jednym owocu i wycofywały się w zacisze własnego pokoju, aby tam użyć sobie na ssaniu pomarańczy.

Parę razy w takiej sytuacji próbowałam namówić pannę Matty do pozostania i za życia jej siostry udawało mi się to. Zasłaniałam się czymś i nie patrzyłam, a ona, jak mawiała, starała się, żeby ssanie nie było zbyt dokuczliwe dla uszu; ale teraz, gdy panny Jenkyns zabrakło, zgorszyła się ogromnie, kiedy prosiłam, żeby pozostała w ciepłym pokoju i jadła pomarańczę, tak jak lubi. Podobnie było ze wszystkim. Zasady panny Jenkyns uległy obostrzeniu, ponieważ twórczyni tych zasad odeszła tam, gdzie nie ma odwołania. We wszystkim innym panna Matty okazywała uległość i chwiejność, aż to gniewało. Słyszałam, jak za namową Fanny w ciągu jednego poranka dwadzieścia razy zmieniła dyspozycje obiadowe, tak jak się tej małej psotnicy spodobało; i czasem myślałam, że Fanny wykorzystywała jej słabość, aby ją przestraszyć i żeby czuła, że jest zależna od swojej sprytniej służącej. Zdecydowałam, że nie zostawię panny Matty samej, dopóki nie przekonam się, jaka jest Marta, a jeśli będzie godna zaufania, powiem jej, żeby nie niepokoiła swej pani byle głupstwem.

Marta była to dziewczyna otwarta i szczerą aż do przesady, poza tym żywa i mająca dobre intencje, ale całkiem surowa. Nie minął jeszcze tydzień, jak nastąpiła, kiedy pannę Matyldę i mnie zdumiało nadejście listu od kuzyna panny Matty, który spędził dwadzieścia czy trzydzieści lat w Indiach, a ostatnio, jak dowiedzieliśmy się z Listy Oficerów, powrócił do Anglii przywożąc ze sobą schorowaną żonę, której nigdy dotąd nie przedstawił angielskim krewnym. Major Jenkyns napisał z propozycją, że jadąc do Szkocji zatrzyma się wraz z żoną na noc w Cranford — w zajeździe, jeśli pannie Matyldzie nie będzie odpowiadało przyjęcie ich w domu. W tym wypadku mają nadzieję, że spędzą z nią możliwie jak najwięcej czasu w dzień. Oczywiście, musi to jej odpowiadać, oświadczyła panna Matylda, wszak całe Cranford wie, że ma wolną sypialnię siostry. Pewna jednak byłam, że wolałaby, aby major pozostał był w Indiach i zapomniał zupełnie o wszystkich swoich krewnych.

— Ach, jak mam to wszystko urządzić? — pytała bezradna. — Gdyby Debora żyła, wiedziałaby na pewno, jak przyjąć dżentelmena. Czy mam tu w sypialni położyć brzytwę? Ależ, droga moja, nie mam ani jednej. Debora by, oczywiście, miała. A ranne pantofle i szczotkę do ubrania?

Powiedziałam, że pewno przywiezie te rzeczy ze sobą.

— A skąd mam wiedzieć, że czas już wstać po obiedzie i zostawić go przy winie? Debora zrobiłaby to, jak trzeba, byłaby całkiem w swojej roli. A jak myślisz, czy będzie chciał kawy?

Podjęłam się zająć kawą i obiecałam, że wyuczę Martę sztuki podawania do stołu — a trzeba przyznać, że pod tym względem pozostawiała bardzo wiele do życzenia. Powiedziałam, że majorostwo Jenkynsowie z pewnością rozumieją, że samotna dama w małym miasteczku wie dzie żywot skromny. Ale panna Matty była smutna i niespokojna. Dopilnowałam, by opróżniła karafki, i przyniosłam dwie świeże butelki wina. Żałowałam, że nie mogę zapobiec jej obecności podczas pouczeń, jakich udzielałam Marcie, bo często przerywała, podając jakąś nową instrukcję, i mąciła całkiem w głowie biednej dziewczynie, która stała z

rozdziawionymi ustami, słuchając jednocześnie nas obu.

— Obnieś jarzyny — powiedziałam (niemądrze, jak teraz widzę, bo chciałam osiągnąć więcej, niż było to możliwe do osiągnięcia spokojem i prostotą), a widząc jej zdumione spojrzenie, dodałam: — Obejdź stół i podaj jarzyny siedzącym przy stole, aby sobie nabrali.

— A nie zapomnij podawać najpierw paniom — wtrąciła panna Matylda. — Zawsze, gdy podajesz do stołu, idź najpierw do pań, a potem do panów.

— Zrobię, jak pani każe, proszę pani — odrzekła Marta — ale ja bardziej lubię chłopaków.

Poczułyśmy się bardzo niezręcznie, zgorzone jej słowami, choć nie przypuszczam, by miała na myśli coś złego, i z grubsza biorąc usługiwała zgodnie z naszymi wskazówkami, z tym tylko, że trąciła łokciem majora, gdy nie dość szybko nabierał kartofli, które mu podawała.

Kiedy przyjechali majorostwo okazało się, że są to spokojni, pełni prostoty ludzie, ociążali, jak zapewne wszyscy mieszkańcy Indii; ku naszej konsternacji przywieźli ze sobą dwoje służby, osobistego służącego majora i poważną starszą garderobianą jego żony; ale ci spali w zajeździe i zmniejszyli poważnie nasze kłopoty dbając z wielkim staraniem o wygody swych państwa. Marta oczywiście gapiła się bez przerwy na biały turban i ciemną twarz Hindusa, i dostrzegłam, że panna Matylda wzdrygnęła się trochę, gdy podawał do stołu. A nawet po ich wyjeździe zapytała, czy mi nie przypominał Sinobrodego. Ogólnie biorąc, wizyta wypadła pomyślnie i do tej pory nawet bywa tematem rozmów z panną Matyldą, w swoim zaś czasie ekscytowało się nią całe Cranford, zaś apatyczną i czcigodną panią Jamieson wizyta owa poruszyła do tego stopnia, że wyraziła pewne zainteresowanie, kiedy przyszłam do niej dziękując za łaskawe udzielenie odpowiedzi na pytanie panny Matyldy dotyczące urządzenia ubieralni dżentelmena, których to odpowiedzi, muszę wyznać, udzielała ze znużoną miną skandynawskiej prorokini.

„Zostawcie mnie, zostawcie mnie w spokoju.”

A teraz dochodzę do historii pewnej miłości. Zdaje się, że panna Pole miała kuzyna, drugiego czy trzeciego stopnia, który kiedyś dawno oświadczył się pannie Matty. Kuzyn ten mieszkał kilka mil od Cranford, we własnej posiadłości, która jednak nie była dostatecznie duża, by można go zaliczyć do ziemiaństwa, a raczej jego „duma, która udaje pokorę” nie pozwoliła mu piąć się w ich szranki, czego dokonało wielu równych jemu. Nie pozwalał, by nazywano go „Thomas Holbrook, Esq”, a nawet odsyłał z powrotem listy tak zaadresowane i zapowiedział poczciarce w Cranford, że nazywa się po prostu „Pan Thomas Holbrook”. Nie wprowadzał żadnych nowości do domowych urządzeń: drzwi jego domu stały otworem w lecie, a w zimie były zamknięte, i nie umieszczono przy nich kołatki ani dzwonka na służącego. Zaciśnięta pięść albo główka laski spełniały tę funkcję, jeśli znalazł drzwi zamknięte. Pogardzał wszelką ogładą, gdy nie wyrastała z podłoża głębokiego humanitaryzmu. Jeżeli nikt w domu nie był chory, nie widział potrzeby ściszenia głosu. Mówił doskonale narzeczem swojej okolicy i stale używał go w rozmowie; jednakże panna Pole (od niej usłyszałam o tych szczegółach) dodała, że czytał głośno bardzo pięknie i z głębszym uczuciem niż ktokolwiek inny, kogo słyszała, z wyjątkiem zmarłego pastora.

— Ale jak to się stało, że panna Matylda nie wyszła za niego?

— Och, nie wiem. Myślę, że chyba chciała, ale rozumie pani, kuzyn Thomas nie był na tyle dżentelmenem, aby mógł spodobać się pastorowi i pannie Jenkyns.

— No cóż, nie oni mieli go poślubić — rzuciłam niecierpliwie.

— Nie, ale nie chcieli, by panna Matty wyszła za mąż poniżej swego stanu. Była przecież córką pastora i spokrewnieni byli z Sir Peterem Arleyem, co panna Jenkyns bardzo sobie ceniła.

— Biedna panna Matty! — westchnęłam.

— No cóż, nie wiem nic poza tym, że się oświadczył i został odrzucony, może pannie Matty się nie podobał, zaś panna Jenkyns nie zabierała głosu... To tylko moje domysły.

— Czy nie widziała się z nim od tej pory? — dopytywałam.

— Nie, chyba nie. Widzi pani, Woodley, dom kuzyna Thomasa, leży w połowie drogi między Cranford i Misselton, i wiem, że wkrótce po swych oświadczeniach zaczął jeździć do Misselton na targ, i nie przypuszczam, by więcej niż raz czy dwa razy odwiedził Cranford. Kiedyś, gdy szłam z panną Matty główną ulicą, nagle odbiegła ode mnie i wpadła w jedną z bocznych uliczek. W chwilę potem niespodziewanie spotkałam kuzyna Thomasa.

— Ileż on ma lat? — zapytałam po chwili, wypełnionej snuciem różnych planów.

— Myślę, moja droga, że musi mieć około siedemdziesiątki — odparła panna Pole, a mój domek z kart runął, jak zdmuchnięty wiatrem.

Wkrótce po tej rozmowie, w każdym razie podczas mojej długiej wizyty u panny Matyldy, miałam okazję zobaczyć pana Holbrooka i byłam świadkiem jego pierwszego spotkania z dawną miłością, po trzydziestu czy czterdziestu latach rozłąki. Właśnie pomagałam pannie Matty w rozstrzygnięciu problemu, czy któryś z materiałów z nowego asortymentu, świeżo sprowadzonego do sklepu, będzie pasował do popielato-czarnego muślinu, do którego potrzeba było dobrać jeszcze jedną szerokość, gdy wysoki, chudy, podobny do Don Kichota starzec wszedł do sklepu po wełniane rękawiczki. Nie widziałam go dotąd nigdy (a miał dosyć uderzającą powierzchowność) i obserwowałam go uważnie, podczas gdy panna Matty słuchała, co mówił subiekt. Nieznajomy miał na sobie granatowy surdut z miedzianymi guzikami, brązowe bryczesy i getry i bębnił palcami, póki nie podszedł sprzedawca. Gdy odpowiadał na jego pytania: — Co mógłbym dziś panu pokazać, sir? — zobaczyłam, że panna Matty nagle drgnęła i gwałtownie usiadła, więc natychmiast odgadłam, kto to taki. Zażądała poprzednio czegoś, z czym subiekt musiał się zwrócić do kolegi.

— Panna Jenkyns potrzebuje czarnej tafty po dwa szylingi i dwa pency za jard.

Pan Holbrook usłyszał nazwisko i w dwóch susach znalazł się w naszej części sklepu.

— Matty... panna Matylda... panna Jenkyns! O, Boże! Nie poznałbym wcale.

Jak się pani miewa?... Jak się pani miewa? — Potrząsał jej dłonią w sposób świadczący o przyjaznych uczuciach, ale powtarzał tak często, jak gdyby do siebie samego: „nie byłbym pani poznał”, że jego zachowanie nie pozwalało mi na snucie dalej romansu, który być może skłonna byłam tworzyć.

Jednakże mówił bez przerwy przez cały czas, kiedy byliśmy w sklepie, a potem odsuwając na bok machnięciem ręki subiekta z nie zakupionymi jeszcze rękawiczkami, zawołał: — Kiedy indziej, kiedy indziej — i odprowadził nas do domu. Z zadowoleniem przyznaję, że druga klientka, panna Matty, także opuściła sklep w równym podnieceniu, nie kupiwszy ani zielonego, ani czerwonego jedwabiu. Pana Holbrooka przepełniała uczciwa szczerza radość z powodu spotkania dawnej miłości: wspomniał o zmianach, jakie zaszły, wyraził się nawet o panie Jenkyns: „Pani biedna siostra! No cóż, każdy z nas ma jakieś wady”, i pożegnał nas wyrażając kilkakrotnie nadzieję, że wkrótce znów zobaczy pannę Matyldę. Udała się wprost do swego pokoju i nie pokazywała się aż do naszej wieczornej herbaty, a wtedy odniosłam wrażenie, że ma zaczerwienione oczy.

ROZDZIAŁ IV

Wizyta u starego kawalera

W parę dni później przyszedł list od pana Holbrooka, zapraszający nas (taktownie zapraszający nas obie) formalnym, staroświeckim stylem, byśmy spędziły dzień w jego domu, długi czerwcowy dzień, bo właśnie był czerwiec. Jednocześnie wspomniał, że zaprosił także swą kuzynkę, pannę Pole, więc mogłybyśmy zabrać się razem jednokonką, która poczekałaby u niego, by nas odwiedzić z powrotem.

Myślałam że panna Matty aż podskoczy z radości na to zaproszenie. Ale gdzie tam! Panna Pole i ja z największą trudnością namówiłyśmy ją, by jechała. Uwa-

żała to za niewłaściwe i nawet była niemile zaskoczona, kiedyśmy absolutnie nie dostrzegały nic niewłaściwego w tym, że w towarzystwie dwóch innych pań uda się z wizytą do dawnego wielbiciela. Następnie pojawiła się poważniejsza trudność. Sądziła, że Debora nie życzyłaby sobie, żeby ona odwiedzała pana Holbrooka. Przełamanie tej trudności wymagało pół dnia usilnego przekonywania; ale pochwyciłam pierwszą okazję, pierwsze jej ustępliwe słowo, i napisałam w jej imieniu list z wyznaczeniem dnia i godziny, żeby wszystko ustalić i z tym skończyć.

Nazajutrz rano panna Matty zapytała, czy nie poszłabym z nią do sklepu, gdzie po długim wahaniu wskazała trzy czepeczki, które miały być przysłane do domu, celem przymierzenia ich i wybrania najbardziej twarzowego na czwartkową wizytę.

Przez całą drogę do Woodley panna Matty trwała w stanie milczącego podniecenia. Widocznie nigdy jeszcze tam nie była. Absolutnie nie orientowała się, że wiem cokolwiek o tej dawnej historii, a ja dostrzegłam, że cała drży na myśl, że zobaczy to miejsce, które mogło być jej domem i wokół którego krążyło zapewne wiele jej dziewczęcych snów. Długo jechałyśmy wyboistymi polnymi drogami. Panna Matyllda siedziała wyprostowana i spoglądała w zamyśleniu przez okno pojazdu, kiedy zbliżałyśmy się do końca drogi. Okolica wyglądała spokojnie i sielsko. Woodley leżało wśród pól: dom otoczony staroświeckim ogrodem, w którym krzaki róż i porzeczek splatały się ze sobą, a pierzasta zieleń szparagów tworzyła piękne tło dla goździków i lewkonii. Nie było podjazdu przed domem. Wysiadłyśmy przy niewielkiej furtce i poszłyśmy- prostą ścieżką wysadzaną bukszpanami.

— Mój kuzyn mógłby zrobić tu podjazd — zauważyła panna Pole, która obawiała się bólu ucha, mając tylko czepeczek na głowie.

— A mnie się zdaje, że jest tu bardzo ładnie — oświadczyła panna Matty z jakąś miękką nutką w głosie i prawie szeptem, bo właśnie pan Holbrook pojawił się u drzwi, zacierając ręce w ferworze gościnności. Wydał mi się jeszcze bardziej

niż przedtem podobny do Don Kichota, ale tylko pod względem zewnętrznym. Jego zażywna klucznica stała we drzwiach, aby nas powitać, a kiedy prowadziła starsze panie na górę, by zdjęły okrycia, ja poprosiłam, żebym mogła przyjrzeć się ogrodowi. Widocznie moja prośba sprawiła przyjemność gospodarzowi, bo oprowadził mnie po całej posiadłości i pokazał dwadzieścia sześć swoich krów, którym zamiast imion ponadawał kolejne litery alfabetu. Parokrotnie w czasie spaceru wprowadził mnie w zdumienie, bo cytował bardzo a propos piękne urywki poezji, przeskakując swobodnie od Shakespeare'a i George'a Herberta do poetów współczesnych, a robił to tak naturalnie, jak gdyby głośno myślał, zaś ich piękne i oddające prawdę określenia stanowiły najlepszy wyraz tego, co sam sądził i czuł. Oczywiście, Byrona tytułował „milordem Byronem”, i z angielska wymawiał nazwisko Goethego, dokładnie tak, jak się pisze. „Jak mówi Goethe: »Wy, wiecznie zielone pałace...«” Nigdy dotychczas ani nigdy potem nie spotkałam człowieka, który przeżywszy długie lata na odludziu, w niezbyt malowniczej okolicy, potrafiłby wciąż na nowo podziwiać urok zmieniającej się z godziny na godzinę i z miesiąca na miesiąc przyrody.

Kiedy wróciliśmy do domu, obiad był już prawie gotów w starodawnej kuchni — bo chyba tak należało nazywać tę izbę, ponieważ stały tam oprócz pieca dębowe kredensy i szafki i tylko na środku kamiennej podłogi leżał mały perski dywanik — która łatwo mogłaby stać się elegancką jadalnią z meblami z ciemnego dębu, gdyby usunąć piec i inne akcesoria kuchenne, i tak zapewne nie używane, gdyż prawdziwa kuchnia mieściła się nieco dalej. Salon, w którym mieliśmy potem siedzieć, był brzydki, z ciężkimi meblami, i zamiast tam, spędziliśmy popołudnie w pokoju, nazwanym przez pana Holbrooka kantorem. Znajdowało się tam w pobliżu drzwi wielkie biurko, przy którym zwykł wypłacać swym pracownikom tygodniowe zarobki, a resztę tego przyjemnego pokoju — z oknami na sad, z cieniami drzew tańczącymi na podłodze — zajmowały książki. Leżały na podłodze, zasłaniały ściany, rozrzucono je na stole. Pan Holbrook wydawał się na pół zawstydzony i na pół dumny ze swojej ekstrawagancji w tej

dziedzinie. Książki były tu najróżniejsze, ale przeważała w nich poezja i dziwne opowieści. Najwidoczniej musiał je dobierać stosownie do własnego upodobania bez względu na to, czy należą do pozycji klasycznych lub cieszą się ogólnym uznaniem.

— Ach — westchnął — my rolnicy nie powinniśmy poświęcać wiele czasu na czytanie, a jednak nie mogę się temu oprzeć.

— Co za przyjemny pokój! — stwierdziła panna Matty sotto voce.

— Co za przyjemne miejsce! — wykrzyknęłam prawie jednocześnie.

— Doprawdy, podoba się paniom? — ucieszył się. — Ale czy będzie paniom wygodnie siedzieć na tych wielkich, trójnożnych krzesłach, obitych czarną skórą? Mnie się tu podoba bardziej niż w salonie, ale myślałem, że panie tamten pokój uznają za bardziej elegancki.

I rzeczywiście był on bardziej elegancki, ale jak większość eleganckich rzeczy, ani ładny, ani miły, ani przytulny, więc gdy już jedliśmy obiad, dziewczyny odkurzały i czyściły krzesła w kantorze i tam przesiedziałyśmy całe popołudnie.

Pudding podano przed pieczystym i miałam wrażenie, że pan Holbrook zamierza przeprosić za te staromodne obyczaje, gdyż zaczął:

— Nie wiem, czy panie pochwalają nowe zwyczaje?

— O, wcale nie! — zawołała panna Matty.

— Ja ich też nie uznaję — potwierdził. — Moja gospodyni chce dawać obiady według nowej mody, a ja jej mówię, że w moich młodych latach stosowaliśmy się wiernie do zasady ojca: „Bez rosółu nie ma puddingu, bez puddingu nie ma wołowiny”, i zawsze zaczynaliśmy obiad od rosółu. Potem był pudding, gotowany na rosole wołowym, a potem mięso. Kto nie zjadł rosółu, nie dostawał puddingu, który bardzo lubiliśmy, zaś wołowinę wnoszono na końcu i tylko ci ją jedli, którzy oddali sprawiedliwość rosółowi i puddingowi. Teraz ludzie zaczynają od słodkich rzeczy i odwracają bez sensu porządek obiadu.

Kiedy podano kaczki i zielony groszek spojrzaliśmy na siebie ze zgrozą:

miałyśmy tylko widelce o dwóch zębach, z czarnymi rączkami. To prawda, że stał ich lśniła jak srebro, ale co miałyśmy robić? Panna Matty przy jedzeniu nadziewała groszki na zęby widelca, podobnie jak Amina swoje ziarenko ryżu po uczcie z Gulami⁴. Panna Pole z westchnieniem odsunęła na bok talerza delikatny młody groszek, nawet go nie spróbowała, bo na pewno spadałby między zębami widelca. Spojrzałam na naszego gospodarza: groszek dostawał się całą masą do jego dużych ust, zmiatany zaokrąglonym na końcu nożem. Podpatrzyłam, powtórzyłam, zwyciężyłam! Choć stworzyłam ten precedens, moim przyjaciółkom brakło odwagi, by zrobić rzecz tak nie *comme il faut* i gdyby pan Holbrook był trochę mniej głodny, prawdopodobnie by zauważył, że groszek zszedł ze stołu niemal nie tknięty.

Po obiedzie wniesiono glinianą fajkę i spluwaczkę i pan Holbrook poprosił, abyśmy przeszły do sąsiedniego pokoju, jeśli nie znosimy dymu, a on wkrótce do nas się przyłączy. Po czym wręczył fajkę pannie Matty i poprosił o napełnienie. W jego młodości co prawda uważano to za komplement świadczony damie, lecz proponowanie tego pannie Matty w sensie zaszczytu było posunięciem dość nieodpowiednim, gdyż siostra wpoila w nią obrzydzenie do tytoniu pod każdą postacią. Jeśli jednak raniło to jej delikatność, stanowiło przecież satysfakcję dla uczuć, jako wyróżnienie. Zręcznie upchała fajkę mocnym tytoniem i wyszła.

— Bardzo jest przyjemnie być podejmowaną obiadem u kawalera — powiedziała cicho, kiedy usadowiliśmy się w kantorku. — Mam nadzieję, że nie ma w tym nic niewłaściwego, choć tylu przyjemnych rzeczy robić nie wypada.

— Ileż on ma książek — powiedziała panna Pole, rozglądając się po pokoju. — I jakie zakurzone!

— Myślę, że ten pokój musi być podobny do jednego z pokoi wielkiego doktora Johnsona — dodała panna Matty. — Pani kuzyn należy do niezwykłych ludzi.

— Tak — odparła panna Pole — on bardzo dużo czyta, ale obawiam się, że

⁴ Uczta Aminy z Gulami — to fragment jednej z „Baśni z tysiąca i jednej nocy”.

nabył trochę nieokrzesanych obyczajów na skutek samotnego życia!

— Och, nieokrzesanych to za ostre słowo. Ja bym go nazwała oryginałem. Wszyscy wybitni ludzie są zawsze oryginałami — odparła panna Matty.

Kiedy zjawił się wśród nas zaproponował spacer po polach, ale obie starsze panie lękały się błota i wilgoci, i musiałyby włożyć bardzo nietwarzowe kapłuszony na swe czepeczki, więc odmówiły i znowu ja mu towarzyszyłam w obchodzie, który, jak twierdził, musiał odbyć by dojrzeć swych ludzi. Szedł wielkimi krokami albo zapomniawszy zupełnie o moim istnieniu, albo milczący z powodu fajki — a jednak ściśle biorąc nie było to kompletne milczenie. Szedł przede mną, nieco pochylony, z rękoma założonymi z tyłu, a jeśli uderzył go widok jakiegoś drzewa czy chmury, czy łąk na pagórkach w oddali, deklamował wiersze samemu sobie wygłaszając je donośnym, dźwięcznym i uroczystym głosem, kładąc nacisk tam, gdzie mu go położyć kazało prawdziwe uczucie i zrozumienie.

Zbliżyliśmy się do starego cedru, rosnącego koło jednego skrzydła domu.

„Cedr rozpościera ciemnozielone warstwy cienia.”

— Wspaniałe określenie: warstwy! Cudowny człowiek!

Nie wiedziałam, czy mówi do mnie, czy do siebie, ale wtrąciłam potakująco:

— Cudowny — choć nic mi o tym nie było wiadomo, po prostu dlatego, że już mi się znudziło być zapomnianą i w konsekwencji milczącą.

Obrócił się szybko.

— Tak, może pani mówić: cudowny. Kiedy zobaczyłem recenzje jego poematów w Blackwood wyruszyłem z domu w ciągu godziny, poszedłem na piechotę (koni nie było) siedem mil do Misselton i zamówiłem je. A zatem, jakiego koloru są pączki jesionu w marcu?

(Czy go ogarnia szaleństwo? — pomyślałam. — Mówi całkiem jak Don Kichot.)

— Jakiego są koloru, pytam? — powtórzył gwałtownie.

— Nie wiem, proszę pana — odparłam potulnie, świadoma swej ignorancji.

— Orientuję się, że pani nie wie. Ja też nie wiedziałem, taki stary głupiec ze mnie... dopóki ten młodzieniec nie zjawił się i nie powiedział mi: „Czarne jak pączki jesionu w marcu”. A przecież spędziłem całe życie na wsi, więc tym większy wstyd dla mnie. Czarne: one są kruczoczarne, proszę pani.

I odszedł znów ode mnie, kołysząc się w rytm jakiegoś wiersza, który mu brzmiał w uszach.

Kiedy wróciliśmy do domu, chciał nam koniecznie przeczytać poematy, o których mówił. Panna Pole popierała jego propozycje, przypuszczalnie dlatego, żebym usłyszała, jak pięknie czyta, była bowiem z tego dumna. Wprawdzie ona sama powiedziała później, że doszła do trudnego miejsca w swojej robocie szydełkowej i chciała policzyć ściegi w spokoju, nie zmuszana do rozmowy. Pannie Matty każda jego propozycja wydawała się słuszna. Inna rzecz, że zasnęła zdrowo w pięć minut potem, jak zaczął czytać długi poemat „Locksley Hall”⁵, i spała sobie wygodnie nie widziana przez niego przez cały czas czytania; dopiero kiedy jego głos zamilkł, obudziła się i spostrzegłszy, że panna Pole zajęta jest liczeniem, a należałoby coś powiedzieć, rzekła:

— Jakaż to ładniutka książka!

— Ładniutka, proszę pani! Jest piękna! No, doprawdy „ładniutka”!

— Ależ tak, chciałam właśnie powiedzieć, że piękna — tłumaczyła, zaniepokojona jego dezaprobatą. — Tak przypomina ten piękny poemat doktora Johnsona, który moja siostra zwykle czytała... zapomniałam, jak on się nazywa... Jakże, moja droga? — zwróciła się do mnie.

— Co ma pani na myśli? O czym był ten poemat?

— Nie przypominam sobie, o czym, i zupełnie zapomniałam, jak się nazywa, ale napisał go doktor Johnson i jest bardzo piękny i podobny do tego, który nam teraz przeczytał pan Holbrook.

— Nie przypominam sobie — rzekł w zamyśleniu. — Ale ja nie znam dobrze

⁵ Locksley Hall — (1842) poemat Alfreda Tennysona. Bohater odwiedza Locksley Hall, gdzie spędził młodość, i wspomina swą miłość do kuzynki Amy, która ulegając woli rodziców odrzuciła go dla bogatszego konkurenta.

poematów doktora Johnsona. Będę musiał je przeczytać.

Kiedy wsiadłyśmy do pojazdu ruszając w drogę powrotną usłyszałam, jak pan Holbrook zapowiadał, że wkrótce złoży wizytę paniom, aby się upewnić, że dojechały zdrowo, i w momencie gdy to mówił, sprawiło to pannie Matty widoczną przyjemność i ożywiło ją, ale gdy stary dom zniknął wśród drzew, uczucie dla jego właściciela stopniowo ustępowało miejsca niepokojowi, czy Marta nie złamała danego słowa i nie skorzystała z nieobecności swej pani, aby widzieć się z chłopakiem. Ale gdy dziewczyna pomagała nam wysiąść była spokojna i pogodna, zawsze dbała o swą panią, a tego właśnie wieczoru skierowała do niej te niefortunne słowa:

— Et, panno Matty! Kto to widział wychodzić wieczorem w takim cienkim szalu! Toż to jak muślin. W pani wieku trzeba być ostrożniejszą.

— W moim wieku! — wykrzyknęła panna Matty tonem, który zważywszy jej zwykłą łagodność, wydał się niemal gniewny. — W moim wieku! A ileż to, wyobrażasz sobie, mam lat, skoro tak mi wypominasz mój wiek?

— No cóż, proszę pani, ma pani chyba pod sześćdziesiątkę, ale ludzie czasem wyglądają na starszych niż są, a ja na pewno nie chciałam powiedzieć nic złego.

— Marto, nie mam jeszcze pięćdziesięciu dwóch lat — oświadczyła panna Matty z powagą. Zapewne tego dnia wspomnienia młodości stanęły przed nią jak żywe i odczuwała wielką przykrość na myśl, że te złote czasy tkwią tak głęboko w przeszłości. Ale nigdy nie mówiła, że dawniej znajomość jej z panem Holbrookiem była znacznie bliższa. Prawdopodobnie tak mało napotkała ongiś zrozumienia dla swej miłości, że zamknęła to głęboko w sercu, i tylko dzięki temu, że ją pilnie obserwowałam — a nie mogłam od tego się powstrzymać po zwierzeniach panny Pole — wiedziałam, jak wierne było jej serce w swym smutku i milczeniu.

Każdego dnia miała jakiś słuszny powód, by włożyć swój najlepszy czepeczek, i siadała przy oknie mimo reumatyzmu, chcąc patrzeć na ulicę nie będąc widzianą.

Przyszedł. Gdyśmy już odpowiedziały na jego pytanie dotyczące drogi powrotnej, siedział przez chwilę pochylony do przodu i pogwizdywał, złożywszy dłonie na szeroko rozstawionych kolanach. Nagle poderwał się.

— Czy nie mają panie jakichś zleceń do Paryża? Jadę tam za tydzień lub dwa.

— Do Paryża! — wykrzyknęłyśmy obie.

— Tak, proszę pań. Nigdy tam nie byłem, a zawsze chciałem pojechać. Myślę, że jeżeli nie pojedę prędko, mogę tam już nigdy nie pojechać, więc skoro sianokosy się skończą, pojedę jeszcze przed okresem żniw.

Zdziwienie nasze było tak wielkie, że nie miałyśmy żadnych zleceń.

Kiedy już wychodził obrócił się ze swoim ulubionym wykrzyknikiem:

— Panie Świąty, toż prawie zapomniałem o jednym z powodów mego przyjazdu! Oto wiersze, które tak się pani podobały owego wieczoru u mnie. — Wyszarpnął z kieszeni jakąś paczkę. — Do widzenia, panienko! — rzekł. — Do widzenia, Matty! Uważaj na siebie.

I już go nie było. Ale dał jej książkę i nazwał ją Matty, jak trzydzieści lat temu.

— Wolałabym, żeby nie jechał do Paryża — mówiła z niepokojem panna Matty. — Obawiam się, że żaby mu nie posłużą. Zwykle musiał bardzo uważać na to, co je, choć wydawało się to dziwne u tak zdrowo wyglądającego młodego człowieka.

Wkrótce potem wyjechałam, zleciwszy wielokrotnie Marcie, by dbała o swą panią i żeby napisała do mnie, jeśli wydawać jej się będzie, że panna Matylda gorzej się czuje, a ja w tym wypadku przyjadę odwiedzić moją starą przyjaciółkę i nic nie powiem jej o tym liście.

Stosownie do moich poleceń otrzymywałam od czasu do czasu parę słów od Marty i mniej więcej w listopadzie przysłała wiadomość, że jej pani „jest jakaś smutna i nie chce jeść”, co zaniepokoiło mnie tak bardzo, że choć Marta nie wzywała mnie wyraźnie, spakowałam się i wyjechałam.

Przywitano mnie serdecznie, mimo że było trochę zamętu z powodu mego nagłego przyjazdu, gdyż mogłam zawiadomić o nim zaledwie na dzień wcześniej.

Panna Matyllda wyglądała bardzo źle; szykowałam się ją pocieszać i dogadzać jej.

Zeszłam do kuchni, żeby porozmawiać z Martą w cztery oczy.

— Od jak dawna twoja pani jest tak mizerna? — spytałam stanąwszy przy piecu.

— Chyba już od przeszło dwóch tygodni. O tak, już wiem. Od jednego wtorku, kiedy to po wizycie panny Pole tak osowiała. Myślałam, że jest zmęczona i że jej to przejdzie, jak się wyśpi, ale nie! Było z nią wciąż gorzej i gorzej, aż pomyślałam, że to mój obowiązek napisać do pani.

— Dobrze zrobiłaś, Marto. Z zadowoleniem myślę, że twoja pani jest pod opieką godnej zaufania dziewczyny. Mam nadzieję, że ci to miejsce odpowiada?

— Tak, proszę panienki, moja pani jest bardzo dobra i nie brak jedzenia, a pracy też daję radę, tylko że... — Marta zawahała się.

— Tylko że co, Marto?

— Tylko że to tak surowo ze strony pani nie pozwolić mi mieć chłopaka. Tyle tu chłopaków w mieście i już niejeden ofiarowywał się z towarzystwem, i może już nigdy nie znajdę się w takim miejscu, i to jest po prostu marnowanie okazji. Wiele z dziewczyn, jakie znam, miałyby swych chłopaków nie mówiąc nic pani, ale ja dałam na to słowo i dotrzymam go, chociaż to jest taki dom, że pani nic by nie wiedziała, gdyby przychodzili, bo jest tu taka wielka kuchnia, tyle w niej wspaniałych ciemnych zakątków, na pewno bym umiała ich ukryć. Myślałam nad tym w sobotę wieczór, bo nie zaprzeczę, że płakałam, jak musiałam Jemowi Hearnowi zatrzasać drzwi przed nosem, a to taki porządny chłopak, dobry dla najlepszej dziewczyny, tylko że dałam słowo.

Marta i teraz omal nie rozplakała się, a jakże miałam ją pocieszać, skoro wiedziałam z dawnych doświadczeń, że obie panny Jenkyns patrzyły na „chłopaków” ze zgrozą, a w obecnym stanie nerwów panny Matty trudno było przypuścić, by mogło się to zmienić.

Nazajutrz udałam się do panny Pole, a moje zjawienie się było dla niej absolutną niespodzianką, ponieważ nie odwiedzała panny Matylldy od dwóch dni.

— A teraz pójdę z tobą, moja droga, bo przyrzekłam powiedzieć, jak się czuje Thomas Holbrook. Przykro mi to mówić, ale jego gospodyni zawiadomiła mnie dziś, że on długo nie pociągnie. Biedny Thomas! Ta podróż do Paryża to było za wiele dla niego. Jego gospodyni mówi, że od tej pory nie był ani razu na swoich polach, że siedzi tylko w kantorze z rękami na kolanach, nie czyta ani nic, tylko wciąż powtarza, że Paryż to cudowne miasto! O, będzie miał za co odpowiadać Paryż, jeżeli stanie się przyczyną jego śmierci, bo lepszego człowieka nie było na tym świecie!

— Czy panna Matylda wie o jego chorobie? — zapytałam, gdyż zaczęło mi świtać w głowie, jaka może być przyczyna jej złego samopoczucia.

— Ależ oczywiście, moja droga! A nie powiedziała pani tego? Zawiadomiłam ją przed dwoma tygodniami lub trochę wcześniej, skoro tylko o tym usłyszałam. Jakie to dziwne, że nic pani nie powiedziała.

Pomyślałam, że nic w tym dziwnego, ale nic nie mówiłam. Niemalże czułam wyrzuty sumienia z powodu tego, że nazbyt wnikliwie badałam tajemnicę czulego serca. Nie zamierzałam wyjawiać tej tajemnicy, skrytej, jak wierzyła panna Matty, przed całym światem. Wprowadziłam pannę Pole do saloniku panny Matyldy i zostawiłam je same. Ale nie zdziwiło mnie, gdy Marta przyszła do mego pokoju prosząc, bym zjadła obiad sama, bo „pani ma jeden z tych swoich bólów głowy”. Zeszła do saloniku na herbatę, ale widać było, że jest to dla niej wysiłek. Jak gdyby chcąc zadośćuczynić za dręczące ją przez całe popołudnie uczucie żalu do swej zmarłej siostry, co obecnie sobie wyrzucała, opowiadała bezustannie, jak mądrą i dobrą była Debora w młodości, jak rozstrzygała o tym, w czym mają iść na każde przyjęcie (zamglony, wyblakły obraz dawnych balów, hen, za przepaścią czasu, w ich dziewczęcych latach!), i jak Debora z matką założyły towarzystwo dobroczynności dla biednych; jak kiedyś tańczyła z lordem; jak zwykła odwiedzać dom sir Petera Arleya i jak próbowała potem urządzić ich spokojną plebanię na wzór Arley Hall, gdzie trzymano trzydzieścioro służby; jak pielęgnowała pannę Matty podczas jej długiej, długiej

choroby, o której nigdy przedtem nie słyszałam, ale którą teraz umiejscowiłam w okresie po odrzuceniu pana Holbrooka. Tak więc w ten długi listopadowy wieczór cicho i spokojnie wspominałyśmy dawne czasy.

Następnego dnia panna Pole dała nam znać, że pan Holbrook nie żyje. Panna Matylda wysłuchiwała tej nowiny w milczeniu; w istocie rzeczy, na podstawie tego, cośmy wczoraj słyszały, trudno było spodziewać się czegoś innego. Panna Pole nie wyszła od razu chcąc posłyszeć jakiś wyraz żalu. Dopytywała, czy to nie smutne, że on już odszedł, i wreszcie rzekła:

— I pomyśleć o tym przemiłym dniu w czerwcu, kiedy wydawał się taki zdrów. Żyłby jeszcze dziesięć lat, gdyby nie pojechał do tego przekłętą Paryża, gdzie ciągle są rewolucje.

Urwała na chwilę, jakby czekając, że coś powiemy. Widziałam, że panna Matty nie może mówić, bo cała drży, powiedziałam więc to, co czułam, i po dłuższej chwili — a nie wątpię, że przez cały ten czas myślała, że panna Matty przyjęła tę wiadomość bardzo spokojnie — panna Pole wyszła.

Panna Matty zdobyła się na wielki wysiłek, aby ukryć swe uczucie — tajiła je nawet przede mną, bo nigdy już nie wspomniała pana Holbrooka, choć książka od niego otrzymana leżała obok Biblii na stoliku koło jej łóżka. Nie przypuszczała, że ją słyszę, kiedy prosiła modystkę, aby jej zrobiła czepeczki podobne do tych, jakie nosi czcigodna pani Jamieson, i że słyszę odpowiedź modystki:

— Ależ ona nosi wdowie czepeczki, proszę pani!

— O, ja miałam na myśli tylko coś w tym stylu, nie wdowie czepeczki, oczywiście, ale trochę podobne do jej.

Przymus maskowania się wywołał u niej drżenie rąk i głowy, które już pozostały na zawsze.

Wieczorem tego dnia, kiedy usłyszałyśmy o śmierci pana Holbrooka, panna Matylda była bardzo milcząca i zamyślona. Po pacierzach zatrzymała Martę i przez chwilę stała, zastanawiając się, co powiedzieć.

— Marto — rzekła w końcu — jesteś młoda... — po czym milczała tak długo,

że Marta chcąc jej przypomnieć w pół urwane zdanie, dygnęła i wtrąciła:

— Tak, proszę pani. Skończyłam dwadzieścia dwa lata trzeciego listopada, proszę pani.

— I może, Marto, spotkasz kiedy młodego człowieka, który ci się spodoba i któremu ty się spodobasz. Powiedziałam, żebyś nie chodziła z chłopakami, ale jeżeli kiedy spotkasz takiego młodzieńca i powiesz mi, i ja przekonam się, że jest godzien zaufania, nie będę miała nic przeciw temu, żeby przychodził zobaczyć się z tobą raz na tydzień. Boże broń — dodała cicho — żebym miała zranić jakieś młode serce.

Mówiła tak, jakby to miało dotyczyć jakiejś przyszłej ewentualności, i była trochę zaskoczona, kiedy Marta z miejsca miała gotową odpowiedź.

— Proszę pani, jest taki Jem Hearn, i on jest stolarzem, i zarabia trzy i pół szylinga dziennie, i ma wzrostu bez butów sześć stóp i jeden cal, proszę pani, i jeśli pani jutro z rana spytała o niego, to każdy pani powie, że to porządny chłopak, no i dam sobie rękę uciąć, że bardzo się ucieszy, jak będzie mógł przyjść tu jutro wieczór.

Choć było to dla panny Matty niespodzianką nie próbowała walczyć z Losem i Miłością.

ROZDZIAŁ V

Stare listy

Niejednokrotnie zauważyłam, że prawie każdy człowiek ma swój własny sposób robienia drobnych oszczędności, że w pewnych dziedzinach życia przestrzega zwyczajów, pozwalających zaoszczędzić drobne pensy, a naruszenie tych zwyczajów dręczy go bardziej niż wydanie szylingów i funtów na rzeczywiste ekstrawagancje. Jeden z moich znajomych, starszy dżentelmen,

przyjął ze stoickim spokojem wiadomość o bankructwie banku spółdzielczego, w którym złożył część swoich pieniędzy, ale przez cały długi letni dzień zrzędził na swoich bliskich, ponieważ ktoś z nich wydarł, zamiast wyciąć, zapisane kartki z niepotrzebnego mu już kwitariusza bankowego, przy czym, oczywiście, wypadły również kartki po drugiej stronie i to marnotrawstwo papieru (a na papierze właśnie robił oszczędności) rozdrażniło go bardziej niż wspomniana strata pieniędzy. Kiedy pojawiły się koperty, irytowało go to okropnie i tylko cierpliwe wywracanie na drugą stronę wszystkich kopert, jakie do niego przyszły, tak aby nadawały się do ponownego użytku, godziło go z tym marnotrawstwem cennego artykułu. Nawet teraz, chociaż złagodniał z wiekiem, widuję często, jak rzuca gniewne spojrzenia na córki, kiedy wysyłają cały arkusik papieru, a nie połówkę, kreśląc na nim zaledwie parę linijek — i to na jednej tylko stronie w odpowiedzi na jakieś zaproszenie. Muszę przyznać, że i ja dzielę z innymi tę słabostkę. Moją piętą achillesową jest — sznurek! Kieszenie moje pęcznieją od kawałków sznurka, podniesionych przeze mnie i zwiniętych, gotowych do użycia w razie potrzeby, która jednak nigdy nie zachodzi. Sprawia mi poważną przykrość, jeżeli ktoś otrzymawszy paczkę przecina sznurek, zamiast go cierpliwie i starannie rozwiązywać, supeł po suple. Nie zdołam też pojąć, jak ludzie mogą tak lekkomyślnie używać zamiast sznurka gumek — wyższego gatunku sznurka. Dla mnie taka gumka to drogocenny skarb. Mam jedną, już nienową. Podniosłam ją z podłogi chyba ze sześć lat temu. Próbowałam, doprawdy próbowałam użyć jej zamiast sznurka, ale żal mi się zrobiło i nie zdobyłam się na taką rozrzutność.

Dla innych znowu źródło udręki stanowią kawałki masła. Osoby te nie są w stanie brać udziału w rozmowie z powodu zdenerwowania, jakie w nich budzi fakt, że niektórzy ludzie mają zawsze zwyczaj brać więcej masła, niż potrzebują. A czy wam nie zdarzyło się kiedy dostrzec takich osób, ze wzrokiem pełnym napięcia, jak w hipnozie, utkwionym w ów produkt? Byłoby dla nich ulgą, gdyby dla usunięcia owych kawałków masła z oczu ludzkich mogli wpakować je do własnych ust i połknąć. Są doprawdy uszczęśliwieni, jeżeli ktoś, na czym

talerzyku spoczywa taka resztką masła, niespodziewanie ułamie kawałek grzanki (całkiem bez apetytu) i konsumuje to masło. Uważają, że wtedy masło się nie marnuje.

Panna Matty Jenkyns zaś skąpiła świec. Uciekałyśmy się do różnych wybiegów, żeby ich jak najmniej wypalać. W zimowe popołudnia przesiadywała po parę godzin robiąc na drutach — potrafiła robić na drutach po ciemku lub tylko przy blasku ognia z kominka — a kiedy raz spytałam, czy mogłabym zadzwonić po świece, bo chcę skończyć przyszywanie mankietów, poradziła mi, żebym korzystając z ciemności odpoczęła. Wnoszono je zwykle razem z herbatą, ale zadowalałyśmy się jedną. Ponieważ żyłyśmy w nieustannym oczekiwaniu na kogoś z przyjaciół, kto mógłby wstąpić do nas po południu (ale jakoś nigdy nie wstępował), potrzebna była pewna pomysłowość, aby mieć stale w pogotowiu dwie świece równej długości, tak żeby po szybkim zapaleniu tej drugiej zdawało się, że cały czas siedzimy przy dwóch. Świece pełniły służbę po kolei i bez względu na to, co robiłyśmy lub o czym rozmawiałyśmy, panna Matty miała zwyczaj obserwować palącą się świecę, żeby móc poderwać się i zgasić ją, a zapalić drugą, zanim różnica w ich długości stanie się tak duża, że trudno byłoby je wyrównać w ciągu wieczora.

Przypominam sobie pewien wieczór, kiedy to oszczędność na świecach szczególnie mi dokuczyła. Sprzykrzył mi się już ten przymusowy odpoczynek po ciemku, zwłaszcza że panna Matty zasnęła i nie chciałam poruszać na nowo ognia, żeby jej nie obudzić, więc nie mogłam nawet usiąść na dywanie i przypiekać się szyjąc przy blasku kominka, jak to miałam w zwyczaju. Przyszło mi na myśl, że panna Matty śni o swym dawnym życiu, bo drzemała niespokojnie, rzuciła kilka słów w związku z osobami od lat już nieżyjącymi; kiedy weszła Marta z zapaloną świecą, panna Matty rozbudziła się gwałtownie i obrzuciła nas półprzytomnym, zdumionym spojrzeniem, jak gdyby kogoś innego spodziewała się ujrzeć koło siebie. Gdy mnie rozpoznała, na twarz jej padł cień smutku, ale natychmiast zdobyła się na zwykły swój uśmiech.

Przy herbacie rozmawiała o dniach swego dzieciństwa i młodości. Może to nasunęło jej myśl, że należy przejrzeć dawne listy rodzinne i zniszczyć te, co nie powinny wpaść w ręce obcych, nieraz już bowiem wspominała o konieczności zrobienia tego, ale powstrzymywała ją obawa bolesnych przeżyć. Owego jednak wieczoru po herbacie wstała i poszła po listy — w ciemnościach, bo szczyliła się porządkiem w swoich rzeczach, i zawsze patrzyła na mnie niespokojnie, kiedy zapalałam świecę, by przynieść coś z sąsiedniego pokoju. Kiedy wróciła, w pokoju powiało zapachem wanilii. Ten aromat, jak zauważyłam, rozsiewało wszystko, co kiedyś należało do jej matki, a wiele listów adresowanych było do niej: paczki pożółkłych listów miłosnych sprzed sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu laty.

Panna Matty rozcięła pakiet listów z westchnieniem, które zaraz stłumiła, jak gdyby nie przystało wyrażać żalu nad mijaniem lat czy nawet życia. Ustaliliśmy, że czytać będziemy oddzielnie, każda weźmie część listów z tej paczki i omówi je z drugą przed zniszczeniem. Nigdy do owego wieczora nie pomyślałam, jak smutno jest czytać stare listy, choć sama nie wiem, dlaczego tak jest. Były one pisane przez osoby bardzo szczęśliwe — przynajmniej te wczesne. Cechowało je gorące i głębokie upojenie chwilą bieżącą, chwilą takiego bogactwa i pełni życia, jak gdyby miała nigdy nie przeminąć, jak gdyby gorąco bijącym sercom, które na tych kartkach się wypowiedały, przeznaczone było żyć wiecznie, a nie obrócić się w proch na tej słonecznej ziemi. Nie ogarnęłaby mnie może taka melancholia, gdyby było jej choć trochę w tych listach. Widziałam, jak łzy spływają po pomarszczonych policzkach panny Matty i jak często musi przecierać okulary. Sądziłam, że zapali drugą świecę, bo i moje oczy się zamgliły i potrzeba mi było lepszego światła, by dojrzeć blady, spłowiwały atrament. Ale nie, ona widziała dobrze nawet przez łzy i nie zapomniała o swej metodzie oszczędzania.

Najwcześniejszy zbiór listów stanowiły dwie paczuszki, związane razem i opatrzone karteczką (pismem panny Jenkyns): „Listy wymienione między moim czcigodnym ojcem i ukochaną matką, przed ich ślubem, który się odbył w lipcu

1777”. Zdaje mi się, że pastor kranfordzki miał około dwudziestu siedmiu lat, gdy pisał te listy, zaś panna Matty powiedziała mi, że matka w chwili ślubu skończyła właśnie osiemnaście lat. Z dziwnym uczuciem czytałam te kartki, mając w duszy obraz pastora ukształtowany na podstawie portretu wiszącego w jadalni, na którym był sztywny i dostoyny, w ogromnej peruce, w todze, z białymi befkami, z ręką na egzemplarzu jedyne kazania, jakie kiedykolwiek wydrukował. Listy pełne były gorącego uczucia, ich krótkie zdania płynęły prosto z serca (jakże różne od wzorowanego na łacinie i na doktorze Johnsonie patetycznego stylu drukowanego kazania, wygłoszonego przed jakimś sędzią w czasie sesji sądowej). Stanowiły zdumiewający kontrast z listami jego narzeczonej. Była najwidoczniej trochę znudzona jego żądaniem ciągłych zapewnień miłości i nie mogła zrozumieć, dlaczego właściwie powtarza wciąż to samo tyloma różnymi sposobami, ale co było dla niej zupełnie jasne, to fakt, że pragnie mieć białą „paduasoy” — cokolwiek to słowo mogło oznaczać, i sześć czy siedem listów było w znacznej części wypełnione prośbami, by ukochany wpłynął na rodziców (którzy widać trzymali ją krótko), żeby dali jej to czy tamto z ubioru, a przede wszystkim białą „paduasoy”. On nie dbał o to, jak była ubrana, dla niego była zawsze piękna, o czym zapewniał ją z naciskiem, kiedy prosiła go, aby wyraził w liście swe upodobanie do pewnego rodzaju stroju, tak by mogła pokazać jego list rodzicom. W końcu jednak widocznie zrozumiał, że Molly nie pójdzie do ślubu, dopóki nie będzie miała wyprawy w swoim guście, więc posłał jej list, któremu musiało towarzyszyć całe pudło eleganckich strojów, i prosił, żeby ubrała się, jak jej serce zapragnie. To był pierwszy list, na którym delikatnym pismem nakreślono te słowa: „od mego najdroższego Johna”. Zapewne wkrótce się pobrali, jak wnoszę z przerwy w ich korespondencji.

— Chyba musimy te listy spalić — westchnęła panna Matty spoglądając na mnie niepewnie. — Po mojej śmierci nikogo nie będą interesowały.

I wrzucała je po kolei w ogień patrząc, jak każdy z nich płonie, przygasa, a jego biały duch rozwiewa się w górze i znika w kominie. Dopiero wtedy rzucała

następny na ten sam los. W pokoju było dostatecznie widno, ale ja, podobnie jak ona, zafascynowana obserwowałam proces zniszczenia, jakiemu podlegały te listy, w których tak szczerze wypowiedziało się męskie serce.

Napis na następnym liście, charakterem panny Jenkyns, głosił: „List z nabożnymi gratulacjami i upomnieniami od mego czcigodnego dziadka do mojej matki z okazji moich urodzin. Również nieco praktycznych rad mej przezacnej babki o potrzebie ciepłego okrywania kończyn niemowlęcia”.

Pierwsza część była, rzeczywiście, surowym obrazem obowiązków matek i ostrzeżeniem przed nieszczęściami tego świata, czyhającymi na maleństwo, liczące sobie dwa dni życia. Starszy pan donosił, że żona nie napisze, on zabronił jej tego, ponieważ jest cierpiąca z powodu zwichnięcia kostki w nodze, co (jak pisał) uniemożliwia jej utrzymanie pióra w ręku. Jednakże na dole kartki widniało drobnymi literkami „Verte”, a na jej odwrocie był, oczywiście, list do „mojej kochanej, najdroższej Molly”, w którym matka błagała ją, aby, gdy już wyjdzie z pokoju, najpierw poszła schodami w górę, a dopiero później na dół, i polecała jej owijać stopki dziecka flanelą i chociaż jest lato, trzymać je w ciepłe, przy ogniu, bo dzieci są tak delikatne.

Przyjemnie było widzieć z tych listów, najwidoczniej wymienianych dość często między młodą matką a babką, jak miłość do dziecka wykorzeniała z jej serca próżność. Biała „paduasoy” pojawiała się znowu w listach, z takim samym niemal entuzjazmem opisywana jak poprzednio. W jednym wspomniano, że zrobiono z niej dla dziecka sukienkę na chrzciny. To ona przystrajała je, kiedy jechało z rodzicami na parę dni do Arley Hall. Upiększała „to najładniejsze dzieciątko, jakie kiedykolwiek oglądano. Kochana Mamusiu, tak bym chciała, żebyś ją mogła zobaczyć. Całkiem bezstronnie uważam, że wyrośnie na prawdziwą piękność”. Przypomniała mi się panna Jenkyns siwa, zwiędła, pomarszczona i przez chwilę zastanawiałam się, czy matka zdołała ją poznać na niebiańskim dworze, a potem już byłam pewna, że ją poznała i że obie mają teraz oblicza aniołów.

Listy od pastora pojawiły się dopiero po długiej przerwie. A wtedy żona już go inaczej tytułowała: nie „Od mego najdroższego Johna”, ale: „Od mego szanownego małżonka”. Listy były napisane z okazji wydania tego samego kazania, którego egzemplarz przedstawiony został na portrecie. Wygłaszanie tego kazania przed „Wysokim Sądem” i „opublikowanie na żądanie” było najwidoczniej szczytowym punktem życia pastora — jego epokowym wydarzeniem. Koniecznym było udanie się do Londynu i dogłądanie druku. Musiał odwiedzić wielu przyjaciół i odbyć z nimi narady, nim powziął decyzję co do drukarza, któremu można by zlecić tak trudne zadanie. W końcu zaszczyt ten i odpowiedzialność stały się udziałem J. i J. Rivingtonów. Wydarzenie to rozbudziło w zacnym pastorze literacką wene, tak że każdy swój list do żony zakrapiał gęsto łaciną. Przypominam sobie, że koniec jednego z listów brzmiał następująco: „Zawsze będę miał w pamięci cnoty mojej Molly, dum memor ipse mei, dum spiritus regit artus” — co, zważywszy, że angielszczyzna listów jego żony zawodziła nieraz pod względem gramatyki, a często i ortografii, może służyć za dowód, jak bardzo idealizował swą „Molly”; a, jak zwykła mawiać panna Jenkyns, „dziś ludzie rozprawiają wiele na temat idealizowania, cokolwiek to może znaczyć”. Ale to było niczym w porównaniu z zapalem do tworzenia klasycznej poezji, który go wkrótce ogarnął. W wierszach tych Molly występowała pod imieniem Maria. List, zawierający owo carmen, nosił nagłówek: „Wiersze hebrajskie przysłane mi przez mego szanownego małżonka. Oczekiwałam listu, czy zabić prosię, ale muszę czekać. Nie zapomnieć posłać tych poezji do Sir Petera Arleya, jak mój małżonek sobie życzy!” Post scriptum dopisane jego ręką stwierdzało, że oda ta ukazała się w „Gentleman's Magazine”, w grudniu 1782 roku.

Jej odpowiedzi, zbierane przez męża tak pieczołowicie, jak gdyby to były „M.T.T. Ciceronis Epistolae”, musiały sprawiać większą satysfakcję nieobecnemu małżonkowi i ojcu niż jego listy — żonie. Pisała, że Debora bardzo starannie szyje każdego dnia i czyta jej głośno z książek, które on wskazał, że jest

nad wiek rozwiniętym, dobrym dzieckiem i nieraz zadaje pytania, na które matka nie znajduje odpowiedzi, ale matka nie kompromituje się przyznaniem do niewiedzy, tylko zabiera się wtedy do przegarniania ognia na kominku albo „posyła nad wiek rozwinięte dziecko” z jakimś poleceniem. Matty była teraz pieścioszką mamusi i zapowiadała się (podobnie jak siostra w jej wieku) na piękność. Przeczytałam ten ustęp głośno pannie Matty, która uśmiechnęła się i westchnęła, słysząc tak wprost z serca płynące słowa nadziei „mała Matty pewno nie okaże się prózną, nawet jeśli będzie bardzo piękna”.

— Miałam bardzo ładne włosy, moja droga — rzekła panna Matylda — i chyba niebrzydkie usta.

Wkrótce potem dostrzegłam, że poprawia czepeczek i prostuje się w krześle.

Ale wróćmy do listów pani Jenkyns. Opowiadała mężowi o biednych w parafii, o tym, jakie domowe lekarstwa stosuje, co im posyła do jedzenia, by się wzmocnili. Można było wyczuć, że nad głowami wszystkich nicponiów powiewała niczym różgą zapowiedzią jego gniewu. Prosiła go o decyzje co do krów i wieprzy, i jak już wspomniałam, nie zawsze je otrzymywała.

Dobra stara babunia już nie żyła, kiedy — wkrótce po opublikowaniu owego kazania — urodził się chłopiec. I znów nadszedł list od dziadka, pełen przestrog i upomnień, groźniejszych niż poprzednio, bo to przecież chłopaka strzec należało przed sidłami tego świata. Opisywał tyle najgroźniejszych grzechów, w jakie wpaść może mężczyzna, że zastanawiałam się, jak to się dzieje, że nie wszyscy mężczyźni giną gwałtowną śmiercią. Wyglądało na to, że przerażająca ilość przyjaciół i znajomych dziadka skończyła na szubienicy, toteż nie dziwiło mnie, że mówi o tej ziemi jako o „dolinie łez”.

Wydało mi się dziwne, że nigdy dotychczas nie słyszałam o tym bracie, ale doszłam do wniosku, że widocznie umarł młodo, gdyż w przeciwnym razie siostry by o nim wspomniały.

Doszłyśmy wreszcie do pakietu listów panny Jenkyns. Tych panna Matty nie miała chęci spalić. Powiedziała, że wszystkie inne są interesujące wyłącznie dla

osób, które kochały piszących, i że sprawiłoby jej przykrość, gdyby pozwoliła, by wpadły w ręce obcych, którzy nigdy nie znali jej matki i nie wiedzieli, jak była dobrą, choć jej pisownia nie zawsze stosowała się do nowoczesnych przepisów. Ale listy Debory przewyższały tamte niepomrotnie. Każdy mógł odnieść korzyść z ich czytania. Wiele już czasu minęło od chwili, gdy czytała panią Chapone⁶, ale pamięta, jak myślała wtedy, że Debora potrafiłaby napisać to samo równie dobrze. Co się zaś tyczy pani Carter⁷, to bardzo ceni jej list, bo jej dziełem był „Epiktet”, ale z pewnością Debora nigdy by nie użyła tak pospolitych wyrażen, jakich tamta używała. Było widoczne, że panna Matty paliła te listy z wielkim żalem. Nie mogła dopuścić, bym ja je lekkomyślnie odrzuciła po cichym przeczytaniu czy przejrzeniu. Wzięła je ode mnie i nawet zapaliła drugą świecę, by móc je czytać głośno z odpowiednią emfazą i bez potykania się na dłuższych słowach. Och, doprawdy, jakże spragniona byłam faktów, zamiast refleksji; nim dobiegłyśmy do końca, wypełniło nam to dwa wieczory i nie mogę zaprzeczyć, że myślałam jednocześnie i o innych sprawach, a jednak nie przeoczyłam nigdy końca zdania.

Listy pastora, a także jego żony i teściowej, były wszystkie względnie krótkie i zwięzłe, kreślone pismem prostym, przy czym jedna linijka znajdowała się tuż pod drugą. Czasami cały list mieścił się niemal na skrawku papieru. Papier był bardzo żółty, a atrament ciemnobrązowy, niektóre z tych listów (na co zwróciła moją uwagę panna Matty) przesyłane były dawną pocztą i miały na rogu znaczek, przedstawiający chłopca pocztowego, pędzącego co koń wyskoczy i dmącego w róg. Listy pani Jenkyns i jej matki zaklejone były ogromnym czerwonym opłatkiem do pieczętowania, były to bowiem czasy, nim jeszcze „Patronat” panny Edgeworth⁸ wypędził go z dobrego towarzystwa. Z tego, co pisała, wynikało

⁶ Hester Chapone (1727—1801) — autorka „Listów o doskonaleniu umysłu” i jednego z numerów „Ramblera”.

⁷ Elizabeth Carter (1717—1806) napisała dwa numery „Ramblera”, a także przetłumaczyła pisma Epikteta. Jej listy ukazały się drukiem pośmiertnie.

⁸ Maria Edgeworth (1767—1849) to ciesząca się w swoim czasie dużą popularnością powieściopisarka irlandzka, zaś „Patronage”, jedna z jej dłuższych powieści, nacechowana jest jak i

jasno, że franki były bardzo poszukiwane i że używano ich nawet jako środka płatniczego, gdy członkowie Parlamentu regulowali swoje długi. Pastor pieczętował swoje listy ogromnym sygnetem, a staranność, z jaką to robił, dowodziła, że oczekuje, iż zostaną one przecięte, a nie rozerwane bezmyślną lub niedbałą ręką. Format i sposób pisania listów panny Jenkyns okazywały, że są późniejszej daty. Używała kwadratowych arkusików, które zwykłyśmy zwać staroświeckimi. Potrafiła równomiernie porozmieszczać na kartce słowa — nawet te wielosylabowe — a zapełniwszy stronę, zabierała się z dumą i radością do pisania na niej pionowo. Panna Matty niepokoiła się i martwiła, bo słowa rosły jak tocząca się kula śnieżna i pod koniec owych listów stawały się czasem przeraźliwie długie. W jednym z listów do ojca, trochę teologicznym i trochę kontrowersyjnym w tonie, wspomniany był Herod, tetrarcha Idumei. Panna Matty przeczytała: „Herod, tetrarcha Etrurii” z tak zadowoloną miną, jak gdyby wszystko było w porządku.

Nie jestem całkiem pewna daty, ale zdaje się, że to w roku 1805 panna Jenkyns napisała najwięcej listów — a to z racji swej nieobecności, bawiła bowiem na wizycie u przyjaciół w pobliżu Newcastle nad Tyne. Owi przyjaciele pozostawali w zażyłych stosunkach z komendantem tamtejszego garnizonu i od niego dowiedzieli się o krokach, jakie podjęto celem odparcia najazdu Bonapartego, co, jak niektórzy wyobrażali sobie, mogłoby nastąpić u ujścia Tyne. Pannę Jenkyns ogarnęło najwidoczniej przerażenie i w pierwszej części swych listów, pisząc często niezbyt zrozumiałą angielszczyznę, podawała szczegóły przygotowań na tę straszliwą ewentualność czynionych w rodzinie, u której mieszkała; pisała o tobołkach z ubraniem, naszykowanych na wypadek ucieczki do Alston Moor (górzyste ustronie między Northumberland a Cumberland), o sygnale mającym wzywać do ucieczki i zarazem do stawienia się ochotników pod broń. Owym sygnałem (o ile dobrze pamiętam) miał być specjalny złowieszczy dźwięk, alarm dzwonów kościelnych. Jednego dnia, kiedy panna Jenkyns i

gospodarze byli na wizycie w Newcastle, dano rzeczywiście ten ostrzegawczy sygnał (było to postępowanie niezbyt rozsądne, jeśli prawdziwy jest morał bajki o pasterzu i wilkach, ale jednak zdarzyło się to naprawdę) i panna Jenkyns, zaledwie ochłonawszy z wrażenia, zaraz następnego dnia wysłała list opisujący dźwięk dzwonów, wstrząs tym wywołany, pośpiech i panikę. „Ach, mój drogi ojcie, jakże błaha wydaje się w obecnej chwili naszym spokojnym i krytycznym umysłem groza minionego wieczoru.” Tutaj panna Matty przerwała czytanie, mówiąc:

— Ale doprawdy, moja droga, to wcale nie było błahe ani nieważne podówczas. Pamiętam, że budziłam się często po nocach i zdawało mi się, że słyszę tupot nóg Francuzów wkraczających do Cranford. Wiele osób zapowiadało wtedy, że ukryją się w kopalniach soli — mięso dałoby się tam wspaniale konserwować, tylko może bardzo chciało by się pić! Ojciec mój wygłosił kilka kazań z tej okazji: jedną serię rano, o Dawidzie i Goliacie, aby nakłonić parafian do walczenia przy pomocy łopat i cegieł, jeżeli zajdzie potrzeba, a drugą serię po południu, dowodząc, że Napoleon (inne imię dla Bonny'ego, jak zwykliśmy go nazywać) jest tym samym, co Apollyon i Abaddon.⁹ Pamiętam, iż ojciec uważał, że powinni go poprosić o wydrukowanie tej drugiej serii, ale parafii, zdaje się, wystarczyło w zupełności to, czego wysłuchali.

Peter Marmaduke Arley Jenkyns („ten biedak Peter”, jak zwykła o nim mawiać panna Matty) był w tym czasie w szkole w Shrewsbury. Pastor wziął do ręki pióro, odświeżył znajomość łaciny i zabrał się do korespondencji z synem. Widać było, że listy chłopca pisane były na pokaz. Miały one wysoce intelektualny charakter, zamieszczał w nich sprawozdania z nauki i wyrażał rozliczne nadzieje dotyczące przyszłych osiągnięć naukowych, okraszone od czasu do czasu cytatami z klasyków. Ale prawdziwa natura chłopca przebijała przez nie raz po raz, w takich na przykład zdaniach, jak to, skreślone

⁹ Apollyon (gr.) i Abaddon (hebr.) — oba te słowa użyte w Apokalipsie oznaczają: „Książę piekiel”.

najwidoczniej drżącą ręką, gdy list został już sprawdzony: „Mamusi kochana, przyślij mi ciasto i dodaj do niego dużo cytryny”. „Mamusia kochana” posyłała mu prawdopodobnie odpowiedź w postaci ciasta i przysmaków, bo nie było jej listów w tym pakiecie. Za to znajdował się tu cały zbiór listów pastora, na którego łacina z listów synowskich działała jak surmy bojowe na starego konia kawaleryjskiego. Niewiele znam łaciny, to pewne, a jest to chyba piękny język — ale mało użyteczny, jak myślę, przynajmniej jeśli mam sądzić z tych okruchów, które pamiętam z listów pastora. Jeden brzmiał: „Nie masz tego miasta na swojej mapie Irlandii, ale Bonus Bernardus non videt omnia, jak mówi przysłowie”. Wkrótce widać było jasno, że biedny Peter wpadł w tarapaty. Niektóre listy do ojca zawierały patetyczne wyznania skruchy za popełnione złe uczynki, a wśród nich widniała brzydko napisana, brzydko opieczętowana, brzydko zaadresowana kartka pełna kleksów: „Moja kochana, kochana, najukochańsza Mamusi, będę lepszy, będę naprawdę, ale błagam, nie choruj przeze mnie, nie jestem tego wart, ale będę dobry, najdroższa Mamusi”.

Kiedy panna Matty przeczytała tę kartkę, płacz nie pozwolił jej dobyć głosu z gardła. W milczeniu podała mi ją, a potem wstała i zaniósła do swego pokoju, i schowała między świętymi pamiątkami, bojąc się, by przypadkiem nie uległa spaleni.

— Biedaczysko ten Peter — westchnęła. — Stale znajdował się w opałach. Był zbyt łatwowierny. Zachęcali go do wybryków, a potem to on ponosił konsekwencje. Ale zbyt lubił psoty. Nie mógł się oprzeć pokusie, gdy był jaki figiel do splełania. Biedny Peter.

ROZDZIAŁ VI

Biedny Peter

Tego biedaka, młodego Jenkynsa, oczekiwała piękna kariera nakreślona

przez jego bliskich na mapie życia, ale Bonus Bernardus non videt omnia — na tej mapie także. Miał zdobyć odznaczenia w szkole w Shrewsbury i przenieść je do Cambridge, a potem otrzymać prebendę od chrzestnego ojca, sir Arleya. Biedaczysko ten Peter! Jego los okazał się zupełnie inny, niż planowali i oczekiwali jego bliscy. Panna Matty opowiadała mi o nim długo i myślę, że sprawiło jej to ulgę.

Był beniaminkiem matki, która zdaje się świata nie widziała poza dziećmi, chociaż prawdopodobnie odczuwała pewien lęk przed Deborą, z powodu jej wyższości pod względem wykształcenia. Debora była ulubienicą ojca, a ten, gdy syn go zawiódł, przeniósł całą swą dumę na córkę. Z Shrewsbury Peter nie wyniósł żadnego odznaczenia, tylko zdobył sobie opinię najlepszego kolegi i prymusa w sztuce płatania figli. Ojciec był rozczarowany, ale po męsku zabrał się do dzieła naprawy. Nie stać go było na danie synowi prywatnego nauczyciela, ale mógł go uczyć sam, i panna Matty rozwodziła się szeroko nad straszliwymi przygotowaniem, nagromadzeniem słowników i leksykonów w gabinecie ojca w dniu rozpoczęcia nauki.

— Moja biedna matka — westchnęła. — Pamiętam, jak zwykła wystawać w hallu w pobliżu drzwi gabinetu, aby usłyszeć ton głosu ojca. Mogłam każdej chwili odgadnąć z jej twarzy, czy wszystko idzie dobrze. I przez długi czas szło dobrze.

— A z czym się w końcu nie powiodło? — spytałam. — Pewnie z tą okropną łaciną?

— Nie, nie o łacinę poszło. Peter zdobył uznanie ojca, bo pracował gorliwie. Ale zdawało mu się, że można żartować z mieszkańców Cranford i śmiać się z nich, a im się to nie podobało — nikomu się to nie podoba. Zawsze im płatał psikusy... psikusy, to nie jest ładne słowo i proszę, nie mów swemu ojcu, że go użyłam, bo nie chciałabym, by myślał, że jestem niestaranna w mowie, chociaż spędziłam długie lata z taką kobietą jak Debora. I pamiętaj, sama go nigdy nie używaj. Zupełnie nie rozumiem, jakim sposobem wymknęło mi się z ust. Chyba

dlatego, że myślałam o tym biedaku Peterze, a on tak zawsze mówił. Mimo to chłopiec był pod wieloma względami dżentelmenem. Przypominał naszego kochanego kapitana Browna, bo tak jak on zawsze spieszył z pomocą starszym i dzieciom. Przepadał jednak za żartami i figlami i myślał, że stare panie z Cranford we wszystko uwierzą. Mieszkało tu wtedy wiele starych pań, teraz co prawda też mieszkają tu przeważnie panie, ale nie jesteśmy tak stare, jak te panie, które tu spotykałam w moich latach dziewczęcych. Śmiałybym się i dziś na myśl o niektórych jego figlach. Nie, moja droga, nie opowiem ci o nich, bo może nie wydałyby ci się tak okropne, jak naprawdę były. Raz nawet wywiódł w pole ojca, przebrawszy się za damę, która przejeżdżając przez miasto chciała się zobaczyć z pastorem, „autorem tego wspaniałego kazania na sesję sądu”. Peter powiedział, że sam się przeraził, kiedy zorientował się, że ojciec w to całkowicie uwierzył, a nawet zaproponował, że swoje kazania na temat Napoleona Bonaparte przepisze dla niej... to jest dla niego... nie, dla niej, bo Peter był wtedy damą. Peter przyznał mi się, że jeszcze nigdy w życiu tak się nie bał, jak wówczas, gdy ojciec to mówił. Nie przypuszczał, że ojciec mógłby mu uwierzyć, ale przecież byłoby z nim krucho, gdyby nie uwierzył. Nie dało mu to jednak zadowolenia, bo ojciec zaprzęgnął go do ciężkiej pracy, każąc przepisywać swoje dwanaście bonapartowskich kazań dla tej damy... to znaczy, rozumiesz, dla niego samego, bo on był tą damą. I raz Peter, kiedy chciał iść na ryby, zawołał: „Do licha z tą panią!” Bardzo to brzydkie wyrażenie, ale on nie zawsze się pilnował, i jak powinien. Ojciec tak się wtedy na niego gniewał, że ja prawie straciłam przytomność ze strachu, a jednocześnie ledwo mogłam powstrzymać się od śmiechu na widok uprzejmych minek, jakie stroił ten figlarz, i ukłonów, jakie składał, gdy ojciec podkreślał wyborny literacki smak i niezawodny sąd owej damy.

— Czy panna Jenkyns wiedziała o tych figlach? — spytałam.

— O nie. Byłaby zgorszona. Nie, nikt nie wiedział prócz mnie. Żałuję, że nie zawsze znałam jego zamiary, ale czasem mi ich nie zdradzał. Nieraz mówił, że

starsze panie w naszym miasteczku potrzebują czegoś, o czym mogłyby mówić, ale ja nie sędzę, żeby tak było. Miały „St. James's Chronicle” trzy razy w tygodniu, tak jak my dziś, a przecież dużo można o tym mówić i pamiętam, jaki bywał gwar, kiedy się kilka pań zeszło. No, ale chyba dzieci w szkole mówią więcej niż starsze panie. W końcu zdarzyła się okropna, smutna historia.

Panna Matty wstała, podeszła do drzwi i otworzyła je. Nikogo nie było. Zadzwoiła na Martę, a kiedy ta się zjawiała posłała ją po jajka do gospodarza w drugiej stronie miasteczka.

— Zamknę za tobą drzwi, Marto. Nie boisz się iść sama?

— O nie, proszę pani. Jem Hearn ucieszy się, jak będzie mógł iść ze mną.

Panna Matty wyprostowała się i kiedy zostałyśmy same, powiedziała, że szkoda, że Marta nie ma więcej dziewczęcej rezerwy.

— Zgaśmy świecę, moja droga. Możemy równie dobrze rozmawiać po ciemku, prawda? A więc, jak wiesz, Debora wyjechała z domu na dwa tygodnie. Pamiętam, był wtedy bardzo cichy i spokojny dzień. Bzy kwitły, więc musiała być wiosna. Ojciec wyszedł odwiedzić chorych w parafii. Pamiętam go, gdy wychodził, w peruce, kapeluszu i z laską. Nie wiem, co się stało mojemu bratu. Miał najmiłsze pod słońcem usposobienie, a jednak lubił dokuczać Deborze. Ona nigdy nie śmiała się z jego żartów, uważała, że nie jest dystyngowany, że nie dba dostatecznie o rozwój swego umysłu, a jego to irytowało.

A więc poszedł do jej pokoju i ubrał się w jej starą suknię, szal i kapelusik, w te rzeczy, które zwykle nosiła w Cranford i które każdy znał. Z jaśka zrobił coś na kształt... czy jesteś pewna, że drzwi są zamknięte, bo nie chciałabym, żeby kto słyszał... na kształt... na kształt malutkiego dziecka w długiej, białej sukience. Później mi powiedział, że zrobił to tylko dlatego, żeby było o czym mówić, i nie pomyślał wcale, że może to urazić Deborę. Przechadzał się leszczynową alejką naszego ogrodu, na wpół zasłonięty płotem, na wpół widzialny, tulił ową poduszczkę i przemawiał do niej bez sensu, tak jak to zwykle mówi się do dziecka. O Boże, a tu nadchodzi ojciec, idzie ulicą z powagą, jak zawsze, i cóż

widzi: grupka ludzi, chyba ze dwadzieścia osób, zagląda przez sztachety jego ogrodu. Z początku pomyślał, że przypatrują się jego nowemu rododendronowi, który właśnie kwitł i z którego był bardzo dumny. Zwolnił więc kroku, by mieli czas podziwiać drzewko, i zastanawiał się, czy nie mogłoby to podsunąć mu tematu do kazania, bo jak myślał, istnieje chyba jakieś podobieństwo między rododendronem a lilią polną. Mój biedny ojciec! Kiedy podszedł bliżej, zdziwiło go, że ci ludzie go nie spostrzegają, ale wszystkie głowy cisną się blisko siebie i wszyscy patrzą, patrzą, patrzą... Wszedł więc pomiędzy nich, zamierzając, jak opowiadał później, zaprosić ich, żeby weszli razem z nim do ogrodu i podziwiali dorodne warzywa, kiedy... och, moja droga! Drzę cała na to wspomnienie. Zajrzał sam przez sztachety i zobaczył... nie wiem, co sobie wyobraził, że widzi, ale stary Clare powiedział mi, że twarz mu z gniewu poszarzała jak popiół, a oczy o mało nie wyskoczyły spod krzaczastych zmarszczonych brwi; odezwał się... o. jak okropnie... kazał wszystkim zostać w miejscu, nie odchodzić i nie ruszać się, wpadł do ogrodu, popędził leszczynową alejką, chwycił tego biedaka, zdarł z niego ubranie... kapelusz, szal, suknię i wszystko... poduszkę rzucił ludziom przez sztachety i w szalonym gniewie wobec wszystkich tych ludzi podniósł laskę i zaczął okładać syna.

Moja droga, ów wybryk chłopca w ten słoneczny dzień, kiedy zdawało się, że wokół jest tak dobrze, złamał serce mojej matki i już na zawsze odmienił mego ojca. Tak się stało, niestety. Stary Clare opowiadał, że Peter był równie blady jak ojciec, stał nieruchomy niczym posąg, gdy ojciec go bił, a przecież bił go mocno. Kiedy ojciec zatrzymał się, by zaczerpnąć oddechu, Peter zapytał: — Czy to już wszystko, ojcze? — głosem zupełnie zachrypniętym, stojąc nadal bez ruchu. Nie wiem, co mu odpowiedział i czy w ogóle coś mu odpowiedział. Ale stary Clare mówił, że chłopiec odwrócił się do ludzi stojących za sztachetami i skłonił im się nisko, z godnością i powagą, jak dżentelmen, a potem odszedł wolno do domu. Byłam w spiżarni, pomagając matce robić wino z pierwiosnków. Nie znoszę teraz tego wina ani zapachu pierwiosnków, robi mi się niedobrze i słabo, jak tego dnia,

kiedy wszedł Peter, a na twarzy jego malował się wyraz męskiej godności; doprawdy, wyglądał bardziej jak mężczyzna niż jak chłopiec.

— Mamo — rzekł — przyszedłem powiedzieć tylko, niech cię Bóg błogosławi. — Widziałam, jak jego wargi drżały, gdy mówił, i myślę, że nie ośmielił się powiedzieć czulszych słów ze względu na decyzję, jaką podjął. Spojrzała na niego przestraszona i zdumiona i spytała go, co to ma znaczyć. Nie uśmiechnął się ani nic nie rzekł, ale objął ją i pocałował, jak gdyby nie wiedział, jak się pożegnać, i zanim zdążyła się odezwać ponownie, już go nie było. Zastanawialiśmy się wspólnie, co to znaczy, ale nie mogłyśmy nic zrozumieć i matka kazała mi poszukać ojca i zapytać, o co poszło. Znalazłam go w ogrodzie, chodzącego tam i z powrotem z bardzo niezadowoloną miną.

— Powiedz matce, że wybiłem twego brata i że na to w pełni zasłużył.

Nie ośmieliłam się zadawać więcej pytań. Kiedy powtórzyłam to matce, siedziała przez chwilę jak omdlała. Pamiętam, w parę dni później zobaczyłam biedne, zwiędnięte pierwiosnki wyrzucone na kupę zeschniętych liści, na zniszczenie i śmierć. Nie robiło się pierwiosnkowego wina na plebanii tego roku — ani już nigdy później.

Po chwili matka poszła do ojca. Stała mi wtedy przed oczyma królowa Estera i król Ahaswer, bo moja matka była bardzo ładna i delikatna, a ojciec wyglądał tak strasznie, jak ten srogi król. Wkrótce wyszli razem, a potem matka opowiedziała mi, co się stało, i że idzie do pokoju syna — na życzenie ojca, choć o tym miała mu nie wspominać — aby omówić z nim całą sprawę. Ale w pokoju go nie było. Szukaliśmy po całym domu, ale Petera nie było. Nawet ojciec, który z początku nie chciał nam pomóc, wkrótce przyłączył się do poszukiwań. Plebania była bardzo starym domostwem, wszędzie — nawet pomiędzy pokojami — znajdowały się schodki prowadzące to w górę, to w dół do pokoju. Z początku matka nawoływała cicho i łagodnie: — Peter, Peter, kochanie, to tylko ja! — ale z upływem czasu, kiedy wracali służący porozsyłani przez ojca w różnych kierunkach na poszukiwanie, nie znaleźli go ani w ogrodzie, ani na strychu z sianem,

ani nigdzie w okolicy, moja matka wołała coraz głośniejszym i żałośniejszym głosem: — Peter, Peter, gdzie jesteś, kochanie? — a potem nagle pojęła, że ten długi pocałunek oznaczał smutne pożegnanie. Popołudnie mijało, matka bez chwili spoczynku szukała syna wszędzie, gdzie już dwadzieścia razy przedtem go szukano, a nawet tam, gdzie ona sama szukała niejednokrotnie. Ojciec siedział z głową ukrytą w dłoniach i odzywał się tylko wtedy, gdy wracali rozestrzaani przez niego służący, nie przynosząc pożądanej wiadomości. Podnosił głowę, a twarz miał pełną siły, choć smutną, i znów posyłał ich na poszukiwania w innym kierunku. Matka chodziła z pokoju do pokoju bezszelestnym krokiem, nieustannie szukała w domu i poza domem. Ani ona, ani ojciec nie ośmielili się opuścić domu, bo tu wracali wszyscy poszukujący. W końcu (było już prawie ciemno) ojciec wstał. Ujął matkę za rękę, kiedy zatopiona w swym smutku weszła jednymi drzwiami i szybkim krokiem skierowała się ku drugim. Drgnęła pod dotknięciem jego ręki, gdyż w tej chwili nie istniało dla niej nic na świecie poza synem.

— Molly! — odezwał się ojciec. — Nie przypuszczałem, że może się coś takiego zdarzyć! — Szukał pociechy w jej twarzy, tej biednej twarzy, bladej i półprzytomnej, bo ani on, ani ona nie odważyli się wypowiedzieć obaw, szarpiących ich sercami... ani tym bardziej zachowywać się tak, jakby uznali za możliwe... że on mógł skończyć ze sobą. W płonących, udręczonych oczach żony nie dostrzegł błysku świadomości, nie znalazł współczucia, którym go zawsze w potrzebie darzyła, jego, silnego człowieka. Na widok tej niemej rozpaczliwej łzy rzuciły mu się do oczu. Kiedy to spostrzegła, twarz jej przybrała wyraz łagodnego smutku. Powiedziała: — Kochany Johnie, nie płacz, chodź ze mną, to go znajdziemy — niemal tak pogodnie, jak gdyby wiedziała, gdzie jest. Swoją drobną, miękką dłonią ujęła jego wielką i silną i ruszyła znużonym krokiem na tę samą nie kończącą się wędrówkę z pokoju do pokoju, do ogrodu i z ogrodu.

Och, jak żałowałam, że nie było Debory! Nie miałam czasu na łzy, bo wszystko spoczęło na moich barkach. Napisałam list do Debory, żeby wracała. Posłałam do domu tego samego pana Holbrooka... biednego pana Holbrooka...

wiesz, kogo. Nie pisałam do niego samego, ale posłałam kogoś, komu ufałam, aby zobaczył, czy Petera nie ma w jego domu. On wówczas bywał czasem na plebanii... wszak wiesz, że był kuzynem panny Pole... i był bardzo dobry dla mego brata, i uczył go łowić ryby... był dla wszystkich bardzo dobry i pomyślałam, że może Peter jest u niego. Ale pana Holbrooka nie było w domu i nie widziano tam Petera. Nadeszła noc, drzwi stały otworem, ojciec i matka bezustannie snuli się z pokoju do pokoju, a choć minęła już godzina, jak chodzili tak razem, nie powiedzieli chyba przez ten czas ani słowa. Kazałam rozpalić ogień na kominku w salonie, przygotować herbatę, bo chciałam, aby coś zjedli i rozgrzali się, aż tu stary Clare zgłasza się do mnie.

— Pożyczyłem przy jazie sieci, panienko. Przeszukamy sadzawki zaraz, czy poczekamy do rana?

Pamiętam, że patrzyłam długo w jego twarz, nim zrozumiałam, a kiedy zrozumiałam, wybuchnęłam głośnym śmiechem. Groza tej myśli: nasz wesoły, kochany Peter... zimny, sztywny i martwy... Do dziś dźwięczy mi w uszach ten mój śmiech.

Następnego dnia, nim wróciłam do siebie, Debora przyjechała do domu. Ona nie była tak słaba jak ja i nie załamała się, ale moje jęki (ten przerażający śmiech skończył się płaczem) wyrwały z odrętwienia moją najdroższą matkę, która zebrała wszystkie siły swego ducha, gdy zobaczyła, że jest potrzebna drugiemu dziecku. Siedziała razem z Deborą przy moim łóżku i widziałam z ich twarzy, że nie nadeszła wiadomość... straszna, upiorna wiadomość... to, czego się tak potwornie bałam budząc się półprzytomnie ze snu i znowu w ten sen zapadając.

Fakt, że poszukiwania nie przyniosły rezultatu, sprawiał zresztą pewną ulgę i mojej matce, bo jestem pewna, że przede wszystkim obawa, czy Peter nie wisi gdzieś martwy, może nawet w jakimś dobrze znajomym miejscu, tam w domu, były przyczyną tej nie kończącej się wędrówki poprzedniego wieczoru. Jej łagodne oczy nigdy już nie spoglądały jak dawniej, wyrażały niepokój i tęsknotę, jak gdyby szukały czegoś nadaremnie. Och, były to straszne chwile i spadły na

nas jak grom z jasnego nieba w ten cichy słoneczny dzień, kiedy kwitły wszystkie bzy.

— A gdzie był pan Peter? — zapytałam.

— Udał się do Liverpoolu, a że wtedy była wojna i u ujścia Mersey stało zakotwiczonych kilka okrętów królewskich, bardzo się ucieszono, gdy zgłosił się taki chłopak na schwał (był wysoki na pięć stóp i dziewięć cali). Kapitan napisał do ojca, a Peter do matki. Aha, te listy muszą być gdzieś tutaj!

Zapaliłyśmy świece i odszukałyśmy list kapitana i list chłopca. Wpadł nam też w ręce krótki błagalny list pani Jenkyns do syna, wysłany na adres dawnego kolegi, bo wyobraziła sobie, że może tam być. Zwrócono go z nie złamaną pieczęcią i pozostał tak do dziś, nie rozpieczętowany, zarzucony między inne listy z tego czasu.

„Najukochańszy synku! Na pewno nie myślałeś, że nas tak zasmucisz, bo wiem, że wtedy byś tak nie odszedł, jesteś na to za dobry. Serce mi pęka, kiedy słyszę, jak ojciec wzdycha. Smutek pochylił mu głowę, a przecież zrobił tylko to, co uznał za słuszne. Może był za surowy, może ja nie byłam dość dobra, ale Bóg zna nasze serca i wie, że Cię kocham, mój chłopcze, mój jedyny. Don smuci się bardzo, że Ciebie nie ma. Wróc więc i uczyn szczęśliwymi tych, którzy Cię tak bardzo kochają. Wiem, że wrócisz.”

Ale on nie wrócił. Owego wiosennego dnia po raz ostatni w życiu widział twarz swej matki. Ta, co napisała ten list — ostatni — jedyna, która wiedziała, co było w nim napisane, dawno już zmarła, a teraz mnie, osobie obcej, i nie żyjącej jeszcze wtedy, kiedy się to działo, wypadło ten list otworzyć!

Kapitan wzywał rodziców natychmiast do Liverpoolu, jeśli chcą zobaczyć syna, a przez dziwne zrządzenie losu ten list został gdzieś przez kogoś przetrzymany.

Panna Matty ciągnęła dalej:

— Był to czas wyścigów i wszystkie konie pocztowe były wynajęte, więc ojciec i matka wyruszyli własnym gigiem, ale cóż, moja droga, przybyli za

późno! Okręt już odpłynął! A teraz przeczytaj list Petera do matki.

List był pełen miłości i smutku, dumy z nowego zawodu i bolesnej świadomości, że okrył się wstydem w oczach mieszkańców Cranford. Kończył błaganiem, aby przyjechała i zobaczyła się z nim, zanim okręt odpłynie.

„Mamo, może będzie bitwa! Mam nadzieję, że będzie i że damy w skórę tym obrzydłym Francuzom, ale przedtem muszę się z Tobą zobaczyć!”

— A ona przyjechała za późno — westchnęła panna Matty. — Za późno!

Siedziałyśmy w milczeniu, zgłębiając pełne znaczenie tych smutnych, smutnych słów. Wreszcie poprosiłam pannę Matty, żeby mi powiedziała, jak matka to zniosła.

— Och, jak uosobienie cierpliwości — rzekła. — Nigdy nie była silna, a to podkopało jej zdrowie zupełnie. Ojciec zwykł wpatrywać się w nią często i siedział tak smutniejszy nawet niż ona. Wydawało się, że nie może wprost oderwać od niej oczu, gdy jest w pobliżu. Stał się taki pokorny i łagodny. Czasem zdarzało się, że przemawiał w dawny sposób rozkazującym tonem, ale po chwili podchodził do nas, kładł nam ręce na ramionach i pytał, czy nie powiedział czegoś co nas mogło urazić. Nie dziwiłam się, że tak mówił do Debory, bo ona była taka mądra, ale nie mogłam znieść, gdy zwracał się z tym do mnie.

Ale, rozumiesz, on widział to, czego myśmy nie dostrzegały: że to zabija moją matkę. Tak, zabijało ją! (Zgaś świecę, moja droga, łatwiej mi mówić po ciemku.) Bo matka była wątła i nie miała sił, żeby znieść przerażenie i wstrząs, jakich doznała. Uśmiechała się do niego i pocieszała go, nie słowami, ale wyrazem twarzy i tonem głosu, zawsze pogodna w jego obecności. Nieraz wyrażała nadzieję, że Peter może w krótkim czasie zostanie admirałem, bo taki jest odważny i mądry, mówiła, że chciałaby go zobaczyć w mundurze, rozmawiała o kapeluszach, jakie noszą admirałowie, twierdziła, że Peter o wiele bardziej jest predysponowany do zawodu marynarza niż duchownego — i tak dalej w tym samym tonie, aby ojciec myślał, że jest zupełnie zadowolona z następstw owego nieszczęsnego dnia i tego bicia, które nie schodziło mu z myśli, o czym wie-

dzieliśmy wszyscy. Ale, moja droga, jakże gorzko płakała w samotności! A potem słabła coraz bardziej i nie miała już sił, by powstrzymać łzy w obecności Debory lub mnie i dawała nam nieustanne zlecenia dla Petera (jego okręt popłynął na Morze Śródziemne i gdzieś tam dalej, a potem skierowano go do Indii, a stamtąd nie było wtedy żadnego połączenia lądowego). Wciąż jednak powtarzała, że nikt nie wie, komu pierwszemu śmierć pisana, i że nie powinniśmy myśleć, że niedługo umrze. Nie myślałyśmy o tym, ale wiedziałyśmy to, patrząc, jak marnieje w oczach.

No cóż, moja droga, to bardzo niemądre z mojej strony, bo przecież najprawdopodobniej wkrótce ją zobaczę.

I pomyśl tylko, kochana: następnego dnia po jej śmierci... bo nie przeżyła roku po jego ucieczce... akurat następnego dnia... przyszła paczka z Indii... od jej biednego syna. Był w niej miękki biały szal hinduski z wąskim szlaczkiem dookoła. Właśnie to, co by się naszej matce podobało.

Pomyślałyśmy, że może to wyrwie z otępienia ojca, który całą noc przesiedział trzymając jej rękę. Więc Debora zaniósła mu ten szal i list Petera do niej i do nas wszystkich. Z początku ojciec nie zwracał na nic uwagi, zaczęłyśmy więc rozkładać ten szal i podziwiać go. Wtedy nagle wstał i powiedział:

— Pochowamy ją w tym szalu. Niech Peter ma tę pociechę. A jej by się ten szal podobał.

Pewno to nie było zbyt rozsądne, ale cóż mogliśmy zrobić lub powiedzieć. Trzeba ludziom pozwolić smucić się na własny sposób. Wziął go do ręki i pogłaskał.

— Taki właśnie szal pragnęła mieć, gdy wychodziła za męża, a matka go jej nie podarowała. Dowiedziałem się o tym dopiero o wiele później, bo bym jej taki kupił... Ale będzie go miała teraz.

Matka wyglądała tak pięknie po śmierci! Zawsze była ładna, a teraz wyglądała ślicznie, jak z wosku, i młodo — młodziej niż Debora, gdy stała przy niej drżąca. Owinęłyśmy ją w długie, miękkie zwoje szala, leżała uśmiechnięta,

jak gdyby zadowolona; ludzie przychodzili — całe Cranford przyszło — prosząc, by mogli spojrzeć na nią, bo kochali ją serdecznie, i nic w tym dziwnego. Kobiety ze wsi przyniosły bukietki kwiatów, żona starego Clare uzbierała pęczek białych fiołków i prosiła, aby je położyć na piersiach zmarłej.

W dniu pogrzebu Debora powiedziała do mnie, że choćby miała sto propozycji zamążpójścia, nigdy nie wyjdzie za mąż i nie zostawi ojca samego. Nie wydawało mi się prawdopodobne, aby miała ich mieć tak wiele, nie wiem, czy miała choćby jedną, ale tym niemniej te słowa bardzo ładnie o niej świadczyły. Myślę, że drugiej takiej córki, jaką ona była dla ojca, nie było ani przedtem, ani potem. Ponieważ wzrok mu się popsuł, czytała mu książki jedną po drugiej i pisała, i przepisywała, i pomagała mu zawsze w sprawach parafii. Potrafiła zrobić znacznie więcej niż moja matka: kiedyś nawet napisała ojcu list do biskupa. Ale jemu bardzo brakowało matki, co zauważyła cała parafia, choć nie dlatego, żeby był mniej czynny, bo myślę, że był jeszcze bardziej czynny i okazywał jeszcze więcej cierpliwości. Robiłam, co mogłam, żeby Debora miała czas wolny dla ojca, bo zdawałam sobie sprawę, że ja sama niewiele potrafię i że najlepiej postąpię, przejmując wszystkie obowiązki domowe i uwalniając ją od nich. Ale ojciec był już nie ten sam.

— Czy pan Peter wrócił kiedy do domu?

— Tak, raz wrócił jako porucznik. Nie dorobił się admirała. A w jak dobrych stosunkach pozostawał z ojcem! Ojciec był z niego tak dumny, że prowadził go do każdego domu w parafii. Nigdy nie wyszedł nie wsparłszy się na jego ramieniu. Debora uśmiechała się wówczas (nie sądzę, żeby któraś z nas roześmiała się kiedykolwiek od śmierci matki) i mówiła, że całkiem poszła w ką. No, ale ojciec zawsze jej potrzebował, kiedy należało napisać list albo coś przeczytać czy też rozstrzygnąć jakąś sprawę.

— A potem? — zapytałam po przerwie.

— Wkrótce Peter znowu wyruszył na morze, a potem ojciec umarł, błogosławiąc nas obie i dziękując Deborze za wszystko, co dla niego robiła.

Oczywiście nasze warunki materialne się zmieniły i zamiast mieszkać na plebanii i mieć czworo służby, musiałyśmy zamieszkać w tym małym domku i zadowolić się jedną służącą do wszystkiego, ale jak zwykła mówić Debora, zawsze żyłyśmy jak damy, nawet jeśli okoliczności zmusiły nas do wyrzeczeń. Biedna Debora!

— A co z panem Peterem?

— Och, była jakaś wielka wojna w Indiach... zapomniałam, jak ją nazwali... i od tej pory już nic nie słyszałyśmy o nim. Ja myślę, że nie żyje, i czasem wyrzucam sobie, że nigdy nie nosiłyśmy po nim żałoby. A znowu czasem, kiedy siedzę sama i w całym domu jest cicho, zdaje mi się, że słyszę jego kroki na ulicy, i serce zaczyna mi bić niespokojnie, ale te kroki zawsze się oddalają i nikt nie przychodzi... Czy to Marta wraca? Nie, ja pójdę, moja droga, wiesz, że umiem zawsze znaleźć drogę po ciemku. A podmuch świeżego powietrza od drzwi dobrze mi zrobi, bo głowa mnie nieznośnie boli.

Więc podreptała ku drzwiom. Zapaliłam świecę, żeby w chwili jej powrotu pokój miał pogodniejszy wygląd.

— Czy to Marta? — spytałam.

— Tak. I jakoś mi nieswojo, bo słyszałam taki dziwny odgłos. Właśnie kiedy otwierałam drzwi.

— Gdzie? — zapytałam, bo jej oczy były okrągłe ze zdumienia.

— Na ulicy... przed domem... to brzmiało jak...

— Rozmowa? — podsunęłam, gdy się zawahała.

— Nie! Jak... pocałunki...

ROZDZIAŁ VII

Wizyta

Pewnego dnia, kiedy panna Matty i ja siedziałyśmy przy pracy — było to

przed południem i panna Matty miała jeszcze na głowie czepeczek z żółtymi wstążeczkami, dawniej najlepszy czepeczek panny Jenkyns, który ona teraz donaszała w domu, wkładając jednak zawsze, gdy miała się z kim widzieć, czepeczek uszyty na wzór pani Jamieson — przybiegła Marta, zapytując, czy panna Barker mogłaby się z nią zobaczyć. Panna Matty kazała ją prosić i szybko znikła, aby zmienić czepeczek, zanim tamta wejdzie, zapomniała jednak okularów i była trochę zaniepokojona niezwykle porą odwiedzin, toteż nie zdziwiło mnie wcale, że wróciła mając dwa czepeczki na głowie, jeden na drugim. Nie zdawała sobie z tego wcale sprawy i spoglądała na nas całkiem zadowolona. Myślę, że i panna Barker tego nie spostrzegła, bo pomijając nawet tę drobną okoliczność, że nie była już wówczas młodziutka, uwagę miała zaprzątniętą wyłącznie celem swej wizyty, który wyjawiała nam wreszcie wśród nie kończących się, uniżonych przeproszań.

Panna Betsy Barker była córką kancelisty parafialnego z czasów pastora Jenkynsa.

Ona i jej siostra miały całkiem niezłe miejsca jako pokojówki w dobrych domach i zaoszczędziwszy dostateczną sumę, założyły sklep modniarski, któremu patronowały panie z sąsiedztwa. Lady Arley, na przykład, od czasu do czasu dawała pannom Barker swój stary czepeczek na wzór, który one natychmiast kopiowały i puszczały w obieg wśród całej élite Cranford. Mówię élite, bo panny Barker pochwyciły dominującą nutę miasteczka i szczyły się swymi „arystokratycznymi koneksjami”. Nikomu prócz dobrze urodzonych nie sprzedawałyby swoich czepeczków i wstążek. Często żony i córki farmerów odchodziły z gniewem od magazynu panien Barker i szły do sklepu artykułów mieszanych, którego właścicielowi dochody z mydła do prania i nawilgłego cukru pozwalały jeździć wprost (dawniej mówił „do Paryża”, póki nie przekonał się, że jego klienci są zbyt patriotyczni i wyspiarscy, by nosić to, co ci obrzydli Francuzi) do Londynu, gdzie jak zapewniał swych klientów, królowa Adelajda zaledwie przed tygodniem wystąpiła w czepeczku akurat takim, jak ten, który im

pokazuje, z żółtymi i niebieskimi kokardkami, a król William bardzo ją komplementował z powodu tak twarzowego przybrania głowy.

Pannom Barker, chociaż ograniczały się do mówienia prawdy i nie godziły na mieszaną klientelę, powodziło się całkiem nieźle. Były to dobre kobiety, zdolne do wyrzeczeń. Wiele razy widywałam starszą z nich (tę, która służyła ongiś u pani Jamieson) niosącą biedakom jakąś delikatną papkę. Wyższych od siebie małpowały tylko pod tym względem, że „nie miały nic wspólnego” z klasą bezpośrednio niższą od siebie. A kiedy zmarła starsza panna Barker, suma zarobionych przez nie pieniędzy okazała się wystarczająco duża, by panna Betsy mogła zamknąć sklep i wycofać się z handlu. Kupiła też sobie krowę (zdaje się, wspomniałam już o tym), a posiadanie własnej krowy budziło w Cranford taki respekt dla właściciela, jak gdzie indziej posiadanie własnego powozu. Żadna dama z Cranford nie ubierała się tak elegancko jak ona, czemu się nie dziwiłyśmy, ponieważ wiadomo było, że przystraja się w kapelusze, czepeczki i jaskrawe wstążki pozostałe z zapasów sklepowych. Minęło wprawdzie już pięć czy sześć lat od zamknięcia sklepu i w każdym innym mieście jej stroje uważano by za *passés*.

A teraz panna Betsy Barker przysłała zaprosić pannę Matyldę na herbatkę u siebie w następny wtorek. Mnie także, nieprzewidzianą, objąć musiała zaproszeniem, ponieważ gościłam u panny Matty, mimo że, jak dostrzegłam, dręczyło ją trochę podejrzenie, czy wypadkiem mój ojciec po przeniesieniu się do Drumble nie zaangażował się w „ten okropny handel bawełną” i tym samym nie zerwał swych związków z „lepszymi sferami”; Zaproszenie swe poprzedziła tyłoma słowami przeprosin, że w najwyższym stopniu podnieciła moją ciekawość. Prosiła bowiem pannę Matty o wybaczenie jej „tego zuchwalstwa”. Cóż takiego mogła zrobić? Była tak przejęta i przytłoczona, że jako jedyne możliwe wyjaśnienie nasunęła mi się myśl, że pewno napisała do królowej Adelajdy z prośbą o przepis na pranie koronek! Ale czyn, który tak określiła, polegał tylko na przyjściu do siostry swej dawnej pani z zamiarem zaproszenia jej

do siebie. „Zważywszy jej dawne zajęcie, czy panna Matty wybaczy jej tę śmiałość?” Aha, pomyślałam wtedy, dostrzegła ten drugi czepeczek i chce doprowadzić do porządku przybranie głowy panny Matty. Gdzie tam! Chodziło tylko o to, że chce zaprosić pannę Matty i mnie. Panna Matty skinęła głową i zastanowiło mnie, jak przy tym wdzięcznym ruchu mogła nie odczuć zwiększonego ciężaru i nadmiernej wysokości swego czepeczka. Ale musiała tego nie zauważyć, bo zachowała równowagę i dalej przemawiała do panny Betty uprzejmym i łaskawym tonem, jakże dalekim od zdenerwowania, które by w nim brzmiało, gdyby choć przez myśl jej przeszło, że jej nakrycie głowy przedstawia się tak osobliwie.

— Zdaje się, wspomniała pani, że przyjdzie pani Jamieson? — spytała.

— Tak. Pani Jamieson była łaskawa powiedzieć, że z przyjemnością przyjdzie. Zrobiła tylko jedno zastrzeżenie, że przyprowadzi ze sobą Carla. Oświadczyłam jej, że mam słabość do psów.

— A panna Pole? — dopytywała panna Matty, rozważając ewentualność gry w preferansa, do czego Carlo w roli partnera nie nadawałby się wcale.

— Zamierzam zaprosić pannę Pole. Oczywiście, nie śmiałabym nawet pomyśleć o zaproszeniu jej, póki nie poprosiłam pani... córki pastora. Proszę mi wierzyć, nie zapominam o pozycji, jaką zajmował mój ojciec w stosunku do ojca pani.

— I panią Forrester, oczywiście?

— I panią Forrester. W istocie, chciałam nawet iść do niej wpierw, nim udam się do panny Pole. Bo chociaż teraz żyje ona w zmienionych warunkach, proszę pani, z domu nazywała się Tyrrel i nie wolno nam zapominać o jej związkach z Biggesami z Bigelow Hall.

Ale dla panny Matty najważniejszą w tej chwili była ta okoliczność, że pani Forrester świetnie grała w karty.

— Myślę, że i pani Fitz-Adam?

— Nie, proszę pani. Muszę gdzieś przeprowadzić linię podziału. Pani

Jamieson nie chciałaby, jak sędzę, spotkać pani Fitz-Adam. Żywię ogromny szacunek dla pani Fitz-Adam, ale nie mogę uznać jej za godne towarzystwo dla prawdziwych dam, jak pani Jamieson i panna Matylda Jenkyns.

Panna Betsy skłoniła się nisko pannie Matyldzie i odęła wargi. A na mnie rzuciła z ukosa spojrzenie pełne godności, jak gdyby chciała nim wyrazić to, że chociaż była ongiś modystką, nie jest bynajmniej demokratką i szanuje różnice społeczne.

— Czy mogłabym panią prosić o przybycie do mego mieszkanka nie później jak o wpół do szóstej, proszę pani? Pani Jamieson jada obiad o piątej, ale łaskawie obiecała nie opóźnić swej wizyty poza ten termin: wpół do szóstej.

I zginając się w ukłonach panna Betsy Barker pożegnała nas. A moja prorocza dusza przepowiedziała na popołudnie wizytę panny Pole, która zwykła odwiedzać pannę Matty po każdym wydarzeniu... a właściwie przed każdym nadchodzącym wydarzeniem... celem wspólnej nad nim dyskusji.

— Panna Betsy powiedziała mi, że ma u niej być nieliczna grupka wybranych — rzekła panna Pole, gdy porównywały swe spostrzeżenia.

— Tak, to właśnie powiedziała. Nie będzie nawet pani Fitz-Adam. — Pani Fitz-Adam była to wdowa, siostra kranfordzkiego doktora, o którym wspominałam. Rodzicami ich byli godni szacunku farmerzy, zadowolający się swoim stanem. Nazywali się Hoggins. Doktorem w Cranford był teraz pan Hoggins. Nie podobało nam się jego nazwisko i uważałyśmy je za prostackie, ale jak powiedziała panna Jenkyns, gdyby je zmienił na Piggins¹⁰, niewiele by zyskał. Miałyśmy nadzieję doszukać się pokrewieństwa między nim a Molly Hoggins, markizą Exeter, ale doktor, wbrew własnym interesom, nie uznał tego pokrewieństwa, wprost zaprzeczył jego istnieniu, chociaż droga panna Jenkyns tłumaczyła mu, że i jego siostra ma na imię Mary, a imiona zwykle powtarzają się w rodzinie.

Panna Mary Hoggins poślubiła pana Fitz-Adam i wkrótce potem zniknęła z

¹⁰ Hog (ang.) świnia, zaś pig (ang.) prosię.

naszej okolicy na wiele lat. Nie należała do dostatecznie wysokiej warstwy w naszej kranfordzkiej społeczności, żeby którakolwiek z nas miała się zainteresować tym, kim był pan Fitz-Adam. Zmarł i odszedł do swych przodków, zanim choć raz pomyślałyśmy o nim. A pani Fitz-Adam pojawiła się znów w Cranford („śmiała jak lew” — według słów panny Pole) jako zamożna wdowa, tak prędko po śmierci męża szeleszcząca czarnymi jedwabiami strojów, że całkiem usprawiedliwiona była uwaga panny Jenkyns: „Nosząc krepe lepiej by okazała, że boleje nad swą stratą”.

Pamiętam, że zebrał się wówczas parlament dam, aby zdecydować, czy dawne mieszkanki Cranford, w których żyłach płynie błękitna krew, powinny odwiedzić panią Fitz-Adam.

Zajęła ona duży, niezgrabny dom o wielu przybudówkach, a ponieważ niegdyś, dawno już temu, przed siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu laty rezydowała w nim niezamężna córka hrabiego, fama głosiła, że samo zamieszkanie w tym domu równa się niemal uzyskaniu szlacheckiego rodowodu. Nie jestem całkowicie pewna, ale chyba równie powszechnie wierzono, że na mieszkających pod tym dachem spłynąć może niezwykła moc intelektu, owa córka hrabiego bowiem, lady Jane, miała siostrę, lady Anne, i ta w czasie wojny amerykańskiej wyszła za generała, a ten generał napisał parę komedii, które są nadal grywane na deskach londyńskich teatrów, toteż zawsze na widok ich tytułów na afiszach każda z nas podnosi z dumą głowę rozumiejąc, że Drury Lane¹¹ świadczy subtelny komplement naszemu miasteczku. Jednakże problem, czy należy złożyć wizytę pani Fitz-Adam, wcale jeszcze nie został rozstrzygnięty, kiedy umarła nasza droga panna Jenkyns, a wraz z nią odeszło to wyraźne rozeznanie, jak nakazuje postępować kodeks towarzyski wyższych sfer. Panna Pole powiedziała: — Ponieważ w Cranford większość pań z dobrych rodów jest niezamężna i w starszym wieku albo też są to bezdzietne wdowy, więc jeśli nie

¹¹ Drury Lane — ulica londyńska znana przede wszystkim z założonego tam w r. 1663 sławnego teatru o tejże nazwie.

spuścimy trochę z tonu i nie staniemy się mniej ekskluzywne, to po pewnym czasie nie będzie już wcale towarzystwa.

W tym samym duchu przemawiała pani Forrester.

— Zawsze byłam zdania, że Fitz oznacza coś arystokratycznego: Są przecież Fitz-Royowie... Myślę, że niektóre dzieci królewskie tak się nazywały; istnieje nazwisko Fitz-Clarence; to dzieci naszego kochanego, dobrego króla Williama Czwartego. A Fitz-Adam, jakie to piękne nazwisko! Myślę, że znaczy to najprawdopodobniej: dziecko Adama. Nikt, w czyich żyłach nie płynie dobra, stara krew, nie odważyłby się nosić nazwiska Fitz.¹² Nazwiska tak wiele znaczą! Miałam na przykład kuzyna, który pisał swe nazwisko z małej litery, przez dwa „ff” „ffoulkes”, i zawsze gardził dużymi literami, bo powiedział, że starych nazwisk nie pisze się z dużej litery. Obawiałam się nawet, że zejdzie ze świata kawalerem, taki był wybredny! Ale gdy bawił u wód, spotkał panią ffaurington, która spodobała mu się natychmiast, a była to bardzo ładna i wytworna osoba, wdowa z pięknym majątkiem, i mój kuzyn, pan ffoulkes, ożenił się z nią, a to wszystko dzięki tym dwom małym „ff”!

Pani Fitz-Adam nie miała najmniejszej szansy spotkać w Cranford pana Fitz-coś-tam, więc nie to było przyczyną jej przyjazdu. Panna Matty nie wykluczała, że mogła ją do tego skłonić nadzieja, że zostanie dopuszczona do towarzystwa kranfordzkich pań, co z całą pewnością stanowiłoby przyjemny awans dla ci-devant panny Hoggins, a jeśli taką miała nadzieję, byłoby okrucieństwem ją zawieść.

Tak więc wszystkie złożyłyśmy wizytę pani Fitz-Adam — wszystkie z wyjątkiem pani Jamieson, która zwykła okazywać swe dostojeństwo nie dostrzegając pani Fitz-Adam, jeśli zdarzyło im się spotkać na jakimś przyjęciu. Zwykle w pokoju znajdowało się siedem czy osiem pań, pani Fitz-Adam była z nich wszystkich najpo-stawniejsza i nieodmiennie wstawiała, kiedy wchodziła

¹² Fitz — słowo używane od XII wieku jako część składowa wielu nazwisk angielskich, zwłaszcza francuskiego pochodzenia; znaczy ono: syn, i nadawano je często nieprawym synom królewskim i książęcym. (Fitz-Roy — syn króla, Fitz-Clarence — syn księcia Clarence.)

pani Jamieson, a ilekroć ta zwróciła się w jej stronę, kłaniała się jej bardzo nisko, tak nisko, doprawdy, że pani Jamieson musiała chyba patrzeć na sufit nad nią, bo nigdy nie drgnął nawet żaden mięsień jej twarzy, tak jakby kłaniającej się wcale nie widziała. Ale pani Fitz-Adam trwała przy swoim.

Wiosenne wieczory były już dłuższe i jaśniejsze, kiedy kilka pań w kapluszonach spotkało się przed drzwiami panny Barker. Czy wiecie, co to takiego te kapluszony? Nakrycia głowy, noszone na czepeczku, nie różniące się wiele od budek, rozpościeranych nad staroświeckimi gigami, jednakże nie aż tak obszerne. Ten rodzaj ozdoby głowy zawsze robił przerażające wrażenie na działwie kranfordzkiej i teraz kilkoro porzuciło zabawę w spokojnej, słonecznej uliczce i stanęło w milczącym zdumieniu koło panny Pole, panny Matty i mnie. My również nie odzywałyśmy się, można więc było słyszeć dobiegający z głębi domu panny Betsy przenikliwy, zdławiony szept: — Poczekaj, Peggy, poczekaj, aż pobiegnę na górę i umyję ręce. Kiedy zakaszlę otwórz drzwi. Za chwilę.

No i rzeczywiście po chwili usłyszałyśmy jakiś odgłos, coś między kichnięciem a paniem koguta, na co drzwi się otwarły. Stała w nich dziewczyna, pobladła ze strachu na widok czcigodnych dam w kapluszonach, które bez słowa wmaszerowały do środka. Odzyskała jednak przytomność umysłu na tyle, że wprowadziła nas do pokoiku, który kiedyś był sklepem, a obecnie został chwilowo przemieniony na garderobę. Porozpinałyśmy się i zrzuciłyśmy okrycia, po czym, przybrawszy przed lustrem towarzyski wyraz twarzy cofnęłyśmy się z ukłonem i szepcząc: — Za panią — pozwoliłyśmy pani Forrester objąć przewodnictwo na wąskich schodach, wiodących do saloniku panny Barker. Siedziała tam, tak spokojna i godna, jakby w ogóle nic nie wiedziała o owym przedziwnym kaszlnięciu, od którego musiało ją nieźle boleć gardło. Pani Forrester, łagodna, uprzejma, ubrana w znoszone suknie, została niezwłocznie posadzona na drugim z kolei honorowym miejscu przy stole. Było ono niczym miejsce księcia Alberta przy królowej Wiktorii, dobre, ale nie najlepsze. To bowiem najzaszczytniejsze miejsce zarezerwowane było dla czcigodnej pani

Jamieson, która wkrótce weszła zasapana po schodach, a Carlo plątał się pod jej nogami, jak gdyby chciał ją przewrócić.

Jakże szczęśliwa i dumna była teraz panna Betsy Barker! Przegarnęła ogień, zamknęła drzwi i usiadła jak najbliżej nich, a siedziała dosłownie na skraju krzesła. Kiedy wkroczyła Peggy uginająca się pod ciężarem tacy, zauważyłam, że panna Barker najwidoczniej niepokoi się, czy aby dziewczyna potrafi zachować należyty dystans. Ich wzajemne stosunki na co dzień cechowała wielka bezpośredniość i Peggy miała właśnie ochotę poczynić swej pani pewne zwierzenia, a panna Barker wprost umierała z ciekawości, jednak jako dama uznała za swój obowiązek do tego nie dopuścić. Odwracała się, żeby nie widzieć znaków, jakie jej daje Peggy, ale raz czy dwa rzuciła jakieś zdanie zupełnie bez związku z tym, co mówiono. W końcu wpadła na wspaniały pomysł, wykrzyknęła: — Biedny maleńki Carlo! Zapomniałam o tobie! Chodź ze mną, pieseczku, dostaniesz podwieczorek.

Wróciła po chwili, tak zadowolona i promienna, jak była na początku, ale musiała chyba zapomnieć o podwieczorku dla „pieseczka”, o czym świadczyła żarłoczność, z jaką rzucał się na spadłe przypadkiem okruchy ciasta. Tacę naładowano obficie, co spostrzegłam z przyjemnością, bo byłam bardzo głodna, ale bałam się, że panie gotowe uznać te ilości jedzenia za wulgarne. Wiedziałam, co podałyby u siebie. Jednakże wszystko znikło. Widziałam, jak pani Jamieson spożywa ciasto sezamowe, powoli i z powagą, tak jak zwykła robić wszystko, ale zdziwiło mnie to, bo wiedziałam, że na ostatnim przyjęciu u siebie wyjaśniła, iż nigdy go nie podaje, ponieważ za bardzo jej przypomina pachnące mydło. Ale ona pełna była wyrozumienia dla tej nieznamomości zwyczajów wielkiego świata i nie chcąc ranić uczuć pani domu, zjadła trzy wielkie kawałki ciasta, a na twarzy jej malował się wyraz pogodnego zamyślenia — podobnie jak u przeżuwiającej krowy.

Po podwieczorku dłuższą chwilę trwały wahania i wątpliwości. Było nas sześć: cztery mogły grać w preferansa, a dla dwóch pozostawał cribbage. Ale

wszystkie panie, z wyjątkiem mnie (trochę się bowiem obawiałam kranfordzkich pań przy kartach, bo traktowały tę grę bardzo na serio i bardzo poważnie), wołały preferansa. Nawet panna Barker, choć mówiła, że nie odróżnia spadilli od manilli, najwyraźniej pragnęła grać. Wkrótce jednak problem przestał istnieć, usłyszałyśmy bowiem jakieś dziwne odgłosy. Gdyby synową barona wypadało podejrzewać o chrapanie powiedziałabym, że to właśnie robiła pani Jamieson. Z natury skłonną do drzemki rozmarzyło ciepło pokoju, a miękki fotel nęcił pokusą nie do odparcia, więc głowa jej zaczęła się kiwać. Parę razy z trudem dźwignęła powieki i obdarzyła nas łagodnym, półprzytomnym uśmiechem, ale po chwili nawet jej dobra wola nie mogła sprostać temu wysiłkowi i pani Jamieson pogrążyła się we śnie.

— Sprawia mi to wielką satysfakcję — szepnęła panna Barker przy stoliku karcianym do swoich trzech partnerek, które mimo zapowiedzianej nieznajomości preferansa niemiłosiernie ogrywała — bardzo wielką satysfakcję, doprawdy, kiedy widzę, że w moim skromnym mieszkanku pani Jamieson czuje się zupełnie jak u siebie w domu. Nie mogłabym posłyszeć od niej piękniejszego komplementu.

Panna Barker dostarczyła mi literatury pod postacią paru pięknie oprawnych egzemplarzy przeglądu mody sprzed dziesięciu czy dwunastu lat; przystawiła specjalnie dla mnie stoliczek z zapaloną świecą mówiąc, że wie, jak młodzież lubi oglądać obrazki. Carlo leżał u stóp swej pani, pochrapywał i rzucał się we śnie. On również czuł się jak u siebie w domu.

Przy stoliku do kart rozgrywała się bardzo interesująca i ożywiona scena: nad jego środkiem cztery panie zatopione w szybkich i coraz głośniejszych szeptach niemalże stykały się głowami strojnymi w kiwające się czepeczki, a między nie wpadał co chwila szept panny Barker: — Ciszej, proszę pań, jeśli łaska, ciszej! Pani Jamieson śpi.

Bardzo było trudno lawirować tak, by nie zbudzić śpiącej pani Jamieson, a jednocześnie być zrozumianą przez przygłuchą panią Forrester, ale panna Barker

wywiązywała się świetnie z niełatwego zadania: przekazywała pani Forrester to, co szeptały inne panie, wykrzywiając niemiłosiernie twarz, aby ruchami warg pokazać, co mówi, a potem uśmiechała się życzliwie do nas i pomrukiwała do siebie: — Bardzo wielka satysfakcja, doprawdy. Czemuż moja siostra nie dożyła tego dnia?

Niebawem drzwi otworzyły się szeroko, Carlo z kłapiącym szczeknięciem skoczył na nogi, a pani Jamieson musiała się obudzić. Może jednak nie spała wcale, bo jak oświadczyła natychmiast, w pokoju było tak jasno, że z przyjemnością przymknęła oczy, ale z wielkim zainteresowaniem przysłuchiwała się naszej miłej, zajmującej rozmowie.

Weszła ponownie Peggy, aż czerwona z przejęcia. Jeszcze jedna taca! „Och, szlachetnie urodzone — pomyślałam — czy zniesiecie ten ostatni cios?” Panna Barker bowiem zamówiła dla nas (nie wątpię, że i sama przygotowała, choć wykrzyknęła: — O, Peggy, co nam tu niesiesz? — i wyglądała mile zdziwiona, jakby ją spotkała radosna niespodzianka) różne przysmaczki na kolację: ostrygi w muszelkach, homary, galaretkę, ciastka zwane „kupidynkami” (bardzo lubiane przez kranfordzkie panie, ale za drogie, żeby je mogły podawać, chyba tylko na bardzo uroczyste okazje; nazwałabym je makaronikami maczanymi w koniaku, gdybym nie znała ich szlachetniejszej, klasycznej nazwy). Jednym słowem miałyśmy być podejmowane tym, co najlepsze i najśodsze; i pomyślałyśmy, że lepiej będzie łaskawie ustąpić nawet z uszczerbkiem dla naszej wytworności — wszakże wytworne osoby nie jadają kolacji z zasady, ale jak większość tych, co z zasady tego nie robią, bywają wyjątkowo głodne na wszystkich przyjęciach.

Panna Barker w poprzednim etapie swego życia poznała, jak sądzę, napój zwany cherry-brandy. Żadna z nas nigdy nie widziała czegoś podobnego i aż wzdrygnęłyśmy się, gdy nam zaproponowała:

— Odrobinę, odrobinę, moje panie. Po ostrygach i homarach, panie rozumieją. Niektórzy uważają, że są one nie nazbyt zdrowe.

Potrząsałyśmy głowami jak mandaryni w spódnicach, ale w końcu pani

Jamieson dała się namówić, a my poszłyśmy za jej przykładem. Nie było to, dokładnie mówiąc, całkiem niesmaczne, ale tak palące i mocne, że poczułyśmy się zmuszone okazać, że nie przywykłyśmy do takich rzeczy kaszląc okropnie, niemal tak, jak kaszłała panna Barker, zanim nas Peggy wpuściła.

— Bardzo to mocne — rzekła panna Pole, odstawiając pusty kieliszek. — Sądzę, że jest w tym alkohol.

— Tylko kropelka — niezbędna, żeby się to wszystko trzymało. Jak panie wiedzą, kładziemy papierek moczony w brandy na konfitury, żeby się trzymały. Mnie samej czasem kręci się w głowie, gdy zjem ciastko z konfiturami śliwkowymi.

Wątpię, czy pod wpływem ciastka z konfiturami śliwkowymi pani Jamieson otworzyłaby tak przed nami serce, jak to uczyniła po koniaku: powiedziała nam o mającym wkrótce nastąpić wydarzeniu, choć dotąd nie zdradziła się z tym ani słowem.

— Moja szwagierka, lady Glenmire, przyjeżdża do mnie na pewien czas.

Dało się słyszeć chóralne: — Doprawdy! — i zapadła cisza. Każda z nas dokonywała szybkiego przeglądu garderoby pod względem jej przydatności na pokazanie się w niej wdowie po baronie, bo oczywiście, z okazji przyjazdu gościa do któregoś z zaprzyjaźnionych domów zawsze odbywały się w Cranford przyjęcia. A obecną okazją czułyśmy się przyjemnie podniecone.

Wkrótce oznajmiono przybycie pokojówek z latarniami. Pani Jamieson miała lektykę, którą z trudnością zdołano wcisnąć do wąskiego przedsionka panny Barker i która dosłownie tamowała przejście. Dwaj starszawi lektykarze (w porze dziennej trudnili się szewstwem, ale kiedy ich wzywano do niesienia dam, nakładali dziwne stare liberie: długie płaszcze z małymi pelerynkami, z tego samego okresu co lektyka i podobnie do stroju ludzi tej samej klasy na obrazach Hogartha) długo musieli manewrować, aby ustawić ją sztorcem, ale przyszło im wrócić do dawnej pozycji, ponowili próbę i wreszcie szczęśliwie udało im się wynieść lektykę przez frontowe drzwi domu panny Barker. Odgłos ich du-

dniących po ulicy kroków dobiegł do nas, kiedy wkładałyśmy kapłuszony i zapinałyśmy płaszcze. Panna Barker krążyła wokół nas ofiarowując nam swą pomoc, ale gdyby nie pamiętała o swym dawnym zajęciu i nie pragnęła, żebyśmy o nim zapomnieli, czyniłaby to znacznie gorliwiej.

ROZDZIAŁ VIII

Milady

Wcześniej następnego dnia, bo tuż po dwunastej, u panny Matty zjawiała się panna Pole podając za powód przyjscia jakąś całkiem błahą sprawę, ale widoczne było, że coś się za tym kryje. I w końcu to się wyjaśniło.

— Tak przy okazji... pani pomyśli, że to wielka ignorancja z mojej strony, ale proszę sobie wyobrazić, że ja doprawdy nie wiem, jak należy zwracać się do lady Glenmire. Czy powinno się mówić „jaśnie pani”, wtedy gdy do zwyczajnej osoby mówimy „pani”. Łamię sobie nad tym głowę od samego rana! I czy mamy mówić „milady”, zamiast „proszę pani”? Przecież znała pani lady Arley, niech więc mi pani łaskawie powie, jaka jest poprawna forma zwracania się do członków rodzin lordowskich?

Biedna panna Matty! Zdjęła okulary i włożyła je ponownie, ale nie mogła sobie przypomnieć, jak tytułowała ongiś lady Arley!

— Tyle już czasu minęło — rzekła. — Och, jaka jestem niemądra. Chyba widziałam ją zaledwie dwa razy. Wiem, że do sir Petera mówiłyśmy „Sir Peterze”, ale on znacznie częściej nas odwiedzał niż lady Arley. Debora przypomniałaby to sobie w jednej chwili. „Jaśnie pani”? „Milady”? To brzmi bardzo dziwnie, całkiem nienaturalnie. Nigdy o tym nie myślałam, ale teraz, kiedy pani mnie zapytała, zupełnie tracę głowę.

Było widoczne, że panna Pole nie otrzyma żadnej rozsądnej wskazówki od

panny Matty, która z każdą chwilą miała coraz więcej wątpliwości co do tego problemu etykiety.

— Myślę — oświadczyła panna Pole — że chyba najlepiej będzie, jeżeli pójde do pani Forrester i przedstawię jej naszą trudność. To denerwujące, nie chciałoby się przecież, żeby lady Glenmire myślała, że w Cranford nie znają zupełnie *savoir vivre'u* wyższych sfer.

— A czy nie zechciałaby pani, droga panno Pole, wracając wstąpić do mnie i powiedzieć mi, co panie uradziły? Bardzo panią proszę. Jestem pewna, że cokolwiek pani i pani Forrester ustalą, będzie dobre. „Lady Arley”. „Sir Peter” — szepnęła do siebie, próbując przypomnieć sobie dawno nie używane zwroty.

— Kto to jest lady Glenmire? — spytałam.

— Och, ona jest wdową po pana Jamiesona... to zmarły mąż pani Jamieson... wdową po jego najstarszym bracie... Pani Jamieson jako panna nazywała się Walker, to córka gubernatora Walkera. „Jaśnie pani...” Moja droga, jeżeli rozstrzygną, że tak mamy mówić, pozwolisz, że wpierw wypróbuję ten zwrot na tobie, bo czułabym się bardzo nieswojo, mówiąc tak po raz pierwszy do lady Glenmire.

Doprawdy panna Matty odczuła wielką ulgę, kiedy nadeszła pani Jamieson z bardzo niegrzecznym oznajmieniem. Zauważyłam, że ludzie apatyczni bywają niekiedy bardziej od innych impertynentcy. A pani Jamieson przyszła, żeby całkiem niedwuznacznie dać do zrozumienia, że wcale specjalnie nie pragnie, żeby kranfordzkie panie złożyły wizytę jej szwagierce. Nie potrafię powtórzyć dokładnie, jak to powiedziała, bo ogarnęło mnie oburzenie, kiedy z zimnym wyrachowaniem wyjaśniała pannie Matty, czego sobie życzy, a panna Matty, prawdziwa dama, nie mogła pojąć, dlaczego pani Jamieson pragnie wyrzucić na swej utytułowanej szwagierce wrażenie, że bywają u niej tylko ziemiańskie rodziny. Dawno już odkryłam cel wizyty pani Jamieson, a panna Matty jeszcze tego nie podejrzewała.

Kiedy zrozumiała, do czego zmierza czcigodna pani Jamieson przyjemnie

było widzieć, jak spokojnie i godnie przyjmuje do wiadomości nieuprzejmie podsunięte sugestie. Nie zbudziło to w niej urazy — na to była zbyt łagodna — ani też nie zdawała sobie wyraźnie sprawy z tego, że nie pochwała jej postępowania, choć jestem pewna, że coś takiego odczuwała i dlatego szybko zmieniła temat rozmowy, opanowana i mniej podniecona niż zwykle. Doprawdy, z nich dwóch pani Jamieson była bardziej poruszona i zauważyłam, że chętnie się żegna.

Po krótkiej chwili wróciła panna Pole, czerwona i pełna oburzenia.

— No, coś takiego! Dowiedziałam się od Marty, że była tu pani Jamieson. Mamy nie odwiedzać lady Glenmire. Tak, spotkałam panią Jamieson w połowie drogi do pani Forrester i sama mnie o tym zawiadomiła. Tak mnie zdumiała, że nic nie odpowiedziałam. Żałuję, że nie przyszła mi do głowy jakaś ostra i ironiczna odpowiedź, ale wieczorem na pewno coś wymyślę. A lady Glenmire jest tylko wdową po szkockim baronie. Zajrzałam u pani Forrester do herbarza, aby sprawdzić, kim jest ta pani, którą mamy umieścić pod szklanym kloszem. To wdowa po szkockim baronie! Nigdy nie zasiadał w Izbie Lordów! Biedny jak Hiob, przypuszczam. A ona była piątą córką jakiegoś tam pana Campbell czy kogoś takiego. Pani bądź co bądź jest córką pastora i spokrewniona z Arleyami, a każdy mówi, że sir Peter mógłby być wicehrabią Arleyem!

Panna Matty starała się uspokoić pannę Pole, ale na próżno. Dama ta, zazwyczaj tak łagodna, dała się ponieść gniewowi.

— A ja dziś rano zamówiłam sobie nowy czepeczek. I prosiłam, żeby był na pewno gotów! — zdradziła wreszcie swój sekret i to tłumaczyło, dlaczego odmowa pani Jamieson zapiekła ją bardziej niż ukłucie żądła. — No, kiedy już nie będzie tych jej dystygowanych szkockich krewnych, pani Jamieson zobaczy, czy to łatwo mieć mnie na czwartą do preferansa.

W pierwszą niedzielę po przyjeździe do Cranford lady Glenmire wyszedłszy z kościoła rozmawiałyśmy ze sobą z przejęciem i obracałyśmy się tyłem do pani Jamieson i jej gościa. Skoro nie wolno nam jej odwiedzać, nawet na nią nie

spojrzymy, choćbyśmy miały umrzeć z ciekawości, jak też wygląda. Na pociechę zapytałyśmy o to po południu Martę, która nie należąc do takiej sfery, żeby zainteresowanie z jej strony miało być komplementem dla lady Glenmire, zrobiła dobry użytek ze swoich oczu.

— Czy chodzi pani o tę drobną panią, co była z panią Jamieson? Myślałam, że bardziej panią zainteresuje, jak była ubrana młoda pani Smith.

(Pani Smith była niedawno poślubioną żoną rzeźnika.)

Panna Pole rzekła: — O Boże, cóż mnie obchodzi jakaś pani Smith! — Ale umilkła, gdy Marta podjęła: — Ta drobna pani w ławce pani Jamieson miała na sobie, proszę pani, trochę starą jedwabną suknię i płaszcz w czarno-białą kratę, proszę pani, i miała bardzo błyszczące czarne oczy, proszę pani, i przyjemną, bystrą twarz i nie jest wcale najpierwszej młodości, proszę pani, ale powiedziałabym, że od pani Jamieson młodsza. Rozglądała się po kościele jak ptaszek, a kiedy wychodziła, energicznie uniosła spódniczki. Coś pani powiem, proszę pani, ona przypomina bardziej niż kogokolwiek panią Deacon, tę od wynajmu koni i powozów.

— Sza, Marto — zawołała panna Matty — to brak szacunku tak mówić!

— Doprawdy, proszę pani? Przepraszam, nie chciałam, ale to samo mówi Jem Hearn. Powiedział, że jest taką bystrą, ruchliwą kobietką...

— Damą — podpowiedziała panna Pole.

— Damą... jak pani Deacon.

Upłynęła jeszcze jedna niedziela, a my wciąż odwracałyśmy oczy od pani Jamieson i jej gościa i wymieniałyśmy między sobą uwagi, które w naszym pojęciu były bardzo ostre — aż za ostre. Panna Matty czuła się nieswojo słysząc ten ironiczny ton.

Przypuszczalnie do tego czasu lady Glenmire spostrzegła, że dom pani Jamieson nie należy do najweselszych i najbardziej ożywionych, może pani Jamieson odkryła, że większość ziemiańskich rodzin bawi w Londynie, a ci, co pozostali na wsi, nie reagują tak żywo jak powinni na fakt, że w ich okolicy

przebywa lady Glenmire. Ważne wydarzenia rodzą się nieraz z drobnych przyczyn, a ja nie będę udawać, że wiem, dlaczego pani Jamieson zmieniła decyzję w sprawie wizyty pań kranfordzkich i rozesłała pisemne zaproszenia na herbatkę w następny wtorek. Roznosił je sam pan Mulliner. On nigdy nie uznawał istnienia drzwi kuchennych w żadnym domu, a stukał głośniejszym niż jego pani, czcigodna pani Jamieson. Miał trzy małe liściki, które niósł w sporym koszyku, aby wyrzucić na swej pani wrażenie, że wiele waży, choć zmieściłyby się łatwo w kieszonce od kamizelki.

Panna Matty i ja postanowiłyśmy odpowiedzieć, że to popołudnie mamy już zajęte. Był to dzień, kiedy zawsze wieczorem panna Matty robiła fidybusy do świec ze wszystkich notatek i listów z całego tygodnia. W poniedziałki zwykle zamykała rachunki za ubiegły tydzień obliczając wszystko co do centa, więc, zupełnie oczywiste, że skręcanie fidybusów przypadało na wtorkowe popołudnie, co dało nam pretekst do odmowy. Zanim jednak napisałyśmy odpowiedź do pani Jamieson, zjawiała się panna Pole z otwartym listem w ręku.

— Proszę, proszę! — zawołała. — Ach, widzę, że i panie także dostały zaproszenie. Lepiej późno niż wcale. Mogłabym była przepowiedzieć szanownej lady Glenmire, że nie minie pół miesiąca, a rada będzie znaleźć się w naszym towarzystwie.

— Tak — odrzekła panna Matty. — Proszone jesteśmy na wtorkowe popołudnie. Może będzie pani łaskawa przyjść tego popołudnia ze swoją robótką i wypić z nami herbatę. Zwykle w tym dniu przeglądam rachunki i listy z minionego tygodnia i skręcam z nich fidybusy do świec, co jednak nie wydaje mi się wystarczającym powodem, żeby stwierdzić, że mam już zajęte popołudnie, choć miałam zamiar tym się wymówić. Ale jeżeli pani do nas przyjdzie, będę miała spokojne sumienie, a na szczęście jeszcze nie napisałam odpowiedzi.

Zauważyłam, że gdy to mówiła twarz panny Pole pobleadła.

— Zatem nie zamierza pani iść do nich? — zapytała.

— Ach, nie — odrzekła panna Matty. — A myślę, że i pani też nie?

— Nie wiem — odpowiedziała panna Pole. — Chociaż owszem, pójdę — rzuciła szybko, a widząc zdumione spojrzenie panny Matty, dodała: — Widzi pani, nie chciałabym, żeby pani Jamieson sądziła, że do tego, co ona robi lub czyni, przywiązujemy aż taką wagę, że może nas to obrazić. Byłoby to okazywaniem braku szacunku dla siebie samych, a ja przynajmniej tego sobie nie życzę. Pochlebiałoby to pani Jamieson, gdybyśmy pozwoliły jej myśleć, że jej słowa sprzed tygodnia... nie, sprzed dziesięciu dni... jeszcze nas bolą.

— No tak, myślę, że niedobrze jest chować urazę o cokolwiek tak długo i może w gruncie rzeczy pani Jamieson nie chciała nam dokuczyć. Ale muszę przyznać, że nigdy bym nie potrafiła powiedzieć tego, co ona mówiła o naszym zamiarze odwiedzenia jej kuzynki. Doprawdy, nie pójdę.

— O, cóż znowu! Panno Matty, musi pani iść! Pani przecież wie, że nasza przyjaciółka, pani Jamieson, jest bardzo flegmatyczna i nie posiada tej delikatności uczuć, jaka w wysokim stopniu cechuje panią.

— Wydaje mi się, że pani też okazała delikatność uczuć tego dnia, kiedy pani Jamieson przyszła powiedzieć nam, żebyśmy nie składały jej wizyty — stwierdziła niewinnym tonem panna Matty.

Ale panna Pole poza delikatnością uczuć posiadała bardzo elegancki czepeczek i ogromnie jej zależało, aby go świat podziwiał. Nie pamiętała już gniewnych słów wypowiedzianych przed niespełna dwoma tygodniami i gotowa była działać według, jak się wyraziła, wzniosłej zasady chrześcijańskiej „przebacz i zapomnij”; na ten też temat pouczała pannę Matty tak długo, że ta w końcu oświadczyła, że jako córka zmarłego pastora uważa za swój obowiązek kupić nowy czepeczek i iść na przyjęcie u pani Jamieson. Toteż napisałyśmy. „Miło nam przyjąć Pani zaproszenie”, zamiast: „Z przykrością musimy odmówić”.

W Cranford wydatki na ubranie ograniczały się przede wszystkim do wspomnianej powyżej części garderoby. Kiedy już głowę ukryły pod eleganckim nowym czepeczkiem, panie, na podobieństwo strusia, nie dbały, co dzieje się z

resztą ich ciała. Stare suknie, białe, szacowne kołnierzyki, duża ilość broszek, w górze i na dole stroju, wszędzie (z niektórych spoglądały psie oczy, inne przypominały malutkie ramki do obrazków i miały w środku delikatnie wykonane z włosów mauzoleum lub płaczącą wierzbę; na innych miniatury pań i panów uśmiechały się słodko z gniazdka sztywnego muślinu) stare broszki jako stała ozdoba i nowe czepeczki zgodne z współczesną modą — panie z Cranford zawsze ubierały się, wedle słów panny Pole, elegancko i tak, jak wypada.

Z trzema zatem nowymi czepeczkami i najokazalszą, jaką kiedykolwiek od czasu założenia miasteczka oglądano, kolekcją broszek wystąpiły owego pamiętnego wtorkowego popołudnia pani Forrester, panna Matty i panna Pole. Doliczyłam się siedmiu broszek na sukni panny Pole. Dwie były niedbale przytwierdzone na czepeczku (wśród nich motyl z agatów, zdolny zwieść kogoś o bujnej wyobraźni), jedna przytrzymała jej siatkowy szal, druga spinała jej kołnierzyk, inna zdobiła przód sukni na połowie drogi między szyją a kibicią, jeszcze inna przystrajała zakończenie stanika jej sukni. Zapomniałam już, gdzie znajdowała się siódma, ale zaręczam, że gdzieś była.

Zgrzeszyłam jednak nadmiernym pośpiechem opisując stroje towarzystwa. Powinnam najpierw przedstawić towarzystwo w drodze do domu pani Jamieson. Pani ta mieszkała na skraju miasta w wielkim domu. Droga, która pamiętała czasy, gdy zwano ją ulicą, podchodziła pod sam dom, nie oddzielony od niej żadnym ogrodem czy podwórzem. W jakiegokolwiek pozycji znajdowało się słońce, promienie jego nigdy nie padały na front domu. Oczywiście pokoje mieściły się z przeciwnej strony i okna ich wychodziły na przyjemny ogród, na froncie znajdowały się tylko okna kuchni i pokoju służby oraz okna spiżarni. W jednym z nich, jak wieść niosła, przesiadywał pan Mulliner. I rzeczywiście, rzucając spojrzenie w górę, często widziałyśmy tył głowy pokryty pudrem do włosów, rozsypanym również na kołnierzyku marynarki i aż do samego pasa, a ta wspaniała głowa zawsze zajęta była czytaniem „St. James's Chronicle”, szeroko rozłożonego, co w pewnym stopniu tłumaczyło, dlaczego mijało tyle czasu, nim

wymienione pismo docierało do nas, subskrybentek mających te same prawa co pani Jamieson, chociaż ona z racji swej wysokiej pozycji społecznej zawsze otrzymywała je pierwsza.

Tego wtorku szczególną przykrość sprawiła nam zwłoka w dostarczeniu „Chronicle”, obydwie bowiem panie, panna Pole i panna Matty, zwłaszcza jednak ta pierwsza — pragnęły przeczytać pismo, aby przed spotkaniem z przedstawicielką arystokracji poduczyć się trochę nowinek dworskich. Panna Pole powiedziała mi, że nie chcąc przepuścić najmniejszej szansy, już o piątej była ubrana i gdyby pismo zjawilo się nawet w ostatnim momencie, gotowa była je czytać — to samo pismo, które kiedy przechodziłyśmy pod owym oknem tego wieczoru, upudrowana głowa studiowała z niezmaconym spokojem.

— Co za bezczelny człowiek! — syknęła pełnym oburzenia szeptem panna Pole. — Rada bym go spytać, czy jego chlebobawczyni płaci swój udział w prenumeracie na jego wyłączną korzyść!

Spojrzałyśmy na nią z uznaniem za odwagę jej myśli: pan Mulliner bowiem budził w nas ogromny lęk. Zdawało się, że nieustannie świadom jest tego, jak wielki wyświadczył zaszczyt naszemu miasteczku zamieszkując w nim. Niekiedy panna Jenkyns występowała jako nieustraszona przedstawicielka swej płci i mówiła z nim jak z równym, ale nawet ona nie posunęła się nigdy dalej. W momentach największej uprzejmości wyglądał jak wielka nadąsana papuga. Odzywał się tylko burkli-wymi monosylabami. Zwykł czekać na nas w hallu, mimo iż błagałyśmy go, żeby tego nie robił, a potem wyglądał na głęboko dotkniętego tym, że zatrzymujemy go tam, podczas gdy my drżącymi z pośpiechu rękami szykowałyśmy się do wejścia.

Kiedy szłyśmy po schodach panna Pole odważyła się powiedzieć jakiś żarcik, który choć skierowany do nas miał rozerwać pana Mullinera. Uśmiechałyśmy się wszystkie, żeby okazać, że czujemy się swobodnie, i nieśmiało spojrzwałyśmy na pana Mullinera, szukając u niego uznania, lecz w jego drewnianej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień; spoważniałyśmy więc natychmiast.

Salon pani Jamieson był wesoły; zalewały go strumienie popołudniowego słońca, a ogromne, kwadratowe okno ozdabiały masy kwiatów. Meble miała złoto-białe, nie tego najnowszego stylu, zwanego zdaje się Ludwikiem Czternastym, z muszelkami i wykretasami; o nie, na meblach pani Jamieson nie było widać ani jednego wycięcia czy zaokrąglenia. Nogi krzeseł i stołów zwięzały się ku dołowi, miały proste, kwadratowe narożniki. Krzesła ustawiono szeregiem pod ścianą, z wyjątkiem kilku przysuniętych do kominka. Na oparciach widniały białe poprzeczki zdobne w złote gałki, i ani poprzeczki, ani gałki nie obiecywały wygody. Znajdował się tu japoński stolik do czytania, a na nim leżała Biblia, Herbarz, modlitewnik, a także drugi kwadratowy stolik z Pembroke, poświęcony sztuce, na nim kalejdoskop, karty, łamigłówka i pudełko przyjemnie malowane na wzór obrazków zdobiących puszki do herbaty. Carlo leżał na ręcznie zrobionym wełnianym dywaniku i nieuprzejmie obszczał nas, kiedyśmy wchodziły. Pani Jamieson wstała, obdarzyła każdą z nas sennym uśmiechem powitania i spoglądała apatycznie ponad naszymi głowami na pana Mullinera, jak gdyby wyrażając nadzieję, że posadzi nas na miejscach, bo jeśli tego nie uczyni, ona sama nie da sobie rady. Jego zdaniem jednak miałyśmy same trafić jakoś do krzeseł koło kominka, które, nie wiem dlaczego, przypominały mi kamienny krąg z Stonehenge. Lady Glenmire przyszła z pomocą gospodyni i sama nie wiem jak, ale po raz pierwszy w domu pani Jamieson ofiarowano nam krzesła w sposób miły, a nie oficjalny. Miałyśmy teraz czas przyjrzeć się lady Glenmire. Była to drobna, pełna życia kobieta, która za dni swej młodości musiała być piękna, a i teraz nawet prezentowała się bardzo przyjemnie. Widziałam, że panna Pole przez pierwsze kilka minut szacowała jej ubranie, i uwierzyłam jej na słowo, kiedy oświadczyła nazajutrz:

— Moja droga! Za dziesięć funtów można by kupić wszystko, co miała na sobie — łącznie z koronkami.

Myśl, że żona lorda może być niebogata, sprawiła nam satysfakcję i częściowo pogodziła nas z faktem, że jej mąż nigdy nie zasiadał w Izbie Lordów,

choć kiedy pierwszy raz o tym usłyszałyśmy, wydało się to nam zamachem na nasze poczucie wartości przez fałszywe roszczenia, czymś w rodzaju: „lord, co nie jest prawdziwym lordem”. Z początku siedziałyśmy w milczeniu, zastanawiając się, o czym można by rozmawiać, co byłoby na odpowiednim poziomie, żeby zainteresować „Milady”. Nastąpiła zwyżka cen cukru, a ponieważ zbliżał się czas robienia konfitur, było to nowiną interesującą panie domu i stałoby się całkiem naturalnie tematem naszej rozmowy, gdyby nie znajdowała się wśród nas lady Glenmire. Ale nie byłyśmy pewne, czy osoby z arystokracji jedzą konfitury — a tym bardziej, czy wiedzą, jak się je robi. W końcu panna Pole, która miała zawsze dużo odwagi i savoir faire, zwróciła się do lady Glenmire, podobnie jak my nie umiejącej przerwać ciszy.

— Lady Glenmire — rzekła — czy była pani ostatnio na dworskim przyjęciu? — a potem obrzuciła nas spojrzeniem, trochę z lękiem, a trochę z triumfem, jak gdyby chciała powiedzieć: „Patrzcie, jak rozsądnie wybrałam temat, liczący z godnością kranfordzkiego gościa”.

— Nie byłam na dworskim przyjęciu nigdy w życiu — odparła zapytana wyraźnym szkockim akcentem, ale pełnym słodczy głosem. A potem, jakby to wydało się jej zbyt krótką odpowiedzią, dodała: — Bardzo rzadko jeździliśmy do Londynu, właściwie byłam tam tylko dwa razy w ciągu mego małżeństwa, a gdy byłam panną ojciec miał za dużo dzieci (jestem pewna, że wszystkie pomyślałyśmy o tym, że była piątą córką pana Campbella), żeby mógł często wyjeżdżać gdzieś z nami, nawet do Edynburga. A może która z pań była w Edynburgu? — rzuciła z nagłą nadzieją, że znajdziemy jakieś wspólne zainteresowania. Żadna z nas tam nie była, ale panna Pole miała wujka, który kiedyś zatrzymał się w tym mieście na noc, co było bardzo przyjemne.

Tymczasem pani Jamieson roztrząsała w myśli pytanie, dlaczego pan Mulliner nie wnosi herbaty, i w końcu dała głośno wyraz swemu zdziwieniu.

— To może zadzwonię, moja droga, prawda? — pochwyciła jej szwagierka żywo.

— Nie, raczej nie... Mulliner nie lubi, by go poganiać.

Wolałybyśmy, żeby już podano herbatę, bo nasz obiad był wcześniej niż obiad pani Jamieson. Podejrzewam, że pan Mulliner nie chciał sobie zaprzętać tym głowy przed ukończeniem „St. James's Chronicle”. Jego pani zdenerwowana wciąż mówiła: „Nie pojmuję, dlaczego nie przynosi herbaty. Nie mogę sobie wyobrazić, co on teraz robi”. Wreszcie lady Glenmire zirytowała się, ale w gruncie rzeczy to był miły rodzaj irytacji. Uzyskawszy od szwagierki połowiczne przyzwolenie zadzwoniła dość ostro. Pojawił się pan Mulliner z wyrazem pełnego godności zdziwienia. — Och — rzekła pani Jamieson. — Dzwoniła lady Glenmire. Zdaje się, że na herbatę.

W parę minut później podano herbatę. Porcelana była bardzo delikatna, talerze bardzo stare, kawałki bułki bardzo cienkie i bardzo cienko masłem smarowane, a kostki cukru bardzo małe. Najwidoczniej pani Jamieson lubiła oszczędzać na cukrze. Wątpię, czy filigranowe szczypczyki do cukru, zrobione na podobieństwo małych nożyczek, mogłyby otworzyć się dostatecznie szeroko, by ująć uczciwy kawałek cukru, a kiedy próbowałam chwycić dwa małe okruchy cukru na raz, aby nie widziano, że nazbyt wiele razy sięgam do cukierniczki, szczypczyki z brzęknięciem ostrym i zdecydowanym odrzuciły jeden, jakoś złośliwie i nienaturalnie. Ale zanim do tego doszło, spotkał nas pewien drobny zawód. W małym srebrnym dzbanuszkę znajdowała się śmietanka, w większym — mleko. Skoro tylko wszedł pan Mulliner, Carlo zaczął prosić o jedzenie, na co nasze maniery nam nie pozwalały, choć byliśmy równie głodne, a pani Jamieson powiedziała, że jest pewna, iż jej darujemy, jeżeli najpierw poda jedzenie swemu małemu, nie umiającemu mówić pieseczkowi. Wymieszała mu jedzenie na spodku i postawiła na podłodze, żeby chleptał, a potem powiedziała, że ten drogi mały piesek jest bardzo inteligentny i wrażliwy, że doskonale odróżnia śmietankę i nie chce pić herbaty z samym mlekiem. Mleko więc zostało dla nas. Po cichu mówiliśmy sobie, że jesteśmy równie jak Carlo inteligentne i wrażliwe, i odczuwałyśmy jako zniewagę dodaną do krzywdy, kiedy kazano nam podziwiać,

jak machaniem ogona okazuje wdzięczność za śmietankę, która nam powinna przypaść.

Po herbacie lody stopniały i zaczęła się rozmowa na zwykłe życiowe tematy. Czuliśmy wdzięczność dla lady Glenmire za to, że zaproponowała, żeby podać więcej bułki z masłem, a ta wspólna potrzeba zbliżyła nas bardziej, niż mogłaby to zrobić rozmowa na temat dworu królewskiego, choć panna Pole powiedziała, że miała nadzieję dowiedzieć się, jak wygląda kochana królowa, od kogoś, kto ją sam widział.

Przyjaźń, zawarta nad kromkami bułki z masłem, rozciągnęła się i na grę w karty. Lady Glenmire wspaniale grała w preferansa i była absolutnym autorytetem co do ombre i quadrille. Nawet panna Pole zupełnie zapomniała o „Milady” i „łaskawa pani” i mówiła: „Dosyć, proszę pani”, „pani ma spadille, jak sądzę”, z takim spokojem, jakbyśmy nigdy nie zwoływały wielkiego Parlamentu Kranfordzkiego na temat właściwej formy zwracania się do żony barona.

Jako dowód, że zupełnie zapomnieliśmy, że znajdujemy się w obecności kogoś, kto mógłby zasiąść do herbaty z mitrą zamiast czepeczka na głowie, może posłużyć fakt, że pani Forrester opowiedziała lady Glenmire pewne śmieszne, drobne zdarzenie, anegdotkę, znaną najbliższemu kółku przyjaciółek, ale której nie słyszała dotąd pani Jamieson. Dotyczyła ona pięknej starej koronki, jedynej pozostałości z dawnych lepszych dni, którą lady Glenmire podziwiała na kołnierzyku pani Forrester.

— Tak — rzekła. — Takiej koronki nie dostanie się teraz za żadną cenę. Mówiono mi, że zrobiły ją zakonnice gdzieś za granicą. A podobno nawet i tam już takiej nie wyrabiają. Choć może teraz, po uchwaleniu ustawy o emancypacji katolików, będą mogły ją znowu wyrabiać. Nie dziwiłabym się temu. Ale na razie strzegę mojej koronki jak skarbu. Nie odważyłabym się nawet dać jej do prania mojej pokojówce (była to dziewczynka z przytułku, o której już mówiłam, ale to ładnie brzmiało: „pokojówce”). Zawsze piorę ją sama. Raz ledwo zdołałam ją uratować. Naturalnie, lady Glenmire, pani wie, że takiej koronki nie wolno

krochmalic ani prasowac. Niektórzy piorą ją w wodzie z cukrem, inni w kawie, żeby miała właściwy, kremowy kolor, ale ja mam bardzo dobry przepis na pranie w mleku, co nadaje jej odpowiednią sztywność i kremowy odcień. No i, proszę pani, zwinęłam ją ciasno (a cechą tej pięknej koronki stanowi to, że kiedy jest mokra, bardzo się kurczy) i włożyłam do mleka, żeby namokła. Nieszczęście chciało, że wyszłam z pokoju, a kiedy wróciłam, ujrzałam na stole kotkę, która z miną złodziejaska przetykała coś z wysiłkiem, jak gdyby dławiła się czymś, co chciała połknąć, a co jej stanęło w gardle. I czy panie uwierzycie? Z początku jej współczułam i mówiłam nawet: „Biedna kocino!” kiedy nagle podniosłam wzrok i ujrzałam kubeczek po mleku pusty — do dna! „Wstrętne kocisko!” — zawołałam i dałam jej klapsa, co było chyba usprawiedliwione, ale zupełnie nie wskazane, na odwrót, pomogło jej przełknąć koronkę — podobnie jak to bywa, gdy ktoś klepnie po plecach dławiące się dziecko. Byłam tak zmartwiona, że miałam ochotę płakać, ale zdecydowałam, że bez walki nie wyrzeknę się koronki. Myślałam, że może koronka przyprawi ją o mdłości, ale nawet Hiob straciłby cierpliwość, gdyby w kwadrans potem zobaczył tę kotkę, jak weszła prychnąwszy z zadowolenia i niemal oczekując karesów. „O, nie, kiciu!, powiedziałam, gdybyś miała choć trochę sumienia, nie spodziewałabyś się tego.” Wtem wpadło mi coś do głowy. Zadzwoiłam na pokojówkę i posłałam ją do pana Hogginsa, z ukłonem ode mnie i prośbą, żeby zechciał pożyczyć mi na godzinę jeden ze swych butów z cholewami. Nie widziałam w mej prośbie nic dziwnego, ale Jenny powiedziała, że młodzi ludzie w gabinecie lekarskim pękali ze śmiechu słysząc, że chcę jednego buta z cholewą. Kiedy go dostałam z pomocą Jenny wsadziłam do środka kotkę, tak że miała przednie łapki opuszczone, więc unieruchomione i nie mogła drapać, i dałyśmy jej łyżeczkę galaretki porzeczkowej, do której dolałam trochę... proszę wybaczyć, lady Glenmire... trochę emetyku tatarskiego. Nigdy nie zapomnę, jaki niepokój przeżywałam przez następne pół godziny. Wzięłam kotkę do mojej sypialni i rozpostarałam na podłodze czysty ręcznik. Chętnie bym ją ucałowała, gdy wreszcie oddała koronkę, w takim niemal stanie,

w jakim ją połknęła. Jenny miała w pogotowiu wrzącą wodę i długo moczyliśmy koronkę, potem rozłożyliśmy ją w słońcu na krzaku lawendy i dopiero wtedy odważyłam się jej dotknąć choćby na tyle, żeby ją włożyć do mleka. Ale teraz nie zgadłaby pani, lady Glenmire, że koronka była wewnątrz kotki.

W czasie tego wieczoru dowiedziałyśmy się, że lady Glenmire pozostanie u pani Jamieson dłużej, gdyż zlikwidowała swoje mieszkanie w Edynburgu i nie było powodów, by miała tam wracać w pośpiechu. W gruncie rzeczy, rade byłyśmy to słyszeć, bo zrobiła na nas miłe wrażenie. Stanowiło też dla nas wielką pociechę, kiedyśmy z pewnych jej wzmianek w rozmowie wywnioskowały, że na dodatek do wielu posiadanych przez nią cech osób dystygowanych jest od niej jak najdalsza wszelka „wulgarność bogactwa”.

— Czy chodzenie na piechotę nie jest dla pani męczące? — pytała każdą z nas pani Jamieson, kiedy oznajmiono przybycie naszych służących. Było to zwykłe pytanie tej pani, która w wozowni miała własny powóz, a nawet w najbliższe sąsiedztwo udawała się w lektyce. Nasze odpowiedzi były też takie jak zwykle.

— Ależ skądże! Wieczór taki miły i spokojny!

— Tak miło się przejść po przyjęciu!

— Gwiazdy są tak piękne! — to powiedziała panna Matty.

— Czy interesuje się pani astronomią? — spytała lady Glenmire.

— Nie bardzo — odpowiedziała panna Matty, zbyt podniecona w tej chwili, by pamiętać, co to jest astrologia, a co astronomia, jednak odpowiedź była prawdziwa odnośnie obu, bo czytywała przepowiednie astrologiczne Francis Moore'a, które ją nieco przerażały, co się zaś tyczy astronomii, wyjawiała mi kiedyś w poufnej rozmowie, jak trudno jej uwierzyć, iż ziemia się nieustannie porusza, i że wolałaby nie musieć w to wierzyć, bo sama myśl o tym przyprawia ją o zmęczenie i ból głowy.

Niezwykle uważnie i delikatnie postukiwałyśmy tego wieczoru naszymi patynkami wracając do domów, bowiem dzięki spotkaniu z „milady” same stałyśmy się ogromnie wytworne i subtelne.

ROZDZIAŁ IX

Signor Brunoni

Wkrótce po wypadkach, o których opowiedziałam, zostałam wezwana do domu na skutek choroby ojca i przejęta troską o niego nie myślałam przez pewien czas o tym, co dzieje się z moimi drogimi przyjaciółkami z Cranford, ani też, jak lady Glenmire znosi nudy długiej, przeciągającej się wizyty u swej szwagierki, pani Jamieson. Kiedy mój ojciec odzyskał nieco sił, pojechałam z nim nad morze, tak że zupełnie zerwałam kontakt z Cranford na większą część roku i nie było żadnej szansy, by dotarła do mnie jakakolwiek wieść z mojego kochanego miasteczka.

Pod koniec listopada, kiedy wróciliśmy do domu i ojciec znów cieszył się dobrym zdrowiem, dostałam list od panny Matty, a był to list wielce tajemniczy. Było w nim wiele zdań zaczętych, a nie dokończonych, jedne myśli w zamięcie wtłaczały się na drugie, podobnie jak odbicia słów zachodzą na siebie na bibule. Z tego wszystkiego mogłam tylko tyle zrozumieć, że jeśli mój ojciec (jak ona się spodziewa) miewa się lepiej i słuchałby dobrej rady i nosił od dnia świętego Michała do Zwiastowania palto, czy mogłabym jej napisać, czy turbany są modne? Cranford ma oglądać coś tak wesołego, że czegoś podobnego nie widziano ani o czymś podobnym nie słyszano od czasu, gdy przyjechały tu lwy Wombwella, z których jeden odgryzł rękę małemu dziecku; ona niewątpliwie jest za stara, żeby dbać o stroje, ale musi mieć nowy czepeczek, słyszała, że nosi się teraz turbany i że prawdopodobnie zjadą się tu rodziny ziemiańskie, i chciałyby schludnie wyglądać, więc czy bym jej nie przywiozła czepeczka od swojej modystki, och, jakże mogła zapomnieć, iż pisze po to, żeby mnie prosić, żebym przyjechała w odwiedziny od przyszłego wtorku, bo ma nadzieję, że będzie mogła pokazać mi coś, co mnie rozerwie, a czego nie chciałyby opisywać teraz dokładnie, ale morska zieleń jest jej ulubionym kolorem. Tak zakończyła list, ale

w P. S. dodała, iż myśli, że może równie dobrze powiedzieć mi już teraz, co to za osobliwa rozrywka: Signor Brunoni, sławny iluzjonista, ma zamiar wystąpić w kranfordzkiej Sali Zebrań we wtorek i piątek wieczór następnego tygodnia.

Niezależnie od iluzjonisty, z przyjemnością przyjąłam zaproszenie mojej kochanej panny Matty i troszcząc się o to, by nie zeszpeciła swej drobnej, łagodnej, raczej mysiej twarzy wielkim turbanem dobrym na głowę Saracena, przywiozłam jej ładny, przyjemny czepeczek, stosowny dla pań w średnim wieku, który jednakże wzbudził w niej rozczarowanie, kiedy udała się ze mną do mojego pokoju, pozornie dla przegarnięcia ognia na kominku, ale w istocie rzeczy, jak sądzę, dla sprawdzenia, czy w pudle na kapelusze, z którym podróżowałam, nie znajduje się jednak turban koloru morskiej wody. Daremnie marzyła o turbanie i nie mogła się zdobyć na nic więcej, jak na powiedzenie z rezygnacją w spojrzeniu i głosie:

— Wiem, że miałaś jak najlepsze chęci, moja droga. Jest właśnie taki, jak czepeczki, noszone przez wszystkie panie w Cranford, i to już od roku, zdaje się. Przyznam się, że wolałabym coś nowszego, coś podobnego do turbanu, jaki nosi królowa Adelajda, tak jak mówiła panna Betsy Barker. Ale ten czepeczek jest bardzo ładny, moja droga. I myślę, że kolor lawendowy mniej płowieje niż zieleń morska. A w gruncie rzeczy, czymże są stroje, by tak o nie dbać? Powiedz mi, jeśli ci będzie czego potrzeba, moja droga. Dzwonek jest tutaj. Przypuszczam, że turbany nie dotarły jeszcze do Drumble?

Tak mówiąc, moja kochana starsza dama wyszła z żalem w sercu i zostawiła mnie, żebym się ubrała na wieczór, bo jak mi powiedziała, oczekuje panny Pole i pani Forrester i ma nadzieję, że nie będę zbyt zmęczona, aby się do nich przyłączyć. Upewniłam ją o tym i pośpiesznie rozpakowywałam i układałam moje rzeczy, ale mimo pośpiechu, zanim byłam gotowa, dobiegł mnie gwar głosów z sąsiedniego pokoju. Gdy otwierałam drzwi, posłyszałam słowa: — Nedorzecznością było oczekiwać czegoś dystyngowanego ze sklepów w Drumble! Biedna dziewczyna! Pewna jestem, że zrobiła, co mogła. — Mimo

wszystko wolałam, że wini Drumble i mnie, niż miałyby się oszpeci ć turbanem.

Z trzech kranfordzkich pań, zebranych w sąsiednim pokoju, panna Pole była tą, która miewała przygody. Miała zwyczaj spędzać przedpołudnie na wędrownkach od sklepu do sklepu, nie żeby coś kupić (chyba że od czasu do czasu motek bawełny czy kawałek tasiemki), ale żeby obejrze ć świeżo sprowadzone towary i opowiadać potem o nich oraz żeby zebrać wszelkie nowinki. Dla zaspokojenia swej ciekawości zwykła też niespodzianie i z całą powagą zjawiać się to tu, to tam, we wszelkich możliwych miejscach, i gdyby nie wyglądała tak przyzwoicie i tak bardzo dystygowanie, mogłoby to być uznane za impertynencję. A teraz, słysząc, że chrząka znacząco, widząc, że przeczekuje, aż wszystkie mniej ważne tematy rozmowy (takie jak czepeczki i turbany) zostaną wyczerpane, odgadłyśmy, że gdy nastąpi odpowiednia chwila przerwy, opowie nam coś wielce osobliwego — a zaryęcam, że nikt, z wyjątkiem ludzi nazbyt pewnych siebie, nie zdoła długo prowadzić rozmowy, jeśli jedna z siedzących osób zachowuje powściągliwe milczenie, okazując niejako, że wszystko, o czym się mówi, jest blahe i godne pogardy w porównaniu z tym, co ona mogłaby powiedzieć, gdyby ją poproszono. Panna Pole zaczęła:

— Po wyjściu ze sklepu Gordona wstąpiłam dziś do „George'a” (moja Betty ma kuzynkę, która jest tam pokojówką, i pomyślałam, że rada będzie posłyszeć, jak się miewa), a nie widząc nikogo w pobliżu, ruszyłam schodami w górę i znalazłam się w przejściu, prowadzącym do Sali Zebrań (my nie zapomnimy tej sali, prawda, panno Matty, i menuetów de la cour!); szłam więc dalej, nie myśląc po co, kiedy nagle zorientowałam się, że wpadłam w sam środek przygotowań do jutrzejszego występu; pokój dzieliły na połowę dwa stojaki do wieszania odzieży, na których ludzie Crosby'ego rozpinali czerwoną flanelę, bardzo ciemną i bardzo dziwaczną. Oszołomiona, całkiem bezwiednie wchodziłam za te zasłony, kiedy jakiś dżentelmen (mogę panie zapewnić, że prawdziwy dżentelmen) wysunął się naprzód i zapytał, czy mam jakąś sprawę do załatwienia, w której mógłby mi pomóc. Mówił tak pięknie łamaną angielszczyzną, że przypomniiał mi się

„Tadeusz z Warszawy”¹³ i „Węgierscy bracia”¹⁴, a kiedy zaczęłam sobie wyobrażać, czym mógłby być w przeszłym życiu, kłaniając się wyprowadził mnie z pokoju. Ale poczekać! Nie słyszały panie jeszcze nawet połowy mojej historii. Schodziłam ze schodów i kogóż to musiałam spotkać, jak nie kuzynkę mojej Betty. Oczywiście więc przystanąłam, aby ze względu na Betty porozmawiać z nią, a ona mi powiedziała, że widziałam samego iluzjonistę, bo ten dżentelmen mówiący łamaną angielszczyzną to sam Signor Brunoni.

Właśnie w tej chwili minął nas schodząc po schodach z tak pełnym wdziękiem ukłonem, że w odpowiedzi i ja złożyłam ukłon... wszyscy cudzoziemcy mają tak uprzejme maniere, że coś z nich się chwyta. Ale kiedy już zszedł na dół, wydało mi się, że musiałam upuścić moją rękawiczkę z Sali Zebrań (spoczywała bezpiecznie w mojej mufce przez cały czas, ale odkryłam to dopiero później), więc zawróciłam i kiedy przeciskałam się pasażem pozostawionym po jednej stronie ogromnej zasłony biegnącej przez całą niemal salę, kogóż zobaczyłam, jeśli nie tego samego dżentelmena, który spotkał mnie poprzednio i minął na schodach, jak wynurzał się z drugiej części sali, do której nie ma przecież przejścia, jak pani pamięta, panno Matty, i powtórzył swą piękną łamaną angielszczyzną pytanie, czy mam jaką sprawę do załatwienia tutaj... zdaje mi się, że nie powiedział tego tak szorstko, ale był absolutnie zdecydowany nie wpuścić mnie za zasłonę. Oczywiście więc opowiedziałam mu o mojej rękawiczce, którą, o dziwo, znalazłam właśnie w tym momencie.

Tak więc panna Pole widziała iluzjonistę! Prawdziwego, żywego iluzjonistę! Liczne były pytania, którymi ją zasypałyśmy. „Czy miał brodę?” „Czy był młody, czy stary?” „Jasny czy ciemny?” „Czy wyglądał jak...” — ale nie mogąc sformułować tego pytania rozważnie, przekształciłam je na: — „Jak on wyglądał?” Jednym słowem, dzięki temu porannemu spotkaniu panna Pole stała

¹³ „Tadeusz z Warszawy” (Thaddeus of Warsaw) — powieść historyczna Jane Porter (1809) opowiada o przygodach domniemanego potomka króla Jana Sobieskiego walczącego przeciw Rosji pod dowództwem księcia Józefa, a po klęsce chroniącego się w Anglii.

¹⁴ „Węgierscy bracia” (The Hungarian Brothers) — powieść historyczna z czasów Rewolucji Francuskiej, Anny Marii Porter (1807).

się bohaterką wieczoru.

Iluzje, kuglarstwo, magia, czary — takie były tematy rozmów owego wieczoru. Panna Pole była nieco sceptyczna, skłonna przypuszczać, że można by znaleźć naukowe wyjaśnienie nawet dla tego, co czyniła wieszczka z Endor¹⁵. Pani Forrester wierzyła we wszystko — od upiorów począwszy a skończywszy na duchach, czuwających przy zmarłych. Panna Matty zajmowała stanowisko pośrednie: zawsze przekonywała ją przedmówczyni. Myślę, że z natury skłaniała się raczej ku poglądom pani Forrester, ale pragnienie okazania się godną siostrą panny Jenkyns pomagało jej zachować równowagę. Siostra panny Jenkyns — przesądna? Nie, to nie może być!

Po herbacie posłano mnie na dół do salonu po tom starej encyklopedii zawierający wyrazy na „i” i „k”, i „m”, aby panna Pole mogła znaleźć naukowe wyjaśnienie sztuczek, jakie pokazane jej będą następnego wieczoru. Wskutek tego przepadła partia preferansa, do której wzdychała panna Matty i pani Forrester, bowiem pannę Pole tak zaabsorbowały te tematy i ilustracje im towarzyszące, iż wydawało się nam rzeczą okrutną jej przerywać, chyba że paroma bardzo na czasie ziewnięciami, które usiłowałam powstrzymać, wzruszona słodyczą, z jaką moje dwie towarzyszki znosiły swoje rozczarowanie. Panna Pole czytała z coraz większym zapałem, udzielając nam nie więcej informacji niż w takiej oto wypowiedzi:

— Ach, tak. Rozumiem doskonale. „A” — wyobraża piłkę. Połóż „A” pomiędzy „B” i „D” — nie! Pomiedzy „C” i „F” i wykonaj obrót drugim stawem trzeciego palca lewej dłoni nad przegubem swojej prawej „H”. Zupełnie jasne! Moja droga pani Forrester, kuglarstwo i czary to po prostu kwestia znajomości właściwego alfabetu. Czy pozwolicie mi panie przeczytać głośno ten ustęp?

Pani Forrester uprosiła pannę Pole, by jej tego oszczędziła, tłumacząc, że od dziecka nigdy nie rozumiała niczego, co jej głośno czytano, a ja upuściłam talię

¹⁵ Wieszczka z Endor — w Starym Testamencie, w I Księdze Samuelowej wspomniana jest wieszczka z Endor, „kobieta wywołująca duchy”.

kart, które tasowałam bardzo głośno, i w ten delikatny sposób zwróciłam uwagę panny Pole na to, że w programie wieczoru była partyjka preferansa, i wobec tego, aczkolwiek niechętnie, zaproponowała, by zacząć grę. Jakaż radość rozlała się na twarzach dwóch pozostałych pań! Niestety, pannę Matty dręczyły trochę wyrzuty sumienia z powodu przerwania pannie Pole jej studiów, toteż nie pamiętała kart ani nie mogła skupić się nad grą, dopóki nie uspokoiła sumienia proponując, że pożyczy pannie Pole ten tom encyklopedii, co tamta przyjęła z wdzięcznością i oświadczyła, że kiedy Betty przyjdzie z latarnią, zabierze książkę do domu.

Następnego wieczoru byłyśmy wszystkie mile podniecone na myśl o czekającej nas przyjemności. Panna Matty ubrała się bardzo wcześnie i ponaglała mnie, a kiedy byłam gotowa, zobaczyłyśmy, że musimy jeszcze półtorej godziny czekać, bo „Drzwi otwierają się punktualnie o siódmej”. A miałyśmy tylko dwadzieścia jardów do przejścia. Jednak, jak powiedziała panna Matty, nie byłoby wskazane zająć się jakąś robotą i zapomnieć o czasie, więc chyba najlepiej byłoby siedzieć spokojnie, bez świec, aż do za pięć siódma. Więc panna Matty drzemała, a ja robiłam na drutach. W końcu wyruszyłyśmy. Przed drzwiami „George'a” spotkałyśmy panią Forrester i pannę Pole, która z większą niż zazwyczaj gwałtownością wyjaśniała, co będziemy oglądały dzisiejszego wieczoru. Jej „A” i „B” padały jak grad na nasze głowy. Przepisała sobie nawet parę „recept”, jak to nazwała, na różne sztuczki, na odwrocie listów, szykując się do wyjaśniania sztuczek Signora Brunoni.

Weszłyśmy do szatni przyległej do Sali Zebrań. Panna Matty, stojąc przed dziwnym ozdobnym lustrem i poprawiając swój czepeczek, westchnęła parę razy nad minioną młodością i wspomnieniami ostatniej swojej tu bytności. Jakieś sto lat temu Sala Zebrań dobudowana została przez kilka rodzin ziemiańskich, które zimą co miesiąc zjeżdżały do Cranford na tańce i grę w karty. Niejedna piękność, podziwiana tutaj w menuecie, tańczyła go później przed królową Karoliną. Podobno któraś z panien Gunnings opromieniała tę salę blaskiem swej

urody. I to tutaj, jak mówią, lady Williams, bogatą i piękną wdowę, oczarował widok szlachetnej postaci młodego artysty, który przyjechał wówczas do pewnej rodziny w sąsiedztwie w celach zawodowych i razem ze swym patronem udał się do kranfordzkiej Sali Zebrań. Jakąż popełniła pomyłkę biedna lady Williams wychodząc za tego przystojnego młodego człowieka, jeśli plotki mówią prawdę! Lecz teraz w Kranfordzkiej Sali Zebrań nie wykwitwały już rumieńce ni uśmiechy pięknych dziewcząt, żaden artysta nie brał w niewolę serc swym ukłonem, swym chapeau bras! Stara sala pomroczyła, łososiowa barwa zbladła na brudnożółtą, z girland i festonów na ścianach powykruszały się kawałki gipsu, wciąż jednak nad tym miejscem unosiła się atmosfera dawnej wytworności, a wspomnienie dni, które minęły, kazało pannie Matty i pani Forrester podnieść głowę do góry i drobnymi kroczkami przejść przez salę, jak gdyby patrzyło na nie wytworne towarzystwo, a nie dwaj mali chłopcy, objadający się cukierkami dla zabicia czasu.

Zatrzymałyśmy się przy drugim rzędzie krzeseł, a ja nie mogłam zrozumieć dlaczego, dopóki nie usłyszałam, jak panna Pole pyta kogoś, kto tu stał przypadkiem, czy spodziewane jest przybycie okolicznego ziemiaństwa, a kiedy potrząsnął głową i powiedział, że nie sądzi, pani Forrester i panna Matty przesunęły się naprzód, i zasiadłyśmy po dwie w dwóch rzędach. Pierwszy rząd wkrótce zaszczyliły i uświetniły swoją obecnością lady Glenmire i pani Forrester. Tak więc w sześć zajmowałyśmy dwa pierwsze rzędy i to nasze wytworne odosobnienie uszanowane zostało przez grupki sklepikarzy, którzy co pewien czas nadchodzili i tłoczyli się w tylnych ławkach. Domyślałam się tylko tego, słysząc dochodzący stamtąd gwar i odgłosy ciężkiego siadania, bo kiedy wreszcie — znużona widokiem zielonej kurtyny, która za nic nie chciała się podnieść, ale wlepiła we mnie dwoje oczu, patrzących dziwnie przez dziury, niczym w tej historii o starym dywanie — poczułam nagle chęć obejrzenia się za siebie na wesoło pogadujących ludzi, panna Matty chwyciła mnie za ramię szepcząc, żebym się nie obracała, bo „tego robić nie wypada”. A co „wypadało

robić”, tego nie mogłam się dowiedzieć, ale chyba musiało to być coś ogromnie nudnego i męczącego. Toteż cała nasza grupa na froncie siedziała z oczyma skierowanymi wprost przed siebie na dręczącą nas kurtynę. Nic prawie nie mówiłyśmy lękając się, że głośne odezwanie się w miejscu publicznej rozrywki narazi nas na zarzut prostactwa. Najszczęśliwsza była pani Jamieson, bo spała.

W końcu dziwne oczy znikły, kurtyna zafalowała, jedna jej część uniosła się, druga trwała nieporuszona, opuszczono tę pierwszą połowę, po czym, na skutek nowego wysiłku i silnego szarpnięcia niewidzialnej ręki, uleciała w górę, ukazując wspaniale wyglądającego dżentelmena w tureckim stroju, siedzącego przy małym stoliku i patrzącego na mnie (powiedziałabym, że tymi samymi oczyma, które ostatnio oglądałam przez dziurę w kurtynie) ze spokojem i uprzejmą godnością niczym „istota z innego świata”, jak wykrzyknął za mną czyjś sentymentalny głos.

— To nie jest Signor Brunoni! — zawyrokowała panna Pole stanowczo, a tak głośno, że musiał ją słyszeć, bo posłał w dół ku nam znad owej falującej brody spojrzenie, wyrażające niemy wyrzut. — Signor Brunoni nie ma brody... ale może on zaraz przyjdzie.

Postanowiła czekać cierpliwie. Tymczasem panna Matty spojrzała badawczo przez lornetkę, przetała szkła i spojrzała jeszcze raz. Potem odwróciła się do mnie i powiedziała tonem uprzejmym i łagodnym, ale smutnym:

— Widzisz, moja droga, turbany są noszone.

Ale nie było już czasu na dalszą rozmowę. Wielki Wezyr, jak pannie Pole spodobało się go nazwać, wstał i obwieścił, że nazywa się Signor Brunoni.

— Nie wierzę mu! — wykrzyknęła panna Pole wojowniczo. Znowu na nią spojrzał, z tym samym pełnym godności wyrzutem w wyrazie twarzy. — Nie wierzę! — powtórzyła jeszcze bardziej stanowczo. — Signor Brunoni nie ma takiej mufki przy twarzy, ale wygląda, jak przyzwoicie ogolony chrześcijanin wyglądać powinien.

Energiczna wypowiedź panny Pole odniosła ten dobry skutek, że obudziła

panią Jamieson, która szeroko otworzyła oczy na znak głębokiej uwagi, co uciszyło pannę Pole i ośmieliło Wielkiego Wezyra do zabrania głosu. Przemawiał łamaną angielszczyzną, tak łamaną, że nie było związku między podmiotem i orzeczeniem, co wreszcie i on sam dostrzegł, zaprzestał mówienia i przystąpił do akcji.

Teraz nas wprowadził w zdumienie. Nie mogłam pojąć, jakim sposobem udawały mu się jego sztuczki, absolutnie nie mogłam, nawet wtedy, gdy panna Pole wyciągnęła swoje karteczki i zaczęła odczytywać głośno, a w każdym razie dość donośnym szeptem, poszczególne „recepty” na najbardziej znane z tych sztuczek. Nie widziałam w życiu człowieka, który by tak się marszczył i tak wściekle rzucał spojrzenia, jak on na pannę Pole, a jak powiedziała ona, czyż można się dziwić, że muzułmanin złości się po pogańsku? Panna Pole była pełna sceptycyzmu i bardziej przejęta swymi „receptami” i wykresami niż sztuczkami iluzjonisty, zaś panna Matty i pani Forrester były w najwyższym stopniu oszołomione i oczarowane jego żonglerstwem. Pani Jamieson nieustannie zdejmowała okulary i przecierała je, jak gdyby sądziła, że to, co widzi, wynika z jakiegoś ich defektu, a lady Glenmire, której pokazywano w Edynburgu wiele dziwnych rzeczy, była mimo to pod wrażeniem iluzjonisty i nie zgadzała się zupełnie z panną Pole, głoszącą, że każdy po uzyskaniu pewnej wprawy potrafi to zrobić, a i ona sama również wykona wszystkie te sztuczki, jeśli da się jej dwie godziny na przestudiowanie encyklopedii i wygimnastykowanie trzeciego palca u ręki.

Pod koniec jednak pannę Matty i panią Forrester ogarnął lęk. Szeptały do siebie, a ponieważ siedziałam za nimi, nie mogłam nie słyszeć ich słów. Panna Matty zapytała panią Forrester: — Jak pani myśli, czy nie ma nic złego w tym, żeśmy przyszły oglądać takie rzeczy? Nie mogę zagłuszyć obawy, że popieramy coś, co jest nie całkiem... — Lekkie potrząśnięcie głową dopełniło zdanie. Pani Forrester odpowiedziała, że ta sama myśl i jej przyszła do głowy, i czuje się bardzo nieswojo, bo to wszystko takie dziwne. Jest zupełnie pewna, że to jej własna chusteczka znajduje się teraz w tym bochenku chleba, a przecież miała ją

w rękę przed kilkoma minutami. Zastanawia się, kto dostarczył chleba? Na pewno nie Dakin, bo on jest w radzie kościelnej. Nagle panna Matty zwróciła się ku mnie:

— Moja kochana, czy nie zechciałabyś obejrzeć się, jesteś tu obca i nie wywoła to niemiłych komentarzy... czy nie zechciałabyś obejrzeć się i zobaczyć, czy jest tu gdzie pastor? Jeśli przyszedł, można z tego wyciągnąć wniosek, że ten niezwykle człowiek jest uznawany przez Kościół, a byłoby to wielką dla mnie ulgą.

Obejrzałam się i dostrzegłam wysokiego, chudego jak szczapa pastora, który siedział w otoczeniu chłopców ze szkoły, obwarowany szeregami przedstawicieli swojej własnej płci przeciw natarciu przybyłych tu panien. Jego łagodna twarz topniała w uśmiechach, a chłopcy chichotali. Powiedziałam pannie Matty, że Kościół aprobuje iluzjonistę uśmiechem, co przywróciło jej spokój.

Nie wspominałam jeszcze o pastorze Hayterze, ponieważ ja, zamożna i szczęśliwa młoda kobieta, nigdy nie miałam z nim do czynienia. Był starym kawalerem, ale niczym osiemnastoletnia dziewczyna lękał się, by nie powstały jakieś plotki na temat jego planów małżeńskich. Jeśli mam być szczerą, zawsze podejrzewałam, że panna Pole zagięła parol na pastora po jego przyjeździe do naszego miasteczka, a nie zmniejszyła mego podejrzenia fakt, że obecnie równie jak on lękała się, by nie łączono ich nazwisk. Przedmiotem jego zainteresowań byli tylko biedni i potrzebujący; dzisiejszego wieczoru zafundował chłopcom ze szkoły bilety na ten występ, i przynajmniej w tym wypadku cnota była sobie samej nagrodą, bo chronili go z lewa i z prawa, otaczali niczym rój pszczół królową. W ich otoczeniu czuł się tak bezpieczny, że pozwolił sobie na złożenie nam ukłonu, gdyśmy idąc gęsiego opuszczały salę. Panna Pole nie zwracała na niego uwagi udając, że zajęta jest przekonywaniem nas, jak bardzo nas oszukano, bo przecież wcale nie widziałyśmy Signora Brunoni.

ROZDZIAŁ X

Panika

Myślę, że od przyjazdu Signora Brunoni datuje się szereg spraw, które wówczas łączyłyśmy w myślach z jego osobą, choć nie wiem, czy rzeczywiście miał z nimi coś wspólnego. Nagle w miasteczku szerzyć się poczęły najrozmaitsze złowrogie pogłoski. Dokonano paru napadów rabunkowych — prawdziwych bona fide napadów rabunkowych. Zatrzymano jakichś mężczyzn, którzy mieli odpowiadać przed sądem — a to wzbudziło w nas wszystkich lęk przed rabunkiem. Pamiętam, że przez długi czas, gdy byłam u panny Matty, zwykłyśmy co wieczór dokonywać regularnego obchodu pomieszczeń kuchennych i spiżarni; panna Matty szła na przedzie, uzbrojona w pogrzebacz, ja za nią ze szczotką do wymiatania kominka, a na końcu Marta niosąc szufłę i szczypce do węgla, aby uderzać na alarm; często jednak przez przypadkowe zderzenie szufli i szczypiec napędzała nam takiego strachu, że wszystkie trzy ryglowałyśmy się w kuchni czy spiżarni, gdzie akurat byłyśmy, i dopiero gdy trwoga minęła, opamiętywałyśmy się i ze zdwojoną walecznością ruszałyśmy naprzód. Za dnia sklepikarze i wieśniacy prawili nam dziwne opowieści o przejeżdżających wśród głuszy nocnej powozach, które ciągnęły konie, mające podkowy okutane wojłokiem; powozili nimi mężczyźni ubrani na ciemno; jeździły one po mieście niewątpliwie szukając nie strzeżonego domu, nie zaryglowanych drzwi.

Panna Pole, która okazywała wielką odwagę, najgorliwiej zbierała te opowiadania i układała je tak, żeby stały się jak najstraszliwsze. Ale wykryłyśmy, że wyprosiła u pana Hogginsa jego znoszony kapelusz i powiesiła go w przedpokoju, więc miałyśmy (a przynajmniej ja) pewne wątpliwości co do tego, czy rzeczywiście włamanie do swego domu uznawałaby za tak interesującą przygodę.

Panna Matty nie ukrywała wcale, że jest urodzonym tchórzem, ale dopełniając obowiązków pani domu regularnie odbywała obchód wszystkich pomieszczeń, tylko przesuwała to na coraz wcześniejszą porę, aż w końcu wyruszałyśmy na inspekcję o wpół do siódmej, a zaraz po siódmej panna Matty wycofywała się do swej sypialni, „aby już prędzej mieć tę noc poza sobą”.

Cranford tak długo się szczyciło, że jest uczciwym, obyczajnym miasteczkiem, aż zaczęło uważać się za nazbyt dystyngowane i dobrze wychowane, żeby ten stan rzeczy miał kiedykolwiek ulec zmianie. Ale pociechą nam były wzajemne zapewnienia, że te rabunki nie mogły być przecież dokonane przez któregokolwiek z współmieszkańców. To z pewnością jakiś obcy człowiek lub obcy ludzie sprowadzili na nas tę niesławę i konieczność podejmowania tylu środków ostrożności, jakbyśmy żyli wśród Czerwonoskórych albo wśród Francuzów.

To ostatnie porównanie, dotyczące naszej gotowości obronnej i barykadowań na noc, uczyniła pani Forrester, której ojciec służył pod generałem Burgoyne'em w czasie Wojny o Niepodległość Stanów Zjednoczonych, mąż zaś walczył z Francuzami w Hiszpanii. Ona doprawdy skłonna była dać wiarę pogładowi, że to Francuzi są w jakiś sposób związani z wszystkimi drobnymi kradzieżami, które się naprawdę zdarzyły, a także z rabunkami i rozbojami na gościńcach, które były tylko plotką. W pewnym okresie życia myślała wiele o francuskich szpiegach, te myśli wraziły jej się w pamięć na zawsze i od czasu do czasu dochodziły do głosu. Obecna jej teoria brzmiała następująco: mieszkańcy Cranford mają zbyt wiele szacunku dla samych siebie i zbyt wiele wdzięczności dla przedstawicieli arystokracji, którzy łaskawie osiedlili się w pobliżu, aby mogli dawać złe świadectwo samym sobie przez jakąkolwiek nieuczciwość czy niemoralny postęp; toteż musimy przyjąć, że rabusiami byli ludzie obcy — a jeśli obcy, to czy nie cudzoziemcy? A jeśli cudzoziemcy, to któż, jeśli nie Francuzi? Signor Brunoni mówił łamaną angielszczyzną niczym Francuz i chociaż nosił turban jak Turek, pani Forrester widziała jednak na ilustracji Madame de Staël w turbanie, a

pana Denona w takim właśnie ubraniu, w jakim wystąpił iluzjonista, co jasno dowodzi, że zarówno Turcy, jak Francuzi noszą turbany. Nie może być żadnej wątpliwości, że Signor Brunoni jest Francuzem — francuskim szpiegiem przybyłym tu po to, by wykryć słabe, nieobronne miejsce w Anglii; z pewnością ma też współników.

Jeżeli chodzi o nią, panią Forrester, ma i miała zawsze swój własny pogląd na przygodę panny Pole, która spotkała dwóch mężczyzn, choć wiadomo było, że przebywał tam tylko jeden; Francuzi mają swoje sposoby i środki, które, dzięki Bogu, obce są Anglikom; ją zaś zawsze dręczyły pewne wątpliwości co do oglądania iluzjonisty... Jest w tym coś z zakazanego owocu, mimo że pastor też przyszedł. Jednym słowem pani Forrester wpadła w podniecenie jak nigdy, a że była córką oficera i wdową po oficerze, my, oczywiście, liczyliśmy się z jej zdaniem.

Do dziś nie wiem, ile prawdy zawierały pogłoski, które w owym czasie szerzyły się jak pożar, ale wydaje mi się, że istniały wszelkie powody, aby uwierzyć, że w Mardon (miasteczku położonym o osiem mil od Cranford) wkradano się do domów i sklepów przez ściany, z których w nocnej głuszy wyjmowano cegły tak cicho, że nikt, ani w domu, ani poza domem, nic nie usłyszał. Panna Matty na wieść o tym poddała się rozpacz. — Na co zdadzą się klucze i zasuwki — wykrzyknęła — i dzwonki przy oknach, i codzienne obchodzenie domu? — Przecież ta ostatnia sztuczka godna była kuglarza! Teraz i ona uwierzyła, że za tym wszystkim krył się Signor Brunoni.

Jednego popołudnia, koło piątej, poderwało nas nagle stukanie do drzwi. Panna Matty kazała mi biec do Marty i nie pozwolić jej otwierać drzwi pod żadnym pozorem, póki ona (panna Matty) nie wyjrzy przez okno; chwyciła za stołeczek, żeby go cisnąć w głowę przybyszowi, jeśli w odpowiedzi na pytanie, kto to, ukaże twarz zasłoniętą czarną chustą. Ale była to tylko panna Pole ze swoją Betty. Weszła na górę z koszyczkiem w ręku i w stanie wielkiego podniecenia.

— Uważaj, proszę — ostrzegła, gdy chciałam uwolnić ją od ciężaru. — To moje srebro stołowe. Jestem pewna, że na dziś wieczór zaplanowano napad na mój dom. Przyszłam prosić panią, panno Matty, o udzielenie mi gościnności. Betty będzie spała u kuzynki u „George'a”. Ja mogę tu choćby przesiedzieć całą noc, jeśli pani pozwoli, ale dom mój jest zbyt oddalony od sąsiadów i na pewno nikt by nas nie usłyszał, nawet gdybyśmy krzyczały wniebogłosy.

— Ale co panią tak nastraszyło? — spytała panna Matty. — Czy widziała pani, że ktoś myszkuje koło domu?

— O, tak! — potwierdziła panna Pole. — Dwóch mężczyzn o bardzo podejrzanym wyglądzie spacerowało pod domem trzykrotnie, i to bardzo powoli. A niespełna pół godziny temu przyszła irlandzka żebraczka i koniecznie chciała się wepchnąć we drzwi, i powiedziała Betty, że jej dzieci umierają z głodu, więc ona musi porozmawiać z panią. Rozumie pani, powiedziała: „z panią”, a przecież w hallu wisi męski kapelusz, więc właściwie powinna powiedzieć „z panem”. Ale Betty zatrzaskała jej drzwi przed nosem i przybiegła do mnie i wspólnie zabrałyśmy sztucce, i siedziałyśmy w oknie salonu, a kiedy zobaczyłyśmy Thomasa Jonesa wracającego z pracy, zawołałyśmy na niego i poprosiłyśmy, żeby nas odprowadził do miasta.

Mogłyśmy triumfować nad panną Pole, która udawała taką odwagę, póki jej nie nastraszone, ale zbyt byłyśmy rade, że podziela nasze ludzkie słabostki, by wynosić się ponad nią. Bardzo chętnie odstąpiłam jej mój pokój i spałam razem z panną Matty. Ale zanim udałyśmy się na spoczynek, obie wygrzebały z zakamarków pamięci takie okropne opowieści o rabunkach i morderstwach, że drżałam od stóp do głów. Panna Pole starała się widocznie dowieść, iż za jej życia zdarzały się tak straszliwe wypadki, że usprawiedliwia to jej nagłą trwogę; zaś panna Matty nie chcąc pozostać w tyle po każdej przerażającej relacji panny Pole przytaczała własną, jeszcze bardziej mrozącą krew w żyłach, aż przyszła mi na myśl czytana kiedyś przeze mnie historia z dawnych czasów o słowiczku i o muzyku, którzy prześcigali się wzajem w tworzeniu pięknych melodii, póki

biedna ptaszyna nie padła martwa.

Jedno z tych opowiadań, prześladowujące mnie później przez długi czas, mówiło o dziewczynie, którą pewnego targowego dnia, kiedy reszta służby poszła na zabawę, a państwo bawili w Londynie, pozostawiono na straży ogromnego domu w Cumberland. Zjawił się jakiś wędrowny handlarz i poprosił, by mu pozwoliła zostawić w kuchni duży i ciężki pakunek, po który zgłosi się wieczorem; potem ta dziewczyna (a była ona córką leśniczego) chodząc po domu w poszukiwaniu rozrywki zobaczyła wiszącą w hallu strzelbę i zdjęła ją, żeby przyjrzeć się grawerunkowi, a strzelba wypaliła, przez otwarte drzwi kuchenne trafiła w ów pakunek, z którego poczęła się sączyć ciemna nitka krwi... (Ach, jakże panna Pole delectowała się tą częścią opowieści, po prostu każdym słowem!) Pośpiesznie zrelacjonowała dalszą część świadcząca o odwadze dziewczyny i w rezultacie mam raczej mętne pojęcie o tym, w jaki sposób pokrzyżowała szyki napastnikom. Walczyła rozgrzanymi do czerwoności rurkami do włosów, które potem ochłodziła zanurzając je w tłuszczu.

Rozeszliśmy się na noc pełne strachu, a jednocześnie ciekawości, co też jutro rano usłyszymy — a co do mnie, gorąco pragnęłam, by ta noc już się skończyła i minęła, bo bardzo się bałam, że rabusie z jakiejś ciemnej kryjówki mogli widzieć, jak panna Pole wynosiła swoje srebra, a wtedy mieliby podwójny powód do napadu na nasz dom.

Ale nazajutrz nie usłyszałyśmy nic niezwykłego, póki nie przyszła z wizytą lady Glenmire. Szczypce do węgla i pogrzebacz stały wsparte o drzwi kuchenne dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej je na noc — przemyślnie niczym bierki — ułożyłam razem z Martą: upadłyby z przerażającym brzękiem, gdyby choć kot dotknął drzwi po drugiej stronie. Zastanawiałam się, co byśmy zrobiły, gdyby nas to obudziło i przeraziło; zaproponowałam pannie Matty, żebyśmy w takim wypadku zakryły twarze kołdrami, bo niebezpiecznie byłoby, gdyby rabusie pomyśleli, że potrafimy ich zidentyfikować; ale panna Matty, drżąc cała, odrzuciła ten pomysł i oświadczyła, że powinnością naszą wobec społeczeństwa

jest ująć ich i że ona z pewnością zrobi wszystko, co w jej mocy, aby ich schwytać i trzymać pod kluczem na poddaszu aż do rana.

Lady Glenmire niemal wzbudziła w nas zazdrość. Domowi pani Jamieson naprawdę zagrażał napad; w każdym razie znaleziono ślady męskich stóp na rabatkach pod kuchennymi oknami, „gdzie nie miał powodu stąpać żaden mężczyzna”; a Carlo szczekał przez całą noc, jak gdyby w pobliżu kręcili się obcy ludzie. Lady Glenmire obudziła panią Jamieson i pociągnęły za dzwonek łączący ich pokój z pokojem pana Mullinera na drugim piętrze, a kiedy na skutek tego wezwania nad poręczą schodów ukazała się głowa w szlafmicy, powiedziały mu o swych obawach i ich przyczynach, na co on wycofał się do swego pokoju, zamknął drzwi na klucz (lękając się przeciagu, jak im to wytłumaczył nazajutrz), otworzył okno i walecznie pokrzykiwał, że jeżeli rzekomi rabusie przyjdą do niego, będzie z nimi walczyć. Ale lady Glenmire stwierdziła, że była to słaba pociecha, bo zanim by doszli do niego, musieliby wpierw przejść obok pokoju pani Jamieson i jej własnego i musieliby zaiste płonąć wielką ochotą do bitki, żeby nie skorzystać z takiej okazji do rabunku, jakiej dostarczały nie strzeżone niższe piętra, i iść wprost na poddasze i wyłamywać tam drzwi w celu spotkania się z obrońcą domu. Przez chwilę panie czekały nasłuchując w salonie, po czym lady Glenmire zaproponowała, żeby udać się na spoczynek, ale pani Jamieson odparła, że tylko siedząc i czuwając będzie się dobrze czuła; zatem opatulila się ciepło na sofie i o szóstej rano pokojówka wszedłszy do salonu znalazła ją głęboko uspioną; zaś lady Glenmire położyła się do łóżka i nie zmrużyła oka przez całą noc.

Kiedy to usłyszała panna Pole pokiwała głową z wielkim ukontentowaniem. Była przecież pewna, że coś się zdarzy tej nocy w Cranford: no i zdarzyło się. Było jasne, że początkowo chciano napaść na jej dom, ale kiedy rabusie zobaczyli, że obie z Betty czuwają, że wyniosły srebra, zmienili plany i poszli do pani Jamieson, no i nie wiadomo, co by się stało, gdyby ten wierny pies, Carlo, nie szczekał.

Biedny Carlo! Wkrótce już przestał szczekać. Może banda, grasująca w okolicy, obawiała się go, a może chciała się zemścić za to, że przeszkodził im w napadzie, i otruła go; może, jak myśleli pewni niewykształceni ludzie, dostał apopleksji z przejedzenia i braku ruchu. Jedno jest pewne, że w dwa dni po tej brzemiennej w wypadki nocy znaleziono Carla nieżywego, z nogami sztywno wyciągniętymi do biegu, jak gdyby chciał uciec przed tą, przed którą się uciec nie da: Śmiercią.

Wszystkie żałowałyśmy Carla, starego przyjaciela, który warczał na nas przez tyle lat, i dręczyła nas bardzo zagadka jego śmierci. Czyżby krył się za tym Signor Brunoni? Widziałyśmy, jak jednym rozkazującym słowem zabił kanarka; w jego woli kryły się więc śmiercionośne moce: a kto wie, czy nie kręci się teraz w pobliżu, pełen straszliwych zamysłów!

Wieczorami zwierzałyśmy się sobie szeptem z tych urojeń, ale rano, wraz z blaskiem dnia, wracała nam odwaga i po tygodniu przeszłyśmy do porządku nad śmiercią Carla — my wszystkie, ale nie pani Jamieson. Ona, biedactwo, przeżyła to silniej niż jakiegokolwiek inne wydarzenie od śmierci męża, a nawet, powiedziała panna Pole, zważywszy, że czcigodny pan Jamieson pił dużo i sprawiał jej wiele kłopotów, nie jest wykluczone, że śmierć Carla dotknęła ją boleśniej. Co prawda w uwagach panny Pole tkwiła zawsze szczypta cynizmu. Jedna rzecz wszakże była jasna i pewna: pani Jamieson potrzebowała koniecznie zmiany otoczenia i pan Mulliner kładł na to wielki nacisk, potrząsał głową na nasze pytania o zdrowie jego pani i ze specjalnym naciskiem wspominał o jej utracie apetytu i bezsennych nocach; i nie bez podstaw tak mówił, bo co było dla niej najbardziej charakterystyczne w okresie zdrowia, to chęć do jedzenia i do spania. Skoro nie może ani jeść, ani spać, musi być w złym stanie ducha i zdrowia. Lady Glenmire (której widocznie Cranford przypadło do serca) wcale nie podobał się pomysł, żeby pani Jamieson jechała do Cheltenham, i niejeden raz napomykała całkiem niedwuznacznie, że to wszystko robota pana Mullinera, który bardzo się przeląkł w czasie napadu na dom i od tej pory mówi, że ciąży na nim wielka

odpowiedzialność, bo musi bronić tyłu kobiet. Jakkolwiek to było, pani Jamieson udała się do Cheltenham pod strażą pana Mullinera, zaś dom pozostał pod opieką lady Glenmire, przy czym miała też podobno pilnować, by pokojówki nie chodziły z chłopakami. Bardzo była miła w roli smoka. Jak tylko zapadła decyzja, że pozostanie w Cranford, uznała, że wyjazd pani Jamieson do Cheltenham jest najlepszą rzeczą pod słońcem. Ponieważ poprzednio wynajęła swój dom w Edynburgu i nie miała gdzie mieszkać, opieka nad wygodnie urządzonej siedzibą szwagierki bardzo jej odpowiadała.

Panna Pole chciała, żeby uważano ją za bohaterkę, a to z powodu zdecydowanych kroków, jakie podjęła uciekając od owych dwóch mężczyzn i kobiety, których nazywała „bandą morderców”. W jaskrawych barwach przedstawiała ich pojawienie się, a zauważyłam, że za każdym razem, gdy opowiadała o nich, dodawała im coraz to nową odstrasżającą cechę. Jeden z napastników był wysoki — stał się niemal olbrzymem, nim się z nim rozstałyśmy; miał oczywiście czarne włosy, które po pewnym czasie zamieniły się w kołtuny nad czołem i z tyłu głowy. Drugi był krępy — i nim usłyszałyśmy o nim ostatnie słowo, wyskoczył mu garb na plecach; miał rude włosy — które stały się zupełnie marchewkowe, i panna Pole była pewna, że miał zeza — potem mówiła, że był straszliwie zezowaty. Co do kobiety, jej oczy płonęły i wyglądała na mężczyznę — była to istna herod-baba; prawdopodobnie mężczyzna w przebraniu; później słyszałyśmy, że miała brodę, męski głos i męski krok.

Panna Pole lubowała się w przedstawianiu wypadków tego popołudnia wszystkim, którzy ją o to zagadnęli, ale inni nie byli tak dumni ze swych przygód z rabusiami. Doktor, pan Hoggins, został napadnięty u drzwi swego domu przez dwóch brutali, ukrytych na ganku, i tak skutecznie obezwładniony, że zdążyli go już obrabować, nim nadeszła służąca wezwana jego dzwonkiem. Panna Pole była pewna, że sprawcy tego to „jej banda” i chcąc wypytać pana Hogginsa udała się do niego w sprawie swoich zębów. Następnie przyszła do nas, tak że usłyszałyśmy wszystko, co ona słyszała wprost ze źródła, i to nim minęło nasze

podniecenie i niepokój, wywołane pierwszą wiadomością, wypadek bowiem zdarzył się poprzedniego wieczoru.

— Tak! — zaczęła panna Pole ze zdecydowaniem osoby, która już rozstrzygnęła w swym sercu, jaka jest natura świata i ludzi (a takie osoby nigdy nie chodzą cicho ani nie siadają lekko). — Tak, panno Matty, mężczyzna zawsze pozostanie mężczyzną. Każdy z nich chce, żeby go uważano za Samsona i Salomona zarazem, każdy jest zbyt silny, by dać się pobić i pokonać, i zbyt mądry, by miano go wywieść w pole. Pewno panie zauważyły, że mężczyźni zawsze przewidują, co się zdarzy, ale jakoś nigdy nikogo nie ostrzegą, nim się to zdarzy. Mój ojciec był mężczyzną, więc znam nieźle ten ród.

Szybkość mowy pozbawiła ją tchu, a my chętnie wypełniłybyśmy niezbędną przerwę, ale nie wiedząc dokładnie, co powiedzieć, ani też, który mężczyzna wywołał tę diatrybę przeciw płci męskiej, poparłyśmy ją potrząsaniem głowy i szeptem: — Trudno ich zrozumieć, doprawdy!

— Proszę tylko pomyśleć — rzekła. — Nie dość że ja narażam na ryzyko wyrwania jeszcze jeden ząb (bo jest się zdanym na łaskę dentysty, a co do mnie, to zawsze mówię z nim grzecznie, póki nie wydam się z jego kleszczy), a potem okazuje się, że pan Hoggins, jak typowy mężczyzna, nie chce się przyznać, że został obrabowany ubiegłej nocy.

— Nie obrabowany! — wykrzyknął chór.

— No, proszę tak nie mówić! — zaperzyła się panna Pole, gniewna, że choć na chwilę dałyśmy się zwieść. — Wierzę, że go obrabowano, zgodnie z tym, co mówiła Betty, i że wstydzi się przyznać, a prawdę mówiąc bardzo to niemądrze dać się obrabować przed drzwiami domu. Przypuszczalnie czuje, że prawda nie podniosłaby go w oczach społeczności kranfordzkiej, i chce ją ukryć, ale niepotrzebnie się starał mnie oszukać, mówiąc, że słyszałam przesadzone opowiadanie o kradzieży i że zginął tylko kawał baraniny ze schowka na podwórzu, i to w zeszłym tygodniu. Był na tyle bezczelny, by twierdzić, że najpewniej porwał ją kot! A ja nie wątpię, że kiedy sprawę zbadamy do głębi,

okaże się, że to ten Irlandczyk, przebrany za kobietę, który szpiegował u mnie, opowiadając o zagłodzonych dzieciach.

Kiedy już odpowiednio potępiłyśmy brak szczerości okazany przez pana Hogginsa i zgromiłyśmy wszystkich mężczyzn w ogóle, biorąc go za ich reprezentanta, nawiązałyśmy okrężną drogą do tego, o czym była mowa przed przyjściem panny Pole, a mianowicie, czy możemy ze względu na stan niepokoju w okolicy odważyć się na przyjęcie zaproszenia pani Forrester, ażeby jak zwykle przyjść święcić rocznicę jej ślubu wspólną herbatką, a potem spokojną partyjką preferansa. Pani Forrester napisała, że prosi nas z pewnym onieśmieniem, ponieważ obawia się, że drogi są bardzo niespokojne. Ale proponowałyby, że może jedna z nas wsiadłaby do lektyki, a inne idąc rażno starałyby się nadażać za posuwistymi krokami lektykarzy, i w ten sposób przybyłybyśmy bezpiecznie do Over Place, przedmieścia miasteczka. (Nie, to za dużo powiedziane, to grupka domów, oddzielonych od Cranford dwustu jardami ciemnej pustej alejki.) Nie było wątpliwości, że pannę Pole oczekiwała w domu podobna kartka, więc jej przyjście było pomyślnym zbiegiem okoliczności, bo pozwalało nam odbyć wspólną naradę. Wszystkie wołałybyśmy raczej odrzucić zaproszenie, ale czułyśmy, że nie byłoby to uprzejme w stosunku do pani Forrester, której wtedy nie pozostanie nic innego, jak rozmyślać samotnie nad jej niezbyt szczęśliwym życiem. Panna Matty i panna Pole bywały w tym dniu jej gośćmi od wielu lat i teraz po rycersku postanowiły raczej wyruszyć z podniesionym sztandarem przez Aleję Mroków, niż okazać nielojalność przyjaciółce.

Kiedy jednak nadszedł ów wieczór panna Matty przed zamknięciem się w lektyce (bo pannie Matty właśnie, ze względu na zaziębienie, odstąpiłyśmy ją) błagała mających ją nieść mężczyzn, aby, cokolwiek się zdarzy, nie odbiegli i nie zostawili jej samej, wydając na łup morderców; i mimo ich zapewnień, iż nie uczynią tego, widziałam, jak twarz jej zakrzepła w wyraz determinacji, godzien męczennicy, i skinęła mi głową przez szybę smutnie i znacząco. Jednakże dotarłyśmy do pani Forrester bezpiecznie, choć bez tchu, bo lektykarze puścili się

klusem przez Aleję Mroków, i obawiam się, że porządnie wytrzęśli biedną pannę Matty.

Pani Forrester poczyniła dodatkowe przygotowania w uznaniu za wysiłek, na jaki się zdobyłyśmy przychodząc do niej mimo tylu niebezpieczeństw. Gdy skończyło się już wytworne udawanie, że nie orientuje się, co służba poda do herbaty, harmonia i preferans panowałyby niepodzielnie, gdyby nie pewna interesująca rozmowa, która zaczęła się nie wiadomo jak i pozostawała oczywiście w związku z rabusiami, nawiedzającymi Cranford i okolicę.

Pokonawszy niebezpieczeństwo Alei Mroków, a więc zarobiwszy na opinię odważnych i mając w razie czego na co się powołać, a poza tym, chcąc zapewne okazać, że górujemy nad mężczyznami, jeżeli chodzi o szczerłość (vide sprawa pana Hogginsa), zaczęłyśmy opowiadać sobie, czego każda z nas się boi i jakie podejmuje środki ostrożności. Przyznałam się, że przywidują mi się nieraz jakieś oczy, które patrzą na mnie, śledzą, łypią nagle z szarej powierzchni drewnianej ściany. Jeżeli w takiej złej chwili odważyłabym się podejść do lustra, obróciłabym je tyłem z obawy, że ujrzę w nim oczy, wzierające ku mnie z ciemności. Spostrzegłam, że panna Matty zbiera siły na jakieś wyznanie. W końcu je uczyniła. Zwierzyła się nam, że od dzieciństwa boi się, wchodząc do łóżka, że ktoś pod nim ukryty chwyci ją za nogę — za tę drugą, której nie zdążyła jeszcze oderwać od podłogi. Powiedziała, że kiedy była młoda i energiczna, miała zwyczaj wskakiwać z rozpędem do łóżka tak, aby obydwie jej nogi lądowały tam razem. Ale Debora, dumna z tego, że umie zachować wdzięk ruchów nawet przy kładzeniu się do łóżka, bardzo nie pochwałała tych skoków i w rezultacie panna Matty musiała ich zaprzestać. Teraz stary lęk często ją nachodzi znowu, zwłaszcza od czasu napadu na dom panny Pole (bo zupełnie już uwierzyłyśmy, że dokonano napadu); jakże dręcząca jest obawa, że gdy zajrzy pod łóżko, zobaczy tam ukrytego mężczyznę, o dzikiej twarzy, który wlepi w nią oczy. Toteż wymyśliła pewien sposób. Może zauważyłam, że kazała Marcie kupić małą piłeczkę, taką do zabawy dla dzieci? Wrzuca teraz co wieczór tę piłeczkę pod

łóżko. Jeśli wyleci z drugiej strony, to wszystko jest w porządku, a jeśli by nie wyleciała... zawsze uważa, by mieć wtedy w pobliżu sznur od dzwonka, i zaraz zawołałaby Johna lub Harry'ego, tak jakby na dzwonek miała się zjawić męska służba.

Wszystkie wyraziłyśmy uznanie dla jej pomysowości, a panna Matty, zadowolona, zamilkła, skierowawszy na panią Forrester pytający wzrok, jak gdyby ją prosiła o kolejne wyjawienie własnej słabostki.

Pani Forrester spojrzała spod oka na pannę Pole i próbowała zmienić trochę temat, mówiąc, że najęła chłopca, syna gospodarzy mieszkających w pobliżu, obiecawszy rodzicom sto kilo węgla na Gwiazdkę i codzienną kolację dla niego w zamian za to, że będzie nocował w jej domu. Gdy tylko przyszedł, pouczyła go, jakie mogą być jego ewentualne obowiązki, a zorientowawszy się, że jest rozgarnięty, dała mu pałasz Majora (Major — to jej zmarły mąż) i poleciła mu wieczorem kłaść go ponad poduszką, ostrzem ku poręczy łóżka. Jest pewna, że to bystry chłopiec, bo znalazłszy trójgraniasty kapelusz Majora powiedział, że gdyby mógł go włożyć, z pewnością odstraszyłby w każdej chwili dwóch Anglików albo czterech Francuzów. Ale pani Forrester tłumaczyła mu na nowo, że nie ma tracić czasu na wkładanie kapelusza czy czegokolwiek, ale jeżeli usłyszy jakiś hałas, ma biec w tym kierunku z wyciągniętym pałaszem. Na moje ostrzeżenie, że z takich ogólnych, morderczych zaleceń gotów wyniknąć jakiś nieszczęśliwy wypadek, że może wpaść na Jenny, gdy będzie szła się myć, i przebić ją ostrzem, nim odkryje, że to nie Francuzi, pani Forrester odpowiedziała, iż nie sądzi, aby to było prawdopodobne, ponieważ chłopak jest wielkim śpiochem i trzeba nim długo potrząsać albo chlapać na niego wodę, nim się ocknie. Ona przypuszcza, że ten głęboki sen jest skutkiem solidnych kolacji, jakie on teraz zjada, bo go na pół zagłodzili w domu, więc poleciła Jenny pilnować, aby dostawał wieczorem obfity posiłek.

Ale w dalszym ciągu nie słyszałyśmy od niej żadnego wyznania na temat jej lęków, więc nalegałyśmy, by nam zdradziła, co by ją najbardziej przestraszyło.

Milczała przez chwilę, poruszyła ogień, objaśniła świece i rzuciła donośnym szeptem:

— Duchy!

Spojrzała na pannę Pole, jak gdyby chcąc powiedzieć, że będzie obstawać przy swojej deklaracji. Samo takie spojrzenie było wyzwaniem. Panna Pole zaatakowała ją niestrawnością, złudzeniami optycznymi i wieloma innymi argumentami zaczerpniętymi od doktora Ferriera i doktora Hibberta. Panna Matty miała raczej inklinację do duchów, jak wspomniałam poprzednio, i choć mówiła niewiele, opowiedziała się po stronie pani Forrester, która ośmielona przez jej zrozumienie, zapewniała, że wiara w duchy stanowi część jej religii, że przecież ona jako wdowa po majorze w służbie czynnej wie, czego należy się bać, a czego nie; jednym słowem, nigdy przedtem ani potem nie widziałam pani Forrester tak rozgorączkowanej, gdyż na ogół była to łagodna, uległa, cierpliwa starsza pani. Tego nieporozumienia między panną Pole a naszą gospodynią nie zdołało zatrzeć nawet wino z czarnego bzu, grzane z korzeniami. A nawet, kiedy wniesiono wino, dyskusja wybuchła na nowo, bo Jenny, małej pokojóweczce, która ugięła się pod ciężarem tacy, kazano poświadczyć, że na własne oczy widziała ducha, i to niedawno, wieczorem w Alei Mroków, w tej samej alei, którą miałyśmy wracać do domu.

Choć ta ostatnia okoliczność popsowała nam trochę humor, ubawiła mnie sytuacja Jenny, bo dziewczyna znalazła się, niczym świadek w sądzie, w krzyżowym ogniu pytań adwokatów, nie troszczących się o to, że zadają pytania, w których sami podsuwają odpowiedzi. Doszłam jednak do wniosku, że to, co Jenny widziała, nie mogło być tylko skutkiem niestrawności. Ukazała jej się dama cała w bieli i bez głowy — oto, co zeznała i czego się trzymała pod gradem pełnych wzgardy spojrzeń panny Pole, krzepiona świadomością cichego współczucia i zrozumienia ze strony swej pani. I nie tylko ona jedna, również wielu innych widziało bezgłową damę, która siedziała na skraju drogi i załamywała ręce w głębokiej rozpacz. Pani Forrester od czasu do czasu spoglądała na

nas z wyrazem triumfu — ale ona nie musiała iść Aleją Mroków, by się znaleźć we własnej pościeli.

Ubierając się do wyjścia zachowywałyśmy dyskretne milczenie na temat bezgłowej damy, nikt bowiem nie wiedział, czy upiorna głowa mająca przecież uszy nie leży gdzieś w pobliżu oraz czy i jak utrzymuje duchową łączność z okaleczonym ciałem, toteż panna Pole czuła, że nie należy mówić lekceważąco na ten temat, aby nie zirytować i nie rozdrażnić upiornego tułowia w Alei Mroków. Tak mnie się przynajmniej zdawało, bo zamiast jak zwykle rozmawiać wesoło przy wkładaniu okryć, dokonywałyśmy tego z powagą, godną głuchoniemych na pogrzebie. Panna Matty zasunęła firanki w oknach lektyki, aby się odciąć od niemiłych widoków, a mężczyźni (może dlatego, że wpadli w dobry humor, ponieważ ich trudy miały się ku końcowi, a może dlatego, że droga prowadziła w dół zbocza) puścili się znów wesołym kłusem, tak że panna Pole i ja ledwie za nimi nadążałyśmy. Ostatkiem tchu panna Pole błagała: — Nie zostawiaj mnie samej! — i chwyciła mnie za ramię tak silnie, że nie wyrwałabym się, nawet gdybym ujrzała ducha. Co to była za ulga, kiedy lektykarze, zmęczeni dźwiganiem ciężaru i szybkim krokiem, przystanęli w miejscu, gdzie ścieżka przez podmokłą łąkę Headingleya łączy się z Aleją Mroków. Panna Pole puściła moje ramię, a chwyciła jednego z mężczyzn.

— Czy nie moglibyście... czy nie moglibyście zanieść panny Matty tą ścieżką? W Alei Mroków pełno wybojów, a ona nie jest silna.

Z wnętrza lektyki dobiegł zduszony głos:

— Ach, proszę, ruszajcie już! Co się stało? Co się stało? Dodam wam sześć pensów, jeżeli będziecie iść szybko. Proszę, nie stójcie tu.

— A ja wam dam szylinga — drżącym głosem, lecz z godnością obiecała panna Pole — jeżeli pójdziecie tędy.

Obaj mężczyźni mruknięciem wyrazili zgodę, podnieśli lektykę i skręcili w boczną ścieżkę, co na pewno odpowiadało szlachetnym intencjom panny Pole, by chronić całość kości panny Matty, było tu bowiem tyle gęstego błota, że nawet w

razie upadku nie stałoby się jej nic złego — tyle tylko, że trudno byłoby wydobyć ją z tej mazi.

ROZDZIAŁ XI

Samuel Brown

Następnego poranka spotkałam lady Glenmire i pannę Pole, które wyruszyły na daleką wyprawę do pewnej staruszki słynącej na całą okolicę z robienia na drutach pięknych wełnianych pończoch. Panna Pole powiedziała mi, z uprzejmym, a jednocześnie pogardliwym uśmiechem: — Właśnie opowiadałam lady Glenmire o naszej przyjaciółce, biednej pani Forrester, która tak się lęka duchów. Wyływa to zapewne z samotniczego życia i ze słuchania niestworzonych bujdz, jakie opowiada ta jej Jenny.

Była tak pełna spokoju i wyższa nad wszelkie zabobony, że wstydziłam się jej powiedzieć, jak rada byłam wczoraj wieczór z jej propozycji, by iść ścieżką Headingleya, więc skierowałam rozmowę na inne tematy.

Po południu panna Pole odwiedziła pannę Matty i opowiedziała jej o przygodzie — prawdziwej przygodzie — jaka je spotkała na porannym spacerze. Nie były pewne, która ze ścieżek przez pole zaprowadzi je do kobiety, robiącej pończochy na drutach, więc przystanęły, by zapytać o to w małym przydrożnym zajeździe przy trakcie londyńskim, jakieś trzy mile od Cranford. Uprzejma właścicielka zajazdu prosiła, aby spoczęły na chwilę, nim sprowadzi męża, który będzie mógł udzielić im dokładniejszych informacji. Kiedy tak siedziały w kremowym saloniku weszła mała dziewczynka. Myślały, że to córeczka oberżystki i zaczęły z nią rozmawiać o jakichś głupstwach, ale pani Roberts wróciwszy powiedziała im, że mała jest jedynaczką małżeństwa, które zatrzymało się w tym zajeździe. I zaczęła opowiadać jakąś długą historię, z której

lady Glenmire i panna Pole wyluskały tylko dwa fakty, a mianowicie, że przed sześciu mniej więcej tygodniami rozbił się tu pod samym domem wolant, w którym jechało dwóch mężczyzn, jedna kobieta i ta dziewczynka. Jeden z tych mężczyzn został mocno kontuzjowany: nie miał złamanych kości, ale uległ silnemu wstrząsowi, jak wyraziła się oberżystka; prawdopodobnie jednak musiał doznać jakichś poważnych wewnętrznych obrażeń, bo od tej pory nie opuszcza domu, pozostając pod opieką żony, matki tej małej dziewczynki. Panna Pole zapytała, kim jest i jak wygląda. Pani Roberts stwierdziła, że nie wygląda jak dżentelmen, ale i nie jak prosty człowiek; gdyby nie to, że oboje z żoną są takimi przyzwoitymi, spokojnymi ludźmi, podejrzewałyby, że to jakiś szarlatan lub ktoś w tym rodzaju, bo miał w pojeździe ogromną skrzynię pełną nie wiadomo czego. Pomagała ją rozpakowywać i wyjmować ich ubrania i bieliznę, kiedy drugi mężczyzna — bliźniak, jak przypuszcza — odjeżdżał naprawionym wolantem.

W pannie Pole budzić się zaczęły pewne podejrzenia i oświadczyła, że to bardzo dziwne, żeby skrzynia i wolant, i konie zniknęły, ale pocziwa pani Roberts oburzyła się na jej aluzję i doprawdy, opowiadała panna Pole, tak była zagniewana, jak gdyby ją samą oskarżano o oszustwo.

Chcąc przekonać obie panie o swej słuszności, poprosiła je, aby zechciały poznać matkę dziewczynki, a jak panna Pole stwierdziła, uczciwość była z śniadej, wyniszczonej twarzy kobiety, która na pierwsze serdeczniejsze słowo wypowiedziane przez lady Glenmire zalała się łzami i nie była ich w stanie powstrzymać; dopiero gdy oberżystka coś powiedziała, kobieta zdławiła łkanie, by zaświadczyć, że państwo Roberts okazują jej prawdziwie chrześcijańską dobroć. W uczuciach panny Pole dokonał się nagły zwrot i wiara w prawdę smutnej opowieści była w niej teraz równie silna, jak poprzednio posądzenia, za dowód czego niech posłuży fakt, że nadal pragnęła ulżyć doli cierpiącego, choć jasnym się stało, że to on właśnie, a nie kto inny jest naszym Signorem Brunoni, któremu Cranford od półtora miesiąca przypisuje różne nieczne postęпки! Tak! Jego żona powiedziała, że naprawdę nazywa się Samuel Brown; mówiła o nim

nawet „Sam” — ale my do ostatka wolałyśmy tytułować go „Signor”; to brzmiało o wiele lepiej.

Po długiej rozmowie z Signorą Brunoni stanęło na tym, że jej mąż zostanie umieszczony pod opieką lekarską, a lady Glenmire przyrzekła pokryć wszystkie związane z tym koszty, w związku z czym udała się do pana Hogginsa prosić go, żeby tego samego popołudnia pojechał konno do zajazdu „Pod Wschodzącym Słońcem” i zbadał Signora Brunoni, a jeśli — opowiadała panna Pole — okaże się, że byłoby pożądanym przenieść go do Cranford, aby znajdował się bardziej bezpośrednio pod okiem doktora Hogginsa, ona podejmie się poszukać mieszkania i załatwi sprawę komornego. Pani Roberts nie mogłaby okazać państwu Brown więcej serca, niż okazała, ale nie ulegało wątpliwości, że ich długi pobyt był dla oberżystów niedogodny.

Gdy nas panna Pole opuszczała byłyśmy równie jak ona przejęte jej ranną przygodą. Omawiałyśmy ją przez cały wieczór, z różnych punktów widzenia, i poszłyśmy do łóżek pragnąc szybkiego nadejścia poranka, kiedy to z pewnością dowiemy się, co sądzi i co zaleca doktor Hoggins, bo chociaż, jak zauważyła panna Matty, pan Hoggins nieraz wyraża się swoiście i na przykład zamiast mówić „preferans” mówi „pref”, niewątpliwie jest to zacny człowiek i doskonały lekarz. W gruncie rzeczy byłyśmy dumne z naszego doktora z Cranford — jako doktora. Nieraz słysząc, że królowa Adelajda czy też księżę Wellington choruje, pragnęłyśmy, żeby wezwali pana Hogginsa; ale po zastanowieniu byłyśmy rade, że tego nie uczynili, bo gdyby wyznaczono go na stanowisko Nadwornego Lekarza Rodziny Królewskiej, do kogo my mogłybyśmy się udać w razie niedyspozycji? Byłyśmy z niego dumne jako z lekarza, ale myśląc o nim jako o człowieku, a raczej dżentelmenie, potrząsałyśmy głowami nad jego nazwiskiem i nad nim samym i żałowałyśmy, że nie czytał listów lorda Chesterfielda w latach, kiedy jego manieri dałyby się jeszcze zmienić na lepsze. Mimo to jego orzeczenie w sprawie Signora Brunoni uważałyśmy za niezawodne i kiedy zawyrokował, że pod dobrą opieką może odzyskać zdrowie, nie żywiłyśmy już o

chorego dalszych obaw.

Choć uspokojone, starałyśmy się o niego tak, jak gdyby niebezpieczeństwo istniało — co odpowiadało prawdzie, póki pan Hoggins nie wziął go pod swoją opiekę. Panna Pole wyszukała czyste i wygodne, choć nie specjalnie eleganckie mieszkanie, panna Matty posłała po niego lektykę, którą ja z Martą starannie nagrzałam, trzymając w niej garnek z żarzącymi się węglami, a potem starannie zamykając lektykę, z całym dymem i ciepłem, aż do czasu, gdy Signor Brunoni wsiądzie w nią w zajeździe „Pod Wschodzącym Słońcem”. Lady Glenmire stanęła na czele zespołu leczącego pod kierunkiem pana Hogginsa i gospodarowała kieliszkami do lekarstw pani Jamieson, jej łyżeczkami, tacą na nóżkach i innymi niezbędnymi przyborami tak swobodnie, aż panna Matty poczęła się troskać, co też powiedziałyby ich właścicielka albo pan Mulliner, gdyby o tym wiedzieli. Pani Forrester zrobiła trochę swojej sławnej galaretki, aby po przybyciu do mieszkania czekał na nich posiłek. Prezent z tej galaretki był najwyższą oznaką uprzejmości ze strony pani Forrester. Kiedyś panna Pole poprosiła ją o receptę, ale została po prostu ofuknięta: pani Forrester oświadczyła, że za życia nie poda tego przepisu nikomu, a po jej śmierci przejdzie on w spadku na pannę Matty, o czym przekonają się wykonawcy testamentu. Co zaś panna Matty, a właściwie, jak wyraziła się pani Forrester (pod wpływem myśli o klauzuli w jej testamencie i o ważności chwili), co panna Matylda Jenkyns zechce zrobić z tym przepisem, kiedy znajdzie się on w jej posiadaniu, czy go ujawnić ogółowi, czy też przekazać komuś jako dziedzictwo, tego już ona nie wie ani nie zamierza jej narzucać. Foremka tej wybornej, lekkostrawnej, zupełnie wyjątkowej galaretki została posłana przez panią Forrester naszemu biednemu magikowi. I kto powie, że arystokraci są dumni? Oto dama z rodu Tyrrelów mająca za przodka wielkiego sir Waltera, zabójcę króla Rufusa, ona, w której żyłach płynie krew mordercy nieletnich książąt w Tower — troska się co dnia, jakie smaczne danie przygotować dla Samuela Browna, szarlatana! Ale naprawdę miło było widzieć, ile dobrych uczuć wyzwoliło pojawienie się wśród nas tego

nieszczęśnika. I miło też było widzieć, że panika, jaką wywołało w Cranford jego pierwsze ukazanie się w tureckim stroju, rozwiała się jak dym, gdy zobaczono go po raz drugi — bladego, słabego, o zamglonych oczach, znużonym spojrzeniu, które rozjaśniało się odrobinę, gdy padało na twarz wiernej żony czy też ich bladej i smutnej córeczki.

Jakoś wszystkie zapomniałyśmy o strachu. Zdaje się, że właśnie odkrycie, iż człowiek, który przez swą niepowtarzalną sztukę rozbudził w nas pierwszy umiłowanie rzeczy niezwykłych, nie posiada codziennych umiejętności na tyle, by móc poskromić spłoszonego konia, sprawiło, że znowu poczułyśmy się sobą. Panna Pole zjawiała się ze swym koszyczkiem każdego wieczoru, jak gdyby jej samotny domek i nie uczęszczana droga do niego nie były nigdy terenem działań „tej bandy morderców”; pani Forrester wyraziła przypuszczenie, że ani ona, ani Jenny nie potrzebują się lękać bezgłowej damy, która szlocha i zawodzi w Alei Mroków, z pewnością bowiem duchom takim nie jest dana moc szkodzenia ludziom czyniącym dobro wedle swoich sił. Jenny z drżeniem nie oponowała, ale teoria jej pani niewielki miała wpływ na postępowanie dziewczyny, póki nie naszyła sobie na bieliźnie dwóch kawałków czerwonej flaneli na krzyż.

Zastałam pannę Matty na pokrywaniu włóczką — barwną niczym kolory tęczy — małej piłeczki, tej, którą zwykła turlać pod łóżkiem.

— Moja droga — powiedziała — bardzo współczuję temu smutnemu dziecku. Chociaż jej ojciec jest kuglarzem, dziewczynka wygląda tak, jakby się nigdy w życiu naprawdę dobrze nie bawiła. Kiedy byłam dziewczynką, robiłam w taki sposób prześliczne piłeczki i pomyślałam, że może tę ozdobię i zaniosę dziś po południu małej Febe. Myślę, że „banda” wyjechała już stąd, bo jakoś się więcej nie słyszy o ich napadach i rabunkach.

Byłyśmy wszystkie zbyt przejęte ciężkim stanem Signora Brunoni, żeby rozmawiać o rabunkach czy duchach. Lady Glenmire przyznała nawet, że właściwie to nigdy nie słyszała o żadnym rabunku, wyjąwszy to, że dwóch chłopaczków nakradło jabłek w sadzie gospodarza Bensona, a w dniu targowym

zginęło kilka jajek na straganie wdowy Hayward. Ale tego już było za wiele: nie mogliśmy uznać, że istniały tylko tak błahe powody paniki. Słyszając uwagi lady Glenmire panna Pole wyprostowała się i odrzekła, iż przykro jej, bo nie może zgodzić się z nią, że miałyśmy tylko tak małe podstawy do czujności; pamięta o mężczyźnie, przebranym za kobietę, który chciał wdrzeć się do jej domu, podczas gdy współnicy czyhali w pobliżu; wie od samej lady Glenmire o śladach stóp na rabatkach pani Jamieson, ma przed oczyma zuchwały rabunek dokonany na panu Hogginsie u drzwi jego domu... W tym momencie lady Glenmire przerwała, twierdząc stanowczo, że cała ta historia została wymyślona, a w rzeczywistości to kot był winowajcą. Tak poczerwieniała mówiąc to, iż wcale mnie nie zdziwiło, że panna Pole nastroszyła się, i jestem pewna, że gdyby lady Glenmire nie była osobą utytułowaną, usłyszałaby dosadne zaprzeczenie, a nie tylko: „No, no, doprawdy” i podobne urywane wykrzykniki, to bowiem było wszystko, na co zdobyłyśmy się w jej obecności. Ale po jej odejściu panna Pole wygłosiła dłuższą mowę do panny Matty wyrażając radość, że jak dotąd uniknęła małżeństwa, które jak zauważyła, czyni ludzi niesłychanie łatwowiernymi, bo przecież kobieta musi być z natury bardzo łatwowierna, skoro nie może powstrzymać się od zamążpójścia, zaś słowa lady Glenmire na temat obrabowania pana Hogginsa pokazują, do czego dochodzą ludzie, jeśli raz ulegną tej słabości; widocznie lady Glenmire przyjmuje za dobrą monetę wszystko, skoro uwierzyła w tę historyjkę o baraninie i kocie, którą pan Hoggins próbował i jej zamydląć oczy, ale ona pilnuje się, by nie wierzyć za bardzo w to wszystko, co mówią mężczyźni.

Byłyśmy, tak jak życzyła sobie panna Pole, zadowolone, że nie wyszłyśmy za mąż, ale, myślę, jeszcze bardziej byłyśmy rade, że rabusie wynieśli się z Cranford, tak przynajmniej wywnioskowałam z tego, co mówiła panna Matty wieczorem, kiedy zasiadłyśmy przed kominkiem; z jej słów wynikało, że w mężu widziała skutecznego obrońcę przeciw złodziejom, włamywaczom i duchom. Powiedziała, że nie odważyłaby się chyba nieustannie odradzać młodym ludziom

małżeństwa, tak jak to robi panna Pole; jest ono z pewnością ryzykiem, co widzi teraz, mając niejaki doświadczenie, ale przypomina sobie czasy, kiedy jak każda młoda dziewczyna wyczekiwała zamażpójścia.

— Nie za kogoś specjalnie — dodała spiesznie, hamując się, jak gdyby przestraszona, że powiedziała za wiele — tylko wiesz, to stara historia, że każda dziewczyna mówi: „Kiedy wyjdę za mąż”, a młodzieniec: „Jeśli się ożenię”.

Powiedziała ten żarcik raczej smutnym tonem i wątpię, czy która z nas się uśmiechnęła, ale nie mogłam dojrzeć jej twarzy w migotliwym blasku kominka. Po chwili mówiła dalej:

— W gruncie rzeczy jednak nie powiedziałam ci prawdy. To było tak dawno i wówczas nikt nie wiedział, ile o tym myślałam, może tylko moja kochana matka to odgadywała. Mogę przecież wyjawić ci, że był taki czas, kiedy nie sądziłam, że na całe życie powinnam pozostać tylko panną Matyldą Jenkyns. A teraz, gdybym nawet spotkała kogoś, kto pragnąłby mnie poślubić (jak mówi panna Pole, nikt nigdy nie jest całkiem bezpieczny), nie zgodziłabym się... mam nadzieję, że nie wziąłby tego za bardzo do serca, ale nie zgodziłabym się wziąć za męża nikogo, prócz tego jednego, o którym kiedyś myślałam jako o przyszłym moim mężu, a on już nie żyje i nigdy nie dowiedział się, jak doszło do tego, że powiedziałam „nie”, choć wiele, wiele razy myślałam... No cóż, nie chodzi o to, co myślałam. Bóg tak zrządził, moja droga, i jestem bardzo szczęśliwa. Nikt nie ma tak dobrych przyjaciółek, jakie mam ja — ciągnęła, ujmując moją rękę i przytrzymując ją w swoich.

Gdybym nie znała pana Holbrooka mogłabym coś wtrącić w tej przerwie, ale ponieważ go znałam, nie przychodziło mi na myśl nic, co brzmiałoby naturalnie, więc przez chwilę obie milczałyśmy.

— Mój ojciec — zaczęła znów — kazał nam prowadzić dziennik w dwóch kolumnach: rano zapisywałyśmy po jednej stronie, co według naszych przypuszczeń czeka nas w nadchodzącym dniu, a wieczorem po drugiej stronie, co się rzeczywiście zdarzyło. Dla niektórych ludzi to smutny sposób

przedstawiania swego życia — (przy tych słowach na moją rękę upadła łza). — Nie mówię, że moje życie było smutne, tylko że bardzo się różniło od tego, czego oczekiwałam. Przypominam sobie, jak w pewien zimowy wieczór siedziałyśmy z Deborą przy kominku w naszym pokoju... pamiętam, jakby to było wczoraj... i snułyśmy plany na przyszłość, obydwie — choć tylko ona mówiła o tym. Powiedziała, że chciałyby poślubić pastora i pisać za niego kazania, a wiesz przecież, moja droga, że nigdy nie wyszła za mąż i, o ile mi wiadomo, nigdy nawet w życiu nie rozmawiała z niezonatym pastorem. Ja nigdy nie odznaczałam się ambicją i nie potrafiłabym pisać kazań, ale myślę, że potrafiłabym prowadzić dom (matka nazywała mnie swoją prawą ręką) i zawsze tak lubiłam dzieci... najbardziej nieśmiałe dzieci wyciągały do mnie rączki i szły do mnie. Kiedy byłam dziewczynką, połowę wolnego czasu spędzałam na opiekowaniu się dziećmi z pobliskich domostw. Nie wiem, jak to się stało, ale kiedy posmutniałam i spoważniałam... jakoś w rok czy dwa potem... maleństwa zaczęły uciekać przede mną. Chyba straciłam ten dar, choć dalej bardzo lubię dzieci i kiedy widzę matkę z dzieckiem na ręku, dziwnie mi bije serce. Tak, moja droga (nie poruszane węgle osunęły się w tym momencie i w nagłym blasku płomienia zobaczyłam jej oczy pełne łez — wpatrzone w obraz czegoś, co mogło być), czy wiesz, że czasem śnię, że mam malutkie dziecko... zawsze takie same... dwuletnią dziewczynkę. Ona nigdy nie wyrasta, choć śnię o niej od wielu lat. Nie wiem, czy kiedykolwiek we śnie słyszałam jakieś jej słowa, czy jakiś hałas przez nią wywołany. Jest bardzo cicha i spokojna, ale przychodzi do mnie, kiedy jest bardzo smutna albo bardzo rada i budzę się, czując na szyi uścisk jej małych rączek. Nie dalej jak zeszłej nocy... może dlatego, że idąc spać myślałam o piłeczce dla małej Febe — moje kochane maleństwo przyszło do mnie we śnie, nadstawiło buzię do pocałunku, tak jak prawdziwe dzieci nadstawiają buzię do pocałunku prawdziwym matkom, nim zasną. Ale to wszystko nie ma sensu, moja droga! Tylko nie daj się pannie Pole odstraszyć od małżeństwa. To może być bardzo szczęśliwy stan, a trochę łatwości może ułatwić życie... lepsze to niż ciągła nieufność i

dostrzeganie we wszystkim trudności i złych stron.

Jeżeli stanowiłabym podatny grunt do tego, by ktoś lub coś odstraszyło mnie od małżeństwa, nie dokonałaby tego panna Pole, raczej widok smutnej doli biednego Signora Brunoni i jego żony. Chociaż i oni mogli być zachętą, bo mimo tylu trosk i smutków każde z nich myślało o drugim, a nie o sobie samym. A jeśli któreś z nich lub mała Febe doznało jakiejś radości, cieszyli się tym wszyscy razem.

Pewnego dnia Signora opowiedziała mi wiele o ich dotychczasowym życiu. Zaczęło się od tego, że zapytałam, czy opowiadanie panny Pole o bliźniaczych braciach odpowiadało prawdzie: mówiła ona o tak wielkim podobieństwie, że gdyby nie to, że jako niezamężna godna jest wiary, miałabym pewne wątpliwości. Ale Signora, a raczej pani Brown (przekonałyśmy się, że woli być tak nazywana), potwierdziła, że to prawda, że szwagra wiele osób brało za jej męża, co stanowiło pomoc w ich zawodzie. — Chociaż — ciągnęła — nie pojmuję, jak ludzie mogą nie odróżniać Thomasa od prawdziwego Signora Brunoni, ale on tak mówi, więc myślę, że powinnam mu wierzyć. To bardzo dobry człowiek, doprawdy nie wiem, jak uregulowalibyśmy nasze rachunki „Pod Wschodzącym Słońcem”, gdyby nie pieniądze, które nam przysłał, ale ludzie muszą się bardzo mało znać na naszej pracy, skoro biorą go za mego męża. Na przykład w tej sztuce z piłeczkę, kiedy mój mąż rozpościera szeroko palce, a mały palec wysuwa zgrabnie, z wdziękiem, Thomas po prostu zaciska dłoń w pięść i mógłby w niej schować nie wiem ile piłek. Poza tym on nigdy nie był w Indiach i nie ma pojęcia, jak nosić turban.

— Państwo byli w Indiach? — spytałam zdziwiona.

— O tak, wiele lat, proszę pani. Sam był sierżantem w trzydziestym pierwszym i kiedy jego pułk wysłano do Indii, byłam jedną z tych żon, które wylosowały prawo pojechania tam także, i byłam tak szczęśliwa, że nie potrafię tego wypowiedzieć, bo wydawało mi się, że rozstać się z mężem, to znaczyłoby umierać powolną śmiercią. Ale doprawdy, proszę pani, gdybym wiedziała wszystko, co mnie czeka, nie wiem, czy nie wolałabym umrzeć od razu, niż

przejsć to, co przeszłam. Oczywiście, mogłam pocieszać Sama i być z nim razem, ale proszę pani, straciłam sześcioro dzieci — rzekła podnosząc na mnie to dziwne spojrzenie, jakie widywałam tylko u matek, którym umarły dzieci, spojrzenie z takim wyrazem, jak gdyby szukała czegoś, czego nigdy nie znajdzie. — Tak! Sześcioro dzieci pochowałam w tych okrutnych Indiach, jak młode pączki ścięte przed czasem. Przy śmierci każdego myślałam, że nigdy już nie potrafię... że nigdy już nie będę kochać żadnego dziecka, ale kiedy przychodziło następne, kochałam je nie tylko dla niego samego, ale przez pamięć jego zmarłych braciszków i siostrzyczek. A kiedy miała przyjść na świat Febe rzekłam mężowi: „Sam, kiedy to dziecko się urodzi i będę już silniejsza, opuszczę cię, choć będzie to dla mnie ciężkim ciosem, bo jeśli i to dziecko umrze, ja oszaleję. Jestem już trochę szalona. Jeśli pozwolisz mi iść do Kalkuty niosąc moje dziecko, być może ozdrowieję. Będę oszczędzać i żebrać i nawet gotowam potem umrzeć, byle tylko mieć na przejazd do Anglii, bo tam może nasze dziecko będzie żyło”. Niech go Bóg błogosławi! Pozwolił mi iść i oszczędzał ze swego żołdu, ja oszczędzałam każdy pieniążek, jaki dostałam za pranie czy inną pracę, i kiedy Febe się urodziła, a ja odzyskałam siły, wyruszyłam. Byłam bardzo samotna, szłam niosąc dziecko przez gąszcze leśne, ciemne od zwisających nisko gałęzi drzew, brzegami rzek (ale ponieważ wychowałam się w Warwickshire nad Avonem, rzeki szumiały jak w kraju), od stacji do stacji, z jednej wioski hinduskiej do drugiej. Była wśród żon oficerów jedna, która miała mały obrazek, proszę pani, malowany przez jakiegoś cudzoziemca, katolika, z Matką Boską i małym Zbawicielem, proszę pani. Trzymała go w ramionach, pochylona nad nim, tuląc jego buzię do swego policzka. Prałam tej pani, a kiedy przyszłam się pożegnać, płakała smutno, bo ona także straciła dzieci, ale nie pozostało jej ani jedno, które by mogła strzec jak ja. Zdobyłam się na śmiałość i poprosiłam, by mi dała ten obrazek. Rozpłakała się jeszcze bardziej i powiedziała, że jej dzieci są z tym małym Jezuskiem, i dała obrazek, i powiedziała, że podobno był wymalowany na dnie beczułki i dlatego jest okrągły. A kiedy moje ciało było bardzo znużone, a moje serce chore (bo były

chwile, kiedy wątpiałam, czy kiedykolwiek znajdę się w kraju, i były chwile, kiedy myślałam o moim mężu, a raz zdawało mi się, że moje dziecko umiera), wyjmowałam obrazek i patrzyłam, aż wydawało mi się, że Matka przemawia do mnie i pociesza mnie. A ludzie tamtejsi byli bardzo dobrzy. Nie mogliśmy się zrozumieć, ale widzieli, że mam dziecko przy piersi i wychodzili do mnie, dawali mi ryż i mleko, czasem kwiaty... niektóre z nich mam zasuszone. Czasem rano bywałam tak zmęczona, że namawiali, żebym z nimi została — to rozumiałam — i próbowali odstraszyć mnie od wchodzenia w niezgłębione puszcze, które rzeczywiście były mroczne i dzikie, ale mnie się wciąż zdawało, że w ślad za mną idzie śmierć i chce mi wydrzeć dziecko, więc muszę iść dalej i dalej... i myślałam o tym, że od początku świata Bóg otaczał opieką matki, więc i o mnie nie zapomni. Żegnałam się więc z nimi i wyruszałam znów w drogę. A raz, kiedy moje dziecko było chore i obie potrzebowałyśmy odpoczynku, On doprowadził mnie do miejscowości, gdzie wśród tubylców mieszkał jeden dobry Anglik.

— I w końcu bezpiecznie dotarła pani do Kalkuty?

— Tak. Och, kiedy wiedziałam, że mam przed sobą już tylko dwa dni drogi... nie mogłam się temu oprzeć, proszę pani... może to bałwochwalstwo, nie wiem... przechodziłam koło jednej z tamtejszych świątyń i weszłam z moim dzieciątkiem, żeby podziękować Bogu za Jego wielkie miłosierdzie, bo wydawało mi się, że miejsce, gdzie ludzie od lat modlą się do swego Boga w chwili radości czy udręczenia, jest już przez to samo świętym miejscem. Potem w Anglii zostałam służącą jednej chorej pani, która na okręcie bardzo polubiła moją córeczkę, a po dwóch latach Sama zwolniono z wojska. Musiał zabrać się do jakiejś pracy, ale nie znał żadnej, a że kiedyś dawno nauczył się od hinduskiego żonglera kilku sztuczek, wziął się do kuglarstwa i wiodło mu się tak dobrze, iż przyjął Thomasa do pomocy — wie pani, jako pomocnika, a nie jako samodzielnego żonglera, chociaż teraz Thomas daje przedstawienia na własną rękę. Wielkim ułatwieniem było dla nas to podobieństwo bliźniaków i dzięki temu wiele sztuczek udawało się tak dobrze, że wykonywali je razem. Thomas jest dobrym bratem, ale nie ma

takiej ładnej postawy jak mój mąż, więc nie mogę pojąć, że biorą go za Signora Brunoni, jak mówi.

— Biedna malutka Febe! — powiedziałam, wracając myślami do niemowlęcia, które niosła przez setki mil.

— A tak, ma pani rację! Kiedy zachorowała w Chunderabaddad myślałam, że jej nie uratuję, ale ten dobry aga Jenkyns przyjął nas do siebie i wierzę, że to ją ocaliło.

— Jenkyns! — zawołałam.

— Właśnie, Jenkyns. Chyba wszyscy ludzie o tym nazwisku są dobrzy, bo tutaj jest ta miła starsza pani, która co dzień przychodzi i zabiera Febe na spacer.

Przez głowę przebiegła mi myśl: czy ten aga Jenkyns to nie zaginiony Peter? To prawda, że słyszałam od wielu osób, że umarł. Ale również jest prawdą, iż niektórzy ludzie twierdzą, że doszedł do godności Wielkiego Lamy w Tybecie. Panna Matty wierzy, że on żyje. Muszę się czegoś więcej dowiedzieć na ten temat.

ROZDZIAŁ XII

Zaręczyny

Czy „biedny Peter” z Cranford to ów aga Jenkyns z Chunderabaddad? Jak ktoś się wyraził: „Oto jest pytanie”.

W moim rodzinnym domu, kiedy tylko bliscy nie mieli nic innego do roboty, karcono mnie za brak roztropności. Ta moja wada wzbudzała w nich lęk. Każdy ma taką niepokojącą wadę, stałą cechą charakterystyczną, *pièce de résistance*, którą raz po raz poskramiają przyjaciele. Znudziły mnie wreszcie te ciągłe zrządzenia za moją nieprzezorność i brak ostrożności i postanowiłam choć raz okazać się wzorem rozwagi. Nie wspomnę nawet o swoich przypuszczeniach co

do agi. Zbiorę dowody, zawiozę je do domu i przedłożę ojcu, jako przyjacielowi rodziny Jenkynsów.

W mojej pogoni za faktami przypominało mi się nieraz opowiadanie ojca o komitecie pań, któremu kiedyś prezydował. Powiedział, że stał mu wówczas przed oczyma pewien ustęp z powieści Dickensa, opisujący chór mężczyzn, w którym każdy z nich śpiewał ku własnej satysfakcji melodię najlepiej sobie znaną. Podobnie na tym zebraniu charytatywnym każda pani wybierała temat najbliższy sercu i przemawiała z wielkim dla siebie zadowoleniem, ale z mniejszym pożytkiem dla sprawy, nad którą miały dyskutować. Ale nawet obrad tego komitetu nie dałoby się porównać z zachowaniem pań kranfordzkich, kiedy starałam się z nich wydobyć jasne, konkretne informacje, dotyczące wzrostu i wyglądu biednego Petera oraz okoliczności, w których słyszano o nim ostatni raz.

Na przykład przypominam sobie, że kiedy zapytałam pannę Pole... wydawało mi się, że pytanie jest bardzo na czasie, bo postawiłam je na wizycie u pani Forrester, obie zaś panie znały młodego Jenkynsa, więc sądziłam, że wzajemnie sobie przypomną... Kiedy zapytałam pannę Pole, jaka była ostatnia o nim wiadomość, powtórzyła absurdalną plotkę, o której już wspominałam, że został wybrany Wielkim Lamą Tybetu, a to stało się sygnałem dla każdej z pań do snucia własnych myśli. Pani Forrester rozpoczęła od przesłoniętego zawsze welonem proroka z „Lalla Rookh”¹⁶ i zapytała, czy ja sądzę, że mógł zostać Wielkim Lamą, chociaż Peter nie był tak brzydki, raczej nawet byłby przystojny, gdyby nie piegi. Byłam jej wdzięczna, że mówi o zaginionym, ale po chwili roztargniona pani rozprawiała już o wartości kosmetyków i olejków do włosów, a słowa płynęły jej tak potocześnie, że zaczęłam słuchać panny Pole, która (poprzez lamę, zwierzę juczne) przeszła do obligacji peruwiańskich i akcji na rynku, i swojej złej opinii na temat banków akcyjnych, a zwłaszcza tego, w którym panna Matty zainwestowała swój kapitał. Na próżno wtrącałam swoje: „Kiedy to... w

¹⁶ Lalla Rookh — poetyckie baśnie wschodnie połączone opowieścią o podróży księżniczki Lalli Rookh z Delhi do Kaszmiru. Postacią występującą w pierwszej baśni jest tajemniczy pseudoprorok, ukryty pod welonami.

którym roku słyszały panie, że pan Peter został Wielkim Lama?” Panie włączyły się w jeden strumień rozmowy tylko po to, aby dyskutować, czy lamy są zwierzętami mięsożernymi, a w tej dyskusji nie wszystkie miały równe szanse, bo pani Forrester (kiedy się podnieciły i znowu uspokoiły) przepraszała, że zawsze mieszają jej się słowa „mięsożerny” i „trawożerny”, tak samo jak „horyzontalny” i „wertykalny”, a potem bardzo ładnie za to przeprosiła zaznaczając, że jeśli chodzi o tak długie wielosylabowe słowa, to za jej czasów robiono z nich tylko ten użytek, że uczono, jak należy je pisać.

Z rozmowy tej mogłam wyciągnąć jedynie ten wniosek, że według ostatniej wiadomości, jaką o nim miano, Peter przebywał w Indiach „lub gdzieś w tamtych stronach”, a ta skąpa informacja o jego adresie dotarła do Cranford w tym roku, kiedy panna Pole przywiozła sobie suknię z hinduskiego muślinu, dawno już podartą (musiałyśmy dowiedzieć się o jej praniu, cerowaniu, śledzić jej postępujące zniszczenie i wreszcie przemianę na zazdrostki do okna, nim mogłyśmy usłyszeć coś więcej), w roku, kiedy do Cranford przyjechał cyrk Wombwella, bo panna Matty chciała obejrzeć słonia, aby móc sobie lepiej wyobrazić brata jeżdżącego na jego grzbiecie, i zobaczyła również boa dusiciela, choć jego bynajmniej nie pragnęła umieszczać na tworzonym w wyobraźni obrazie okolic, w których przebywał Peter; i w tym samym roku, kiedy panna Jenkyns nauczyła się na pamięć urywka wiersza i zwykła powtarzać na wszystkich przyjęciach w Cranford, jak to jej brat „ogarnia wzrokiem ludzkość od Chin do Peru”, a każdy uważał te słowa za piękne i bardzo stosowne, bo przecież Indie znajdują się między Chinami a Peru, jeżeli się zada sobie trud obrócenia globusa na lewo, a nie na prawo.

Przypuszczam, że właśnie te moje pytania i wzbudzone przez nie zainteresowanie moich przyjaciółek uczyniły nas głuchymi i ślepyimi na to, co się dookoła działo. Wydawało mi się, że słońce wschodzi i świeci, że deszcz pada na Cranford jak zwykle, i nie dostrzegłam nic, co można by uważać za zapowiedź jakiegoś niezwykłego wydarzenia, a o ile wiem, nie tylko panna Matty i pani

Forrester, ale nawet sama panna Pole, którą miałyśmy za rodzaj prorokini, ponieważ posiadała dar przewidywania nadchodzących wydarzeń — choć nie lubiła niepokoić przyjaciółek wyjawianiem im swoich przewidywań — nawet samą pannę Pole zdumienie pozbawiło tchu, gdy wpadła do nas z tą wstrząsającą nowiną. Ale i ja sama muszę odsapnąć: bo wspomnienie tego, nawet po tak długim upływie czasu, i mnie również pozbawiło tchu... i składni... a jeśli się nie uspokoję, przepadnie i moja ortografia.

Siedziałyśmy, panna Matty i ja, tak jak zwykle, ona w fotelu, obitym niebieskim kretonem, tyłem do światła, z drutami w ręku, a ja czytałam głośno „St. James's Chronicle”. Za parę minut miałyśmy wstać i poczynić pewne drobne zmiany w naszym stroju, jak zazwyczaj przed kranfordzką porą wizytową (dwunasta w południe). Mam w pamięci tę scenę i datę. Mówiłyśmy, że Signor Brunoni szybko odzyskuje siły po nadejściu cieplej pogody, wychwalałyśmy doświadczenie pana Hogginsa, ubolewałyśmy nad jego brakiem manier i oglądałyśmy (wydaje się to dziwnym zbiegiem okoliczności, że właśnie to stanowiło temat naszej rozmowy, ale tak rzeczywiście było), kiedy usłyszałyśmy pukanie do drzwi — pukanie kogoś, kto przychodził w odwiedziny: trzy wyraźne stuknięcia — skoczyłyśmy (prawdę mówiąc panna Matty nie mogła chodzić bardzo szybko, bo miała trochę reumatyzmu) do swoich pokoi, aby zmienić czepeczki i kołnierzyki, kiedy powstrzymał nas głos idącej już po schodach panny Pole. — Nie odchodźcie... nie mogę czekać... wiem, że nie ma jeszcze dwunastej... proszę się nie kłopotać strojem... musimy porozmawiać. — Staraliśmy się ze wszystkich sił wyglądać tak, jakbyśmy to nie my poderwały się przed chwilą z krzeseł, co usłyszała panna Pole, bo oczywiście po co miałby kto przypuszczać, że donaszamy jakieś stare ubrania w „zaciszu naszego domu”, jak panna Jenkyns kiedyś ładnie nazwała tylny salonik, gdzie zawiązywała słoiki konfitur. Zdwoiłyśmy więc elegancję naszych manier i byłyśmy wysoce wytworne przez dwie minuty, kiedy to panna Pole usiłowała odzyskać oddech i niesłychanie podniecała naszą ciekawość wyrzucaniem ze zdumienia obu dłoni do góry i

opuszczaniem ich w milczeniu, jak gdyby wieść, którą miała do zakomunikowania, była zbyt doniosła na przekazanie jej słowami i dawała się tylko wyrazić pantomimą.

— Co pani myśli, panno Matty? Co pani myśli? Lady Glenmire ma się żenić... to znaczy ma wyjść za mąż... Lady Glenmire... Pan Hoggins... Pan Hoggins ma poślubić lady Glenmire!

— Poślubić! — zawołałyśmy. — Poślubić! Szaleństwo!

— Poślubić — rzekła panna Pole ze stanowczością, która ją zawsze cechowała. — Powiedziałam: „poślubić”! Tak jak panie powiedziały, i jeszcze powiedziałam: „Jakże milady ma zamiar się ośmieszyć!” Mogłabym także powiedzieć: „Szaleństwo!”, ale opanowałam się, bo usłyszałam o tym w sklepie. Nie wiem, gdzie się podziała kobieca delikatność! Pani i ja, panno Matty, nie zniosłybyśmy tego, by o naszym małżeństwie mówiono w sklepie kolonialnym, w obecności subiektów.

— Ale — oponowała panna Matty wzdychając jak ktoś, kto odzyskuje równowagę po otrzymanym ciosie — może to nieprawda? Może wyrządzamy jej niesprawiedliwość?

— Nie — obstawała przy swoim panna Pole. — Postarałam się stwierdzić to na pewno. Poszłam prosto do pani Fitz-Adam, aby pożyczyć książkę kucharską, bo wiem, że ją ma, i nawiązując do trudności, jakie dżentelmenowi musi sprawiać prowadzenie gospodarstwa wyraziłam swoje gratulacje, a pani Fitz-Adam wyprostowała się i potwierdziła pogłoskę, zaznaczając, że nie pojmuje, gdzie i kiedy o tym mogłam słyszeć! Powiedziała, że jej brat i lady Glenmire doszli wreszcie do porozumienia. „Doszli do porozumienia!” Takie prostackie wyrażenie! Ale lady Glenmire będzie musiała się przyzwyczaić do braku ogłady. Mam powód przypuszczać, że pan Hoggins jada co dzień na kolację chleb z serem i popija to piwem.

— Poślubić! — powtórzyła panna Matty znowu. — No, no. Nigdy nie przypuszczałam. Dwoje ludzi, których znamy, ma zamiar się pobrać. I to już

niedługo!

— Tak już niedługo, że gdy to usłyszałam, serce mi na chwilę przestało bić — rzekła panna Pole.

— Nie wiadomo, na kogo przyjść może kolej. Biedna lady Glenmire mogła sądzić, że tutaj, w Cranford, nic jej nie grozi — stwierdziła panna Matty z cichym współczuciem w głosie.

— Ba! — oświadczyła panna Pole potrząsając głową. — Czy nie pamięta pani piosenki naszego drogiego kapitana Browna „Tibbie Fowler” i tej strofki:

Choćby ją usadzić na skale

Wiatr i tam męża jej przywieje.

— To chyba dlatego, że Tibbie Fowler była bogata.

— Cóż, lady Glenmire może się podobać, choć czy ja wiem?

I ja wyraziłam moje zdziwienie:

— Ale jak ona mogła upodobać sobie pana Hogginsa? Nie dziwię się, że ona się jemu spodobała.

— Ach, nie wiem. Pan Hoggins jest bogaty i ma miły wygląd, poczciwe usposobienie i dobre serce — rzekła panna Matty.

— Wychodzi za mąż, żeby się jakoś urządzić, ot co. Bierze pod uwagę jego gabinet lekarski — rzuciła panna Pole śmiejąc się złośliwie z własnego żartu. Ale, podobna w tym do wielu innych ludzi, kontenta, że jej słowa były ironiczne i zjadliwe, a zarazem dowcipne, od tego momentu trochę złagodniała. Zaczęłyśmy się zastanawiać, jak pani Jamieson przyjmie tę nowinę. Osoba, którą postawiła na straży swego domu polecając jej strzec pokojówek przed wizytami ich wielbicieli, sama sobie znalazła wielbiciela! A w dodatku był nim człowiek, którego pani Jamieson uznawała za wulgarnego, któremu odmawiała wstępu do salonów kranfordzkich nie tylko z powodu nazwiska, ale z powodu jego głosu, cery, butów pachnących stajnią, z powodu całej jego osoby pachnącej apteką.

Czyżby on kiedykolwiek odwiedzał lady Glenmire u pani Jamieson?

Jeśli tak, to w opinii właścicielki nie zdoła domu tego oczyścić nawet wapno bielące! A może ich rozmowy odbywały się tylko przy okazji spotkań w pokoju biednego chorego iluzjonisty, w stosunku do którego oboje byli niezwykle dobrzy, czemu nie mogłyśmy zaprzeczyć mimo zastrzeżeń wobec tego mezaliansu. Okazało się, że służąca pani Jamieson w tym czasie zachorowała i pan Hoggins doglądał jej przez parę tygodni. Tak więc wilk dostał się do owczarni i oto porywał pasterkę. Co powie pani Jamieson? Patrzyliśmy w mrok przyszłości, jak dziecko, gdy kieruje wzrok za fajerwerkiem wylatującym w zachmurzone niebo i wyczekuje trzasku wybuchu, deszczu brylantowych iskier i powodzi światła. Potem wróciliśmy na ziemię, do chwili obecnej, i pytałyśmy się nawzajem (a żadna z nas nic nie wiedziała i nie miała żadnych danych do wysnuwania wniosków): Kiedy to nastąpi? Gdzie? Jakie są roczne dochody pana Hogginsa? Czy ona wyrzeknie się swego tytułu? I czy zdołamy nauczyć Martę i resztę służby kranfordzkiej, by oznajmiała przybycie tej pary w taki sposób: „Lady Glenmire i pan Hoggins”? I czy będzie się ich odwiedzać? Czy pani Jamieson nam pozwoli? Czy też będziemy musiały wybierać pomiędzy czcigodną panią Jamieson i zdegradowaną lady Glenmire? Wszystkie bardziej lubiłyśmy lady Glenmire. Była uprzejma, wesoła, towarzyska, miła. A pani Jamieson była nudna, nieruchawa, pompatyczna i męcząca. Ale przez tak długi czas uznawałyśmy jej rządy, że nawet sama myśl o złamaniu ewentualnego jej zakazu wydawała nam się nielojalnością.

Pani Forrester zastała nas w cerowanych czepeczkach i łatanych kołnierzykach, o czym zupełnie zapomniłyśmy przejęte myślą, jak też ona przyjmie tę wiadomość, bo przekazanie jej pozostawiłyśmy wedle nakazu uczciwości pannie Pole, chociaż gdybyśmy chciały wykorzystać okazję, mogłybyśmy ją ubiec, pochwycił ją bowiem całkiem nie w porę, zaraz po wejściu pani Forrester, pięciominutowy napad kaszlu. Nigdy nie zapomnę błagalnego wyrazu jej oczu, gdy spoglądała na nas sponad chusteczki. Mówiły one tak

wyraźnie, jak mogłyby powiedzieć słowa: „Nie pozwólcie, by natura pozbawiła mnie skarbu, który do mnie należy, choć przez chwilę nie mogę zrobić z niego użytku”. Więc czekałyśmy.

Zdumienie pani Forrester dorównywało naszemu, była jednak bardziej niż my dotknięta i zgorzonna, musiała bowiem współczuć swej klasie, i widziała jaśniej niż my mogłyśmy dostrzec, jaką ujmę przynosi arystokracji taki postępek.

Kiedy obie panie wyszły próbowałyśmy ochłonać, ale posłyszana wiadomość zupełnie wytrąciła z równowagi pannę Matty. Obliczyła, że od przeszło piętnastu lat nie słyszała, by którakolwiek z jej znajomych wychodziła za mąż, z wyjątkiem jedynie panny Jessie Brown i, jak się wyraziła, było to dla niej kompletnym szokiem i miała wrażenie, że nie wiadomo, co może się jeszcze zdarzyć.

Nie wiem, czy jest to tylko moje przywidzenie, czy naprawdę tak się dzieje, ale zauważyłam, że kiedy rozejdzie się gdzieś wiadomość o zaręczynach, niezamężne damy w danym towarzystwie paradują w nowych strojach, są podniecone i radosne, jak gdyby nieświadomie, bez słów, ogłaszały: „My także jesteśmy do wzięcia”. W ciągu dwóch tygodni po tej wizycie panna Matty i panna Pole więcej rozmawiały i myślały o kapeluszach, sukniach, czepeczkach i szalach niż przez całe lata naszej znajomości. Ale może sprawiła to wiosenna pogoda, bo był przyjemny, ciepły marzec, więc merynosy i pilśnie, jako też materie wełniane wszelkiego rodzaju nie wyglądały wdzięcznie w jasnych promieniach słońca. To nie strój lady Glenmire zdobył jej serce pana Hogginsa, bo na swe samarytańskie wyprawy chodziła ubrana skromniej niż zazwyczaj. Chociaż z pośpiesznych spojrzeń, jakie rzucałam na nią w kościele czy gdzie indziej, odniosłam wrażenie, że raczej stara się unikać spotkania z przyjaciółkami, wydawało się, że na twarzy jej malują się rumieńce niemalże młodości, że wargi ma czerwieńsze, drżące, pełniejsze, nie zaciśnięte jak poprzednio i spogląda na wszystko dokoła z blaskiem w oczach, jak gdyby uczyła się kochać Cranford i wszystko, co do niego należy. Pan Hoggins promieniał i skrzypiał w głównej nawie kościoła nową parą butów z cholewami — co było słyszalnym, a zarazem widzialnym znakiem

zamierzonej odmiany stanu cywilnego, gdyż tradycja głosiła, że buty, noszone przez niego dotychczas, to ta sama para, w której wyruszył na lekarskie wizyty w Cranford przed dwudziestu pięciu laty; tylko że wstawiono im nowe części — to cholewy, to podeszwy, obcasy i zelówki, czarną skórę i brązową skórę — więcej razy, niż można spamiętać.

Żadna z dam kranfordzkich nie chciała usankcjonować tych zaręczyn przez złożenie którejs z stron gratulacji. Chciałyśmy udawać, że nie wiemy nic o całej tej sprawie, aż do przyjazdu naszej seniorki, pani Jamieson. Czułyśmy, że póki nie wróci i nie da nam hasła, lepiej traktować zaręczyny podobnie jak nogi królowej hiszpańskiej — jako rzecz bezspornie istniejącą, ale o której im mniej się mówi, tym lepiej. Te kłódki, nałożone na nasze języki — bo przecież pojmujecie, że bez rozmowy na ten temat z którąś z stron zainteresowanych nie mogłyśmy otrzymać odpowiedzi na palące nas pytania — zaczynały już nam dokuczać i myśl o dostojności milczenia bladła wobec naszej ciekawości, kiedy zainteresowanie nasze na inne tory skierowała zapowiedź właściciela głównego sklepu w Cranford (który zależnie od potrzeb chwili był i sklepem kolonialnym, nabiałowym i sprzedawał kapelusze dla panów), że nadeszły wiosenne ubiory i w następny wtorek wystawione będą w jego salonach na High Street. Panna Matty tylko czekała na to, żeby kupić sobie nową jedwabną suknię. Zaproponowałam wprawdzie, że poślę do Drumble po żurnale, ale nie przyjęła mojej propozycji, grzecznie dając mi do zrozumienia, że nie zapomniała jeszcze, jak ją zawiodłam w sprawie turbanu koloru morskiej wody. Rada byłam, że jestem na miejscu i będę mogła zaprotestować, gdyby ją zbytnio oczarował jakiś żółty czy czerwony jedwab.

Muszę teraz powiedzieć parę słów o sobie. Mówiłam o dawnej przyjaźni mego ojca dla rodziny Jenkynsów, a nawet nie jestem pewna, czy nie istniało między nami jakieś dalekie pokrewieństwo. Ojciec chętnie pozwolił mi pozostać całą zimę w Cranford z uwagi na list panny Matty napisany do niego w okresie paniki, w którym niewątpliwie wyolbrzymiała moje siły i moją odwagę jako

ewentualnego obrońcy domu. Ale teraz, gdy dni stawały się dłuższe i weselsze, zaczynał nalegać, abym koniecznie wracała, a ja zwlekałam w tej złudnej nadziei, że jeśli uda mi się otrzymać jakąś wyraźną informację, może zdołam uzgodnić opowiadanie Signory o adze Jenkynsie z tym, co wyłuskałam z rozmowy panny Pole i pani Forrester na temat „biednego Petera”, jego pojawienia się i zniknięcia.

ROZDZIAŁ XIII

Wstrzymanie wypłaty

Rankiem w ten wtorek, kiedy u pana Johnsona miał się odbyć pokaz mody, listonoszka przyniosła do naszego domu dwa listy. Powiedziałam „listonoszka”, choć właściwie była to listonoszowa. Listonoszem był szewc, kulawy, bardzo schludny uczciwy człowiek, cieszący się dobrą opinią w miasteczku, ale listy roznosił tylko w wyjątkowych okazjach, takich jak pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia czy Wielki Piątek, i wtedy listy, które powinny być doręczone o ósmej rano, nie zjawiały się przed drugą czy trzecią po południu, gdyż wszyscy lubili biednego Thomasa i częstowali go z okazji świąt. Mawiał przy tym: „Strasznie jestem przejezdony, bo już w kilku domach sadzano mnie do wspólnego śniadania”. A po ostatnim ze śniadań przychodził do kogoś, kto właśnie zaczynał obiad. Ale jakiegokolwiek miewał po drodze pokusy, Tom był zawsze trzeźwy, grzeczny i uśmiechnięty, co, jak zwykła mówić panna Jenkyns, stanowiło lekcję cierpliwości i musiało podziałać na innych, u których gdyby nie Thomas, cenna owa cecha charakteru pozostawałaby w uśpieniu i nie dostrzeżona. U panny Jenkyns cierpliwość z pewnością pozostawała w głębokim uśpieniu. Stale oczekiwała listów i zwykła bębnić palcami po stole, póki nie zjawiała się — albo nie minęła domu — listonoszka. W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia i w Wielki Piątek bębniła tak po stole od śniadania do północy

do kościoła i od powrotu z kościoła do drugiej po południu — chyba że trzeba było poruszyć ogień, a wtedy nieodmiennie przewracała szczypce do węgla i pogrzebacz, za co wymówki dostawały się Matty. Ale równie pewne było, że Thomasa czekało gorące powitanie i suty obiad. Panna Jenkyns stała nad nim jak waleczny dragon i wypytywała go o dzieci, co robią, do jakiej szkoły chodzą; strofowała go, jeśli jeszcze jedno miało się pojawić, ale dawała nawet dla najmniejszego po szylingu i po ciastku i na dodatek pół korony dla matki i ojca. Poczta nie była sprawą ani przez pół tak ważną dla mojej drogiej panny Matty, ale za nic w świecie nie zmniejszyłaby serdeczności powitania Thomasa i nie uszczupliłaby darów dla niego, chociaż widziałam, że jest trochę onieśmielona tą ceremonią, którą panna Jenkyns traktowała przede wszystkim jako wspaniałą okazję udzielania rad i czynienia dobrze bliźnim. Panna Matty wsuwała mu wszystkie pieniądze w rękę, jak gdyby wstydząc się, panna Jenkyns zaś zwykła dawać każdą monetę oddzielnie, mówiąc: „To dla Thomasa, to dla Jenny” itd. Panna Matty wywoływała nawet z kuchni Martę, kiedy on jadł, a raz sama spostrzegłam, iż patrzy przez palce na to, że część posiłku znika nagle w jego niebieskiej bawełnianej chustce do nosa. Panna Jenkyns wprost krzyczała na niego, jeżeli nie wymiótł do czysta talerza, choć bywały na nim góry jedzenia, i za każdym kęsem dodawała następną część swojej perory.

Odeszłam daleko od dwóch listów, które oczekiwały nas na śniadaniowym stole tego wtorku. Ja dostałam list od ojca, panna Matty — jakiś druk. List ojca był typowo męski, to znaczy nudny, nie zawierał żadnych wiadomości poza tym, że ojciec jest zdrow, że mieli długi okres deszczu, że w handlu zastój i że krążą różne nieprzyjemne pogłoski. Ojciec zapytywał mnie, czy panna Matty nadal posiada akcje „Town and County Bank”, bo niedobrze o tym banku mówią, chociaż nic ponad to, co on sam zawsze przewidywał i co przepowiadał panie Jenkyns przed laty, kiedy chciała w tym banku ulokować swój skromny kapitał i kiedy to ta mądra kobieta uczyniła jedyny — o ile mu wiadomo — nierozważny krok w swym życiu. (Widziałam, że był to jedyny wypadek, kiedy postąpiła

wbrew jego radom.) Jednakże gdyby wydarzyło się co złego, nie powinnam oczywiście myśleć o pozostawieniu panny Matty samej, jeśli mogłabym jej się na coś przydać.

— Od kogo masz list, moja droga? Mój to jest uprzejme zaproszenie, podpisane „Edwin Wilson”, z prośbą o przybycie na ważne spotkanie akcjonariuszy „Town and County Bank” w Drumble, w czwartek, dwudziestego pierwszego. Bardzo to ładnie, że o mnie pamiętali.

Nie podobała mi się ta wiadomość o owym „ważnym spotkaniu”, bo jakkolwiek nie znałam się zbytnio na interesach obawiałam się, że potwierdza to słowa mego ojca. Jednakże, rozważałam, złe nowiny i tak zawsze dochodzą szybko; postanowiłam zatem nie dzielić się z nią swym niepokojem i powiedziałam tylko, że ojciec czuje się dobrze i przesyła jej uprzejme ukłony. Nadal obracała ze zdziwieniem swój list. W końcu rzekła:

— Pamiętam, jak Deborze przysłali kiedyś taki sam list, ale wtedy się nie dziwiłam, bo każdemu był znany jej rozsądek. Obawiam się, że im wiele nie pomogę, a nawet jeśli by przyszło do rachunków byłabym po prostu zawadą, bo nigdy nie potrafiłam obliczać w pamięci. Wiem, że Debora chciała pójść i nawet zamówiła na tę okazję nowy czepeczek, ale kiedy nadszedł wyznaczony dzień była bardzo przeziębiona, i oni potem przysłali bardzo grzecznie sprawozdanie ze wszystkiego, co robili. Zdaje się, że wybrali dyrektora. Jak myślisz, czy chcę, żebym im pomogła wybrać dyrektora? Z pewnością wybrałabym od razu twojego ojca.

— Ojciec nie ma udziału w tym banku — odparłam.

— A tak! Przypominam sobie. Bardzo się sprzeciwiał temu, żeby Debora kupowała te akcje, pamiętam. Ale ona miała głowę do interesów i zawsze decydowała sama, no i, widzisz, przez te wszystkie lata płacili osiem procent.

Była to dla mnie bardzo nieprzyjemna rozmowa, ze względu na to, czego się dowiedziałam, pomyślałam więc, że zmienię temat i zapytałam, o której godzinie pójdziemy na pokaz mody.

— Cóż, moja droga — odrzekła panna Matty — sprawa wygląda tak: nie wypada iść przed dwunastą, ale potem, rozumiesz, całe Cranford tam będzie, a nie jest przyjemnie za bardzo się interesować strojami, przybraniami i czepeczkami, kiedy wszyscy patrzą. Nie jest rzeczą elegancką objawiać przy takich okazjach nadmierną ciekawość. Debora posiadała sztukę oglądania najnowszych modeli z takim wyrazem twarzy, jakby to dla niej nie było nic nowego. Przejęła to od lady Arley, która rzeczywiście oglądała nowe modele w Londynie, jak wiesz. Więc myślę, że wpadniemy tam rano, po śniadaniu... muszę kupić pół funta herbaty i wtedy pójdziemy na górę i spokojnie obejrzymy sobie wszystko i zorientujemy się dokładnie, jak ma być uszyta moja nowa suknia jedwabna. Potem, po dwunastej, będziemy mogły tam pójść ze swobodną głową, nie zdradzając zainteresowania.

Zaczęłyśmy rozmawiać o nowej jedwabnej sukni panny Matty. Odkryłam, że to po raz pierwszy w życia miała wybrać dla siebie coś, co nie było tylko drobiazgiem, zawsze bowiem panna Jenkyns okazywała większe zdecydowanie, cokolwiek powiedzieć by można o jej guście, i zdumiewającą jest rzeczą, jak tacy ludzie samą tylko siłą swojej woli kształtują świat.

Panna Matty z taką rozkoszą przewidywała, jak wyglądać będą lśniące fałdy, jak gdyby za odłożone na suknię pięć suwerenów można było kupić wszystkie jedwabie w sklepie, a ja (przypominając sobie, że traciłam dwie godziny w sklepie z zabawkami, nim się zdecydowałam, na jakie cudo wydać srebrną trzypensówkę) byłam rada, że wychodzimy wcześniej i kochana panna Matty będzie miała czas na rozkosze wybierania.

Jeżeli natrafiłybyśmy na ładną zieleń morską, suknia miała być tego koloru, jeśli nie, panna Matty skłaniała się ku barwie kukurydzy, ja zaś — srebrnoszarej. Dyskutując nad tym, ile trzeba kupić materiału, doszłyśmy do drzwi sklepu. Miałyśmy kupić herbatę, wybrać jedwab, a potem wspiać się kręconymi schodami na dawne poddasze, służące dziś za salon mody.

Młodzi ekspedienci pana Johnsona w odświeżonych uśmiechach i takichże

krawatach uwijali się za ladą ze zdumiewającą żywością. Chcieli nas natychmiast prowadzić na górę, ale wyznając zasadę „najpierw interes, potem przyjemność”, zostałyśmy na dole, żeby kupić herbatę. I wtedy panna Matty okazała wielkie roztargnienie. Jeśli zdarzało się kiedykolwiek, że świadomie napiła się zielonej herbaty, uważała za swój obowiązek przeleżeć bezsennie pół nocy (zauważyłam, że niejednokrotnie piła tę herbatę nie wiedząc o tym i wówczas nie występowały takie skutki) i w rezultacie zielona herbata była zakazana w domu. Teraz jednak sama poprosiła o ten niemiły jej artykuł, pozostając pod wrażeniem, że mówi o jedwabiu. Pomyłka ta wszakże została rychło sprostowana i wtedy rozpostarto przed nami jedwabie. Sklep już się prawie zapełnił, był to bowiem w Cranford dzień targowy, i wielu gospodarzy i wieśniaków z okolicy wchodziło, przyglądając włosy, gdyż pragnęli przekazać żonie czy dziewczętom we wsi ten niezwykle radosny obraz, a zarazem czuli się tak bardzo nie na miejscu wśród eleganckich subiektów, jasnych szali i wzorzystych kretonów. Wszakże jeden wieśniak o szczerej twarzy zbliżył się do lady, przy której stałyśmy, i śmiało poprosił o pokazanie mu paru szali. Inni wieśniacy nie wychodzili poza dział kolonialny, ale jemu zbyt zależało na zrobieniu przyjemności swojej lubej albo żonie czy może córce, aby miał pozostać nieśmiałym. Wkrótce zaczęłam się zastanawiać, kto na dłużej zatrudni subiekta: on czy panna Matty. Jemu każdy następny szal wydawał się piękniejszy niż poprzedni, panna Matty uśmiechem i westchnieniem witała każdą nową belę jedwabiu, zwłaszcza że jeden kolor przydawał blasku drugiemu, a przy całym tym stosie jedwabi, jak powiedziała, zbladłaby nawet tęcza.

— Nie wiem, co zrobić — wyznała z wahaniem. — Obojętne, który wybiorę, zawsze żałować będę, że nie wzięłam innego. Spójrz na ten karminowy! Jaki piękny! Byłby ciepły na zimę. Ale przecież nadchodzi wiosna. Żałuję, że nie mogę mieć sukni na każdą porę roku — stwierdziła cichszym głosem, bo tak mówiłyśmy wszystkie w Cranford, wspominając o czymś, co chciałybyśmy mieć, ale na co nie mogłyśmy sobie pozwolić. — Jednakowoż — dodała głośniejsz,

pogodniejszym nieco tonem — gdybym miała tyle sukien, dbanie o nie sprawiałoby mi wiele kłopotu, myślę zatem, że wezmę materiał tylko na jedną. Ale który mam wziąć, moja droga?

I pochylała się nad liliowym w żółte cętki, a ja wyciągałam spokojny materiał, zielony jak listki szaławii, który bladł i nikł w sąsiedztwie jaskrawych, ale był mimo to, na swój skromny sposób, dobrym jedwabiem. W tej chwili stojący koło nas wieśniak zwrócił na siebie naszą uwagę. Wybrał szal wartości trzydziestu szylingów i promieniał szczęściem, pewno w przewidywaniu niespodziewanej radości, jaką sprawi swojej Molly czy Jenny. Wyciągnął z kieszeni spodni skórzaną sakiewkę i zapłacił pięciofuntowym banknotem za szal i za jakieś paczki, przyniesione mu z działu kolonialnego. Właśnie w tym momencie zwróciłyśmy na niego uwagę. Subiekt podejrzliwie przyglądał się banknotowi.

— „Town and County Bank”! Nie jestem pewien, proszę pana, ale zdaje mi się, że nie dalej jak dziś rano ostrzeżono nas przed przyjmowaniem banknotów wystawionych przez ten właśnie bank. Zapytam pana Johnsona, proszę pana, ale obawiam się, że będę zmuszony prosić pana o zapłacenie gotówką lub skryptami innego banku.

Nigdy nie widziałam, by czyjaś twarz tak nagle przybrała wyraz przerażenia i zmieszania. Aż żal chwycił za serce na widok tej nagłej zmiany.

— Do licha! — powiedział, uderzając pięścią w ladę, jak gdyby dla wypróbowania, co twardsze — ten człowiek gada tak, jakby banknoty i złoto zjawiały się na zawołanie.

Panna Matty, współczując mu, zapomniała o swej nowej sukni. Zdawało mi się, że nie dosłyszała nazwy banku, a ja w zdenerwowaniu i lęku pragnęłam, by się tego nie dowiedziała. Zaczęłam więc wyrażać podziw dla liliowego w żółte cętki jedwabiu, który przed chwilą ganiłam. Ale nie zdało się to na nic.

— Co to za bank? Jaki bank wydał ten banknot?

— „Town and County Bank”.

— Proszę mi pokazać — zwróciła się spokojnie do nadchodzącego subiekta,

delikatnie wyjęła papierek z jego ręki, gdy miał go zwrócić wieśniakowi.

Okazało się, że pan Johnson z przykrością potwierdza jego słowa, zgodnie bowiem z otrzymanymi rano informacjami, banknoty wydane przez ten bank posiadały tylko wartość papieru.

— Nie rozumiem — szepnęła do mnie panna Matty. — To przecież nasz bank, prawda? „Town and County Bank”?

— Tak — odrzekłam. — Myślę, że ten liliowy jedwab będzie doskonale pasował do pani nowego czepeczka — ciągnęłam, podnosząc materiał ku światłu i pragnąc, żeby wieśniak pospieszył się z wyjściem. Jednocześnie zastanawiałam się nad pytaniem, które się we mnie w tej chwili zbudziło, czy byłoby słuszne i rozsądne z mej strony pozwolić pannie Matty na dokonanie tak kosztownego zakupu, jeśli interesy banku stoją rzeczywiście źle, na co zdaje się wskazywać odrzucenie banknotu.

Ale jej zachowanie stało się nagle nieco wyniosłe, w sposób tak typowy dla niej, choć nieczęsto oglądany, a zarazem tak bardzo licujący z jej charakterem; delikatnie dotykając mojej dłoni powiedziała:

— Zapomnijmy na chwilę o jedwabiach, moja droga — i zwróciła się do subiekta, który obsługiwał wieśniaka: — Nie rozumiem pana. Czy to fałszywy banknot?

— O nie, proszę pani. Jest autentyczny, tylko, proszę pani, to jest banknot wystawiony przez bank akcyjny, o którym krążą plotki, że ma ogłosić niewypłacalność. Pan Johnson robi tylko to, proszę pani, co do niego należy, a pan Dobson, jestem pewien, to rozumie.

Ale pan Dobson nie był w stanie odpowiedzieć uśmiechem na jego przepraszający ukłon. W zamyśleniu obracał banknot w palcach i bardzo posepnie spoglądał na paczkę, zawierającą dopiero co wybrany szal.

— Ciężki to cios dla biedaka — rzekł — który każde go pensa zdobywa w pocie czoła. No, ale nie ma rady. Musi pan zabrać z powrotem szal, a Lizzie na razie poprzestanie na swoim dawnym okryciu. A te figi dla dzieciaków...

obiecałem im... więc je wezmę, ale tytoń i inne rzeczy...

— Dam panu pięć złotych suwerenów za pański banknot, mój dobry człowieku — wtrąciła się panna Matty. — W tym wszystkim tkwi jakaś wielka pomyłka, bo ja należę do akcjonariuszy tego banku i jestem pewna, że zawiadomiono by mnie, gdyby sprawy przybrały zły obrót.

Subiekt szepnął coś do niej przez ladę. Patrzyła na niego powątpiewająco.

— Być może — rzekła — ja wcale nie udaję, że znam się na interesach. Myślę tylko, że jeżeli ma nastąpić bankructwo i uczciwi ludzie mają tracić pieniądze, ponieważ zakupili nasze akcje... nie potrafię tego wyjaśnić — rzekła, zdając sobie nagle sprawę, że zabrnęła w bardzo długie zdanie i ma przed sobą czworo słuchaczy — tylko chciałabym, proszę pana, wymienić moje złoto na pański banknot — oświadczyła zwracając się do wieśniaka — i wtedy będzie pan mógł zawieźć żonie szal. Będę się musiała obejść bez mojej sukni jeszcze przez parę dni — mówiła do mnie — a potem z pewnością wszystko się wyjaśni.

— A jeśli wyjaśnienie będzie niepomyślne?

— No cóż, w takim razie uważać będę, że postąpiłam uczciwie jako akcjonariusz, dając temu człowiekowi pieniądze. Ja sama jestem tego zupełnie pewna, ale, wicie państwo, nie umiem tłumaczyć się tak jasno, jak potrafią inni, więc proszę, panie Dobson, niech mi pan da banknot i zapłaci za swoje zakupy tymi suwerenami.

Mężczyzna spojrział na nią w milczeniu, z wdzięcznością, której nie umiał wyrazić słowami, ale ociągał się przez chwilę, mnąc w palcach banknot.

— Nie chciałbym, żeby kto inny tracił zamiast mnie, jeśli trzeba będzie tracić. Ale rozumiem państwo, że pięć funtów to jest kupa pieniędzy dla człowieka obciążanego rodziną, a jak pani powiada, dziesięć do jednego, że za parę dni ten banknot będzie miał znów wartość złota.

— Nie ma na to nadziei, przyjacielu — zaprzeczył ekspedient.

— Tym słuszniejsze więc, żebym wzięła ten banknot — oświadczyła panna Matty ze spokojem. Pchnęła pieniądź ku wieśniakowi, który powoli położył w za-

mian swój banknot. — Dziękuję. Przeczekam parę dni, zanim kupię któryś z tych jedwabi, może będziecie mieli większy wybór. Moja droga, czy pójdziemy na górę?

Oglądałyśmy modele tak szczegółowo i z tak żywym zainteresowaniem, jak gdyby materiał, z którego miałyśmy uszyć suknię, został zakupiony. Nie spostrzegłam, żeby drobny incydent w sklepie w najmniejszym choćby stopniu przyćmił ciekawość panny Matty co do kroju rękawów czy spódnicy. Parokrotnie gratulowałyśmy sobie, że możemy tak spokojnie i nie obserwowane przez nikogo dokonywać przeglądu kapeluszy i szalów, choć ja przez cały ten czas podejrzewałam, że jednak nie jesteśmy tak zupełnie same, bo dostrzegłam parę razy zarys czyjejs postaci krążącej za pelerynami, a zwróciwszy się na prawo spotkałam się oko w oko z panną Pole, także w porannym stroju (najważniejszym rysem tego stroju był... brak sztucznej szczęki i woalka, mająca ukryć ten brak), która przyszła tutaj w tym samym co my celu. Ale ona szybko się pożegnała, ponieważ, jak oświadczyła, bolała ją głowa i nie czuła się na siłach do prowadzenia rozmowy.

Kiedy wychodziłyśmy przez sklep na dole czekał na nas uprzejmy pan Johnson. Poinformowano go o wymianie banknotu na złotą monetę i z prawdziwą dobrocią i współczuciem, ale z brakiem taktu, chciał wyrazić pannie Matty kondolencje i przedstawić jej prawdziwy stan rzeczy. Mogłabym tylko żywić nadzieję, że plotki, które do niego doszły, były przesadzone, oświadczył bowiem, że jej akcje nie mają najmniejszej wartości i że bank nie jest w stanie zapłacić nawet szylinga za funta. Z zadowoleniem spostrzegłam, że panna Matty zdawała mu się trochę nie dowierzać, ale nie wiedziałam, ile w tym było prawdy, a ile pozy, bo nawyk panowania nad sobą stał się drugą naturą pań kranfordzkich i każda z nich uznałaby za uchybienie własnej godności najlżejszy bodaj przejaw zdziwienia, przestachu czy innych uczuć okazanych wobec niższych od siebie albo w tak publicznym miejscu jak sklep. Jednakże wracałyśmy do domu pogrążone w milczeniu. Przyznaję ze wstydem, że byłam zła na pannę Matty za

jej upór. Bardzo pragnęłam, żeby miała nową suknię, bo jej naprawdę potrzebowała. Na ogół cechował ją brak zdecydowania i łatwo można było jej coś odradzić, a choć w tym wypadku czułam, że na nic się to nie zda, przygnębiły mnie skutki jej stanowczości.

W każdym razie po dwunastej obie stwierdziłyśmy, że nasza ciekawość została już zaspokojona, a jesteśmy nieco zmęczone (było to, w gruncie rzeczy, przygnębienie) i nie mamy ochoty na ponowne wyjście. Nadal nie wspominałyśmy o banknocie, aż w pewnej chwili nie mogłam się powstrzymać od zapytania panny Matty, czy uzna za swój obowiązek wymienianie wszystkich banknotów „Town and County Bank”, z którymi się zetknie, na złote monety. W momencie gdy to powiedziałam, miałam ochotę odgryźć sobie język. Spojrzała na mnie smutno, jak gdybym pomnażała niepokój w jej i tak już skołatanej głowie, i przez dłuższą chwilę nie odzywała się wcale. A potem powiedziała... moja kochana panna Matty, powiedziała bez cienia wyrzutu w głosie:

— Moja droga, nigdy nie uważałam, by mój umysł był, jak to się mówi, bystry, i często jest dla mnie ciężkim zadaniem rozstrzygnięcie nawet takiej sprawy, którą mam przed sobą. Bardzo się cieszę... bardzo się cieszę, że dziś rano wiedziałam, co jest moim obowiązkiem w stosunku do człowieka, stojącego obok mnie. Ale trudno mi przewidywać, co zrobiłabym, gdyby coś się zdarzyło, i myślę, że powinnam raczej czekać i zobaczyć, co będzie rzeczywiście, bo wtedy łatwiej sobie poradzę, jeśli przedtem nie będę się zbytecznie szarpać. Wiesz przecież, moja kochana, że nie jestem taka jak Debora. Niewątpliwie, gdyby ona żyła, pomyślałaby o nich, nimby się znaleźli w takich opałach.

Żadna z nas nie miała wielkiego apetytu podczas obiadu, chociaż starałyśmy się rozmawiać pogodnie o obojętnych rzeczach. Kiedy wróciłyśmy do salonu, panna Matty otworzyła kluczykiem biurko i zaczęła przeglądać książkę rachunkową. Byłam tak pełna skruchy za to, co powiedziałam rano, że nawet nie ośmieliłam się zaproponować, że jej pomogę; samotnie więc, z zadumą na czole biegła wzrokiem za ruchami pióra, posuwającego się w górę i w dół poliniowanej

strony. Potem zamknęła książkę, przekręciła kluczyk w biurku, wstała i przysunęła swoje krzesło do kominka, przy którym siedziałam w smutku. Wsunęłam w jej rękę moją, ujęła ją, ale nie przemówiła ani słowa. Wreszcie odezwała się z wymuszonym spokojem w głosie:

— Jeśli bank ogłosi niewypłacalność stracę rocznie sto czterdzieści dziewięć funtów trzynaście szylingów i cztery pensy. Pozostanie mi tylko trzynaście funtów na rok.

Ścisnęłam mocno jej rękę. Nie wiedziałam, co mówić. Wkrótce poczułam (było za ciemno, bym mogła widzieć jej twarz), że jej palce poruszają się niespokojnie i domyśliłam się, że chce znów coś powiedzieć; gdy odezwała się słyszałam w jej głosie tłumione łkanie:

— Mam nadzieję, że nie ma w tej myśli nic złego... nic podłego... ale cieszę się, że biednej Deborze zostało to zaoszczędzone. Ona nie przeżyłaby takiego poniżenia... była tak niepospolita i wzniosła.

Tyle tylko powiedziała o siostrze, która upierała się, by umieścić ich skromne zasoby w tym nieszczęsnym banku. Tego wieczoru zapóźniłyśmy się z zapaleniem świecy, i póki jej blask nie uprzytomnił nam, że należy coś mówić, siedziałyśmy razem w smutku i milczeniu.

Jednakże po herbacie zasiadłyśmy do pracy z pogodą nieco wymuszoną (później przerodziła się w szczerą i naturalną) rozmawiając o sprawie, która nie przestawała nas zdumiewać, o zaręczynach lady Glenmire. Panna Matty zaczęła już dochodzić do wniosku, że zaręczyny te są dobrą rzeczą.

— Nie zamierzam przeczyć, że mężczyźni sprawiają kłopot w domu, choć sądzę tak nie na podstawie własnych doświadczeń, bo mój ojciec był uosobieniem schludności i wchodząc do domu wycierał buty równie starannie jak kobieta. Jednak mężczyzna posiada orientację, co należy czynić w trudnych sytuacjach, i bardzo jest przyjemnie mieć przy sobie kogoś takiego, na kim można się oprzeć. Lady Glenmire, zamiast być przerzucana z miejsca na miejsce i niepewna, gdzie osiąść na stałe, będzie wiedziała, że ma dom wśród miłych i dobrych ludzi, takich

jak nasza zacna panna Pole i pani Forrester. A pan Hoggins jest doprawdy przystojnym mężczyzną, co się zaś tyczy jego manier, to wprawdzie nie są wytworne, ale znałam ludzi o dobrych sercach i mądrych głowach, którzy nie posiadali tego, co nazywa się ogładą, ale byli ludźmi prawymi i delikatnymi.

Popadła w cichą zadumę, której przedmiotem był pan Holbrook, a ja jej nie przerywałam, obmyślając gorliwie plan, który snuł mi się w głowie od kilku dni, a stał się koniecznością wobec groźby katastrofy finansowej. Wieczorem, kiedy panna Matty położyła się do łóżka, ukradkiem zapaliłam ponownie świecę i usiadłam w saloniku, aby skomponować list do agi Jenkynsa, taki list, który by go wzruszył, jeżeli istotnie jest jej bratem, ale wydał się tylko suchym przedstawieniem faktów, jeśli jest kimś obcym. Kościelny zegar wydzwonił drugą, nim skończyłam.

Następnego dnia przyszła wiadomość, ze źródeł oficjalnych i prywatnych, że „Town and County Bank” wstrzymał wypłaty. Panna Matylda była zrujnowana.

Starła się rozmawiać ze mną spokojnie, ale kiedy uprzytomniła sobie fakt, że będzie miała na życie zaledwie koło pięciu szylingów tygodniowo, nie mogła powstrzymać łez.

— Nie płaczę ze względu na siebie, moja droga — mówiła wycierając oczy. — Płaczę na myśl, jak martwiłaby się moja biedna matka, gdyby o tym wiedziała. Ona zawsze dbała o nas więcej niż o samą siebie. Ale wielu ubogich ma jeszcze mniej, a ja nie jestem bardzo rozrzutna, i, dzięki Bogu, po zapłaceniu za ten kawałek baraniny, pensji Marty i komornego, nie będę nikomu winna ani pensa. Biedna Marta! Myślę, że przykro jej będzie odejść ode mnie.

Panna Matty uśmiechnęła się do mnie i z pewnością chciała, żebym dostrzegła tylko jej uśmiech, nie łzy.

ROZDZIAŁ XIV

Przyjaciele w potrzebie

Był to dla mnie dobry przykład — a wyobrażam sobie, że mógłby nim być także dla innych — gdy zobaczyłam, jak bezzwłocznie zabrała się panna Matty do wprowadzania oszczędności, które uznała za słuszne w zmienionych warunkach. Gdy zeszła na dół, by porozmawiać z Martą i zawiadomić ją o tym, co się stało, wymknęłam się z domu z listem do agi Jenkynsa i udałam się do mieszkania Signory, żeby wziąć od niej dokładny adres. Zobowiązałam ją do tajemnicy, a że jej żołnierskie maniere cechowała powściągliwość i rezerwa, zawsze mówiła jak najmniej, chyba że była silnie czymś poruszona. Co więcej (dzięki czemu moja tajemnica stawała się podwójnie pewna), Signor czuł się już o tyle lepiej, że spodziewał się za parę dni opuścić Cranford wraz z żoną i małą Febe i znowu podróżować i dawać przedstawienia. Zastałam go przyglądającego się ogromnemu, czarno-czerwonemu plakatowi zachwalającemu sztukę Signora Brunoni. Brakowało na nim tylko nazwy miasteczka, gdzie nasz iluzjonista miał wkrótce wystąpić. Oboje z żoną byli tak przejęci rozstrzygnięciem, w którym miejscu postawić czerwone litery, żeby wypadły najefektowniej (miały to być drukowane czerwone litery), że upłynęło nieco czasu, nim mogłam zadać Signorze moje pytanie. Musiałam wpierw kilkakrotnie wypowiedzieć swoją opinię, a zaraz zaczynałam powątpiewać, czy mam słuszność, skoro tylko Signor wyjawiał swoje zastrzeżenia. W końcu dostałam adres, ale Signora znała go tylko ze słyszenia i na piśmie wyglądał bardzo dziwnie. Wracając do domu wrzuciłam list na pocztę i potem przez chwilę wpatrywałam się w drewnianą płytkę z rozwartą szparą, oddzielającą mnie od listu, który przez chwilę trzymałam w ręku. Odszedł ode mnie, jak odchodzi życie, nie dające się na powrót przywołać. Będzie się kołysać na falach, zwilży go pewnie morska woda, powędruje wśród palm, nasiąknie aromatem tropików — ten mój mały świstek papieru, przed

godziną tak bliski i zwyczajny, rozpoczął podróż do dziwnych, obcych ziem za Gangesem. Ale nie mogłam tracić czasu na takie rozmyślenia. Pospieszyłam do domu, aby panna Matty nie odczuła mej nieobecności. Drzwi otworzyła mi Marta, z twarzą napuchniętą od płaczu. Na mój widok rozszlochała się na nowo, chwyciła mnie za ramię, wciągnęła do środka, zatrzasnęła drzwi, aby zapytać, czy rzeczywiście prawdą jest to wszystko, co mówiła panna Matty.

— Nigdy jej nie opuszczę! Nigdy! Już jej to powiedziałam i dodałam jeszcze, że nie mieści mi się w głowie, jak mogła mieć serce mi wypowiedzieć! Ja na jej miejscu wstydziałabym się to zrobić. Ja nie jestem takie nic dobrego jak Rosy od pani Fitz-Adam, co to siedem i pół roku siedziała w jednym miejscu, a potem zachciało jej się lepszej pensji. Ja powiedziałam, że nie jestem z tych, co chcą służyć mamonie i nic innego ich nie obchodzi, powiedziałam, że umiem docenić, jaką mam dobrą panią, choć ona może wcale nie wie, że dostała jej się dobra dziewczyna.

— Ależ Marto... — wtrąciłam, kiedy wycierała oczy.

— Proszę tak nie mówić — zaproponowała słysząc naganę w moich słowach.

— Posłuchaj głosu rozsądku...

— Nie będę słuchać żadnego rozsądku — odpowiedziała odzyskawszy władzę nad głosem, poprzednio dławionym przez łkanie. — Głos rozsądku to zawsze jest tylko to, co ktoś inny ma do powiedzenia. A ja uważam, że właśnie to, co ja mam do powiedzenia jest rozsądne, a zresztą, czy jest, czy nie jest, powiem to i będę przy swoim obstawać. Mam pieniądze w Kasie Oszczędności i spory zapas sukien i ani mi się śniopuszczać pannę Matty. Nie, nawet gdyby mi wypowiadała co godzina.

Wzięła się pod boki, chcąc okazać, że występuje przeciw mnie, a ja doprawdy nie potrafiłam uczynić jej wymówek, bo zdawałam sobie sprawę, jak bardzo panna Matty, coraz więcej tracąca siły, potrzebuje opieki tej dobrej i godnej zaufania dziewczyny.

— Dobrze... — zaczęłam w końcu.

— Cieszę się, że pani zaczyna od „dobrze”; gdyby pani zaczęła od „ale”, tak jak przedtem, wcale bym tego nie słuchała. Teraz może pani mówić.

— Wiem, że panna Matty bardzo by odczuła, gdyby cię utraciła.

— Powiedziałam jej to. Tej straty nigdy by nie przestała żałować — przerwała mi Marta z triumfem.

— Jednakże będzie miała tak mało... tak bardzo mało... na życie, że nie wiem, jak znajdzie pieniądze na jedzenie dla ciebie... jej ledwo starczy na własne utrzymanie. Mówię ci to, Marto, bo czuję, że jesteś dla naszej drogiej panny Matty niczym przyjaciółka, ale rozumiesz chyba, że ona pewnie by nie chciała, żeby się o tym mówiło.

Widocznie przedstawiłam tę sprawę w jeszcze gorszym świetle, niż uczyniła to panna Matty, bo Marta usiadła na pierwszym z brzegu krześle i rozszlochała się w głos (wciąż jeszcze stałyśmy w kuchni). W końcu odjęła fartuch od oczu i patrząc mi poważnie w twarz spytała:

— To dlatego panna Matty nie chciała zadysponować na dziś puddingu? Powiedziała, że nie ma apetytu na słodkie rzeczy i że dziś panie zjedzą tylko kotlet barani. Ale ja poznałam się na tym. Proszę nic nie mówić, ale zrobię dla niej pudding i będzie jej smakował i sama za niego zapłacę, niech więc pani dopilnuje, żeby go zjadła. Wielu już ludzi pocieszył w smutku widok czegoś dobrego na stole.

Rada byłam, że Marta skierowała swą energię ku sprawie praktycznej i aktualnej: robieniu puddingu, bo odsuwało to na plan dalszy spór o to, czy powinna odejść od panny Matty. Nałożyła świeży fartuszek i przygotowywała się do wyjścia do sklepu po masło, jajka i co było jej potrzebne. Nie chciała brać ani odrobiny produktów spożywczych z domu, ale podszedłszy do starego czajniczka na herbatę, w którym przechowywała swoje pieniądze, wyjęła, ile jej było potrzeba.

Zastałam pannę Matty spokojną i bardzo smutną, lecz po chwili zmusiła się do uśmiechu. Ustaliliśmy, że napiszę do ojca i poproszę, żeby przyjechał na naradę.

Zaraz po wysłaniu tego listu zaczęłyśmy omawiać plany na przyszłość. Panna Matty projektowała, że wynajmie pojedynczy pokój, zatrzyma tylko niezbędne meble, resztę sprzeda i będzie skromnie żyć z tego, co pozostanie po zapłaceniu komornego. Co do mnie, byłam bardziej ambitna i pragnęłam dla niej czegoś więcej. Rozmyślałam o różnych sposobach, dzięki którym kobieta w wieku powyżej średniego, wychowana tak jak większość kobiet przed pięćdziesięciu laty, mogłaby zarobić na życie lub powiększyć posiadane zasoby, pozostając dalej w swej sferze, ale w końcu nawet i ten wzgląd pominęłam i zastanawiałam się, co w ogóle panna Matty mogłaby robić. Oczywiście nauczanie nasunęło się pierwsze. Gdyby panna Matty potrafiła nauczać dzieci czegokolwiek znalazłaby się w świecie malców, którzy dawali jej tyle radości. Przebiegłam myślą jej umiejętności. Kiedyś słyszałam, jak mówiła, że potrafi zagrać na pianinie „ah vous dirai-je, maman”, ale to było dawno temu i ten cień muzycznych umiejętności wyblakł już przed laty. Umiała także bardzo dokładnie kopiować wzory na haft na muślinie, kładąc przezroczystą bibułkę na wzorze i umieszczając je razem na szybie okiennej, aby móc zaznaczyć ząbki i dziurki. Ale to było jej największe osiągnięcie w sztuce rysowniczej i nie przypuszczam, żeby umiała coś więcej. Rozpatrywałam następne podstawy solidnej angielskiej edukacji — robótki kobiece i umiejętność posługiwania się globusem — czego podejmowała się nauczać przełożona Pensji dla Młodych Dam, do której posyłali swe córki wszyscy kupcy z Cranford. Wzrok już nie dopisywał pannie Matty i wątpię, czy potrafiłaby liczyć nitki kanwy, na której haftowało się wzorki, albo dobierać właściwe odcienie włóczki przy wykonywaniu haftowanego portretu królowej Adelajdy, jak nakazywała kranfordzka moda. Co zaś do znajomości mapy, sama nigdy nie umiem nic na niej znaleźć, więc chyba nie moją jest rzeczą wydawać sąd, czy panna Matty mogłaby nauczać tej gałęzi wiedzy, ale uderzyło mnie, że równiki i zwrotniki i podobne im tajemnicze kręgi są dla niej czymś zupełnie fantastycznym i że traktuje Znaki Zodiaku jako pozostałości Czarnej Magii.

Jeśli o jej zdanie chodzi, to szczyciła się, że sztuką, w której celuje, jest

sporządzanie z kolorowego papieru fidybusów do świec, wycinanych tak, że przypominają swym wyglądem pióra, i robienie na drutach podwiązek różnymi bardzo wymyślnymi ściegami. Kiedyś, otrzymawszy w prezencie tak pięknie zrobioną parę podwiązek, oświadczyłam, że pewno weźmie mnie chęćka zgubienia jednej z nich na ulicy, aby wzbudziła podziw, ale spostrzegłam, że ten żart (błahy żarcik, doprawdy!) stanowił taką obrazę jej poczucia przyzwoitości, taki w niej wzbudził niepokój, czy pewnego dnia pokusa ta nie okaże się ponad moje siły, iż pożałowałam, że ośmieliłam się to powiedzieć. Prezent z pary tych wytwornie wykonanych podwiązek, kilka kolorowych fidybusów albo kartoniki z misternie nawiniętymi jedwabiami do szycia — to były dobrze znane dowody sympatii panny Matty. Ale czy kto zechciałby płacić za to, aby jego dzieci uczono tej sztuki? I czy panna Matty zechciałaby za brudne pieniądze sprzedać tajemnicę swych umiejętności, pozwalających jej tworzyć urocze drobiazgi dla tych, których lubiła?

Musiałam zatem przejść do czytania, pisania i rachunków. Czytając po jednym rozdziale każdego ranka zawsze chrząkała, nim dała sobie radę z dłuższym słowem, a myślę, że choćby nie wiem jak chrząkała, nie przeczytałaby rozdziału z genealogią. Pismo miała ładne i wyraźne — ale jej ortografia! Pewno uważała, że w im bardziej niezwykły sposób napisze jakieś słowo, im więcej trudu sobie zada, tym uprzejmiejszą się okaże dla adresata listu. Słowa, napisane zupełnie poprawnie w listach do mnie, stawały się kompletnymi zagadkami, gdy pisała je do mego ojca.

Nie! Nie mogła niczego nauczyć młodej generacji Cranford, chyba że chcieliby nauczyć się od niej i naśladować jej cierpliwość i pokorę, jej słodycz i spokojną rezygnację z tego wszystkiego, czego nie była w stanie robić! Myślałam nad tym tak długo, aż przyszła Marta z twarzą napuchniętą od łez i poprosiła nas na obiad.

Panna Matty miała kilka osobliwych upodobań, które Marta skłonna była traktować jako kaprysy, niegodne jej uwagi, uważając je pewnie za dziecinne

zachcianki, z których starsza pani, licząca pięćdziesiąt osiem lat, powinna starać się wyleczyć. Ale tego dnia zastosowała się jak najściślej do życzeń panny Matty. Kromki chleba odpowiadały jej ideałowi kromek chleba — to znaczy były takie, jakie lubiła jej matka; zasłonę zaciągnęła Marta tak, że zakrywała ślepa ścianę ceglanej stajni sąsiada, a jednocześnie ukazywała wszystkie młodziutkie listki topoli, rozkwitające wiosenną pięknnością. Marta przemawiała do panny Matty tonem, jaki ta dobra, ale szorstka w mowie służąca rezerwowała dla dzieci; nigdy nie słyszałam, aby tak łagodnie zwracała się do osoby dorosłej. Zapomniałam uprzedzić pannę Matty o puddingu i lękałam się, że może nie odda mu sprawiedliwości z powodu braku apetytu, więc kiedy Marta wyszła z półmiskiem, zdradziłam jej pani tę tajemnicę. Oczy panny Matty napelniły się łzami i nie była w stanie dobyć głosu, by wyrazić radość czy zdziwienie, gdy Marta dumnie wniosła pudding zrobiony na podobieństwo lwa couchant — najbardziej udane podobieństwo, jakie kiedykolwiek zdołano odlać. Twarz dziewczyny promieniała triumfem i postawiła pudding przed panną Matty z radosnym: „Oto jest”. Panna Matty chciała jej podziękować, ale nie zdołała nic powiedzieć, ujęła więc rękę Marty i potrząsnęła nią gorąco, na co Marta znów zalała się łzami, a i ja ledwo zdołałam zachować konieczny spokój. Dziewczyna wypadła z pokoju, a panna Matty musiała parę razy chrząknąć, nim przemówiła. W końcu rzekła: — Chciałabym móc zachować ten pudding pod szkłem, moja droga — a myśl o tym, że ten lew couchant z rodzynekami zamiast oczu ustawiony zostanie na honorowym miejscu na półeczce nad kominkiem, tak poruszyła moją fantazję, że wybuchnęłam śmiechem, co mocno zdziwiło pannę Matty.

— Zapewniam cię, moja droga, że widywałam już brzydsze rzeczy pod szklanym kloszem — rzekła.

I ja także, niejednokrotnie; przybrałam zatem spokojny wyraz twarzy (choć naszła mnie w tej chwili chęć do płaczu) i rzuciłyśmy się na pudding, doprawdy wspaniały — ale trudno było jeść, bo wzruszenie dławilo nas w gardle.

Miałyśmy zbyt wiele do myślenia, by dużo rozmawiać tego popołudnia, więc

minęło ono bardzo spokojnie. Ale pojawienie się czajnika do herbaty natchnęło mnie nową myślą. Dlaczego by panna Matty nie miała sprzedawać herbaty — być agentem Wschodnio-Indyjskiego Towarzystwa Handlu Herbatą, które podówczas istniało. Nic nie przemawiało przeciw temu, podczas gdy korzyści było wiele — oczywiście założywszy, że panna Matty przejdzie do porządku dziennego nad poniżeniem, jakim jest zajmowanie się czymś takim jak handel. Herbata nie jest ani tłusta, ani lepka — a tych dwóch rzeczy panna Matty nie cierpiała. Nie potrzeba do tego dużej wystawy sklepowej. Co prawda, niezbędna byłaby niewielka elegancka wywieszka, że panna Matty posiada licencję na sprzedaż herbaty, ale miałam nadzieję, że da się ją tak umieścić, żeby nikt jej nie widział. Herbata nie jest towarem ciężkim, takim, który by wyczerpywał wąż siły panny Matty. Jedna tylko okoliczność przemawiała przeciwko mojemu planowi, mianowicie to, że dotyczył on kupowania i sprzedawania.

Kiedy odpowiadałam z roztargnieniem na pytania, które panna Matty zadawała z roztargnieniem niemal równym mojemu — usłyszałyśmy jakieś ciężkie kroki na schodach i szepty pod drzwiami, które nawet raz się otwarły i zamknęły, jak gdyby poruszone niewidzialną ręką. Po krótkiej chwili weszła Marta, ciągnąc za sobą wysokiego i potężnego młodziana, purpurowego z konfuzji. Bez przerwy gładził czuprynę, jak gdyby to jedynie przynosiło mu pewną ulgę.

— Proszę pani, to tylko Jem Hearn — rzekła Marta, przedstawiając go, a tak jej brakło tchu, iż pomyślałam, że pewnie musiała z nim stoczyć walkę wręcz, nim przemogła jego niechęć do wystąpienia na tej dworskiej scenie — w salonie panny Matty.

— I, proszę pani, on chce mnie poślubić od razu. I proszę pani, my chcemy wziąć lokatora, jednego spokojnego lokatora, żeby jakoś związać koniec z końcem, i wynajmiemy jakikolwiek odpowiedni dom i droga panno Matty, jeżeli wolno mi być tak śmiałą, czy nie zechciałaby pani zamieszkać z nami? Jem pragnie tego tak samo jak ja — tu zwróciła się do Jema: — Ty ośle! Czemu nic nie

gadasz?... On pragnie tego tak samo jak ja, bardzo pragnie, nieprawdaż, Jemie? Tylko że jest zawsze onieśmielony, jak ma mówić z lepszymi od siebie.

— Nie o to chodzi — wtrącił Jem. — Tylko żeś mnie zaskoczyła całkiem niespodzianie i nie miałem zamiaru tak prędko się żenić, a taki pośpiech po prostu odbiera człowiekowi mowę. Nie, żebym był przeciw temu, proszę pani (to do panny Matty), tylko że Marta jest taka prędką, kiedy już raz wbije sobie coś do głowy, a małżeństwo, proszę pani... małżeństwo przygważdża człowieka, można by powiedzieć. Ale myślę, że nie będzie mi wadzić, kiedy już będzie po wszystkim.

— Proszę pani — rzekła Marta, która przez cały czas, gdy on mówił, ciągnęła go za rękaw, szturchała łokciem i wszelkimi sposobami starała się mu przerwać — niech pani na niego nie zwraca uwagi, on się uspokoi. Dopiero wczoraj wieczór tak na mnie nalegał, tak na mnie nalegał, i to tym więcej, że powiedziałam, że jeszcze przez parę lat nie mogę o tym myśleć, a teraz jest tylko zaskoczony radosną niespodzianką, ale przecie, Jemie, ty tak samo jak ja chcesz mieć lokatora (tu znowu nastąpił kuksaniec).

— Tak! Ale tylko jeżeli panna Matty zamieszka z nami, bo inaczej to nie mam ochoty, żeby mnie krępowali obcy ludzie we własnym domu — powiedział Jem z brakiem taktu, co, jak spostrzegłam, rozzłościło Martę, bo ona chciała przedstawić to tak, jakby lokator stanowił przedmiot ich marzeń, a zgoda panny Matty naprawdę miała być dla nich łaską i pomocą.

Pannę Matty zdumiewała ta para, a ich, czy raczej Marty, nagłe postanowienie zawarcia małżeństwa oszołomiło ją, przeszkadzając w rozważeniu planu, który tak leżał na sercu dziewczynie. Zaczęła:

— Małżeństwo to bardzo poważna sprawa, Marto.

— Doprawdy poważna — potwierdził Jem. — Nie, żebym miał coś przeciw Marcie.

— Nigdy nie dałeś mi chwili wytchnienia, tylko ciągle prosiłeś, żebym powiedziała, kiedy się pobierzemy! — wykrzyknęła Marta, cała w ogniu i

udręczona tak, iż widać było, że lada chwila wybuchnie płaczem. — A teraz mnie tak zawstydzasz przed moją panią.

— No, no, Marto, uspokój się, uspokój, tylko że człowiek musi mieć chwilę czasu — przekładał Jem, usiłując na próżno chwycić jej rękę. Widząc, że jest dotknięta bardziej, niż przypuszczał, usiłował się opanować i zwrócił się do panny Matty z taką godnością, o jaką jeszcze przed dziesięciu minutami nie można było go posądzić.

— Spodziewam się, że pani rozumie, że muszę szanować każdego, kto jest dobry dla Marty. Zawsze uważałem, że będzie ona moją żoną... po jakimś czasie... a ona zawsze powtarzała, że pani jest najlepszą osobą, jaka kiedykolwiek żyła, i chociaż, mówiąc szczerą prawdę, nie chciałbym zawracać sobie głowy lokatorami zwykłego rodzaju, jeżeli pani zechce wyświadczyć nam ten zaszczyt i zamieszkać z nami, jestem pewien, że Marta zrobi, co tylko w jej mocy, żeby pani było wygodnie, a ja postaram się jak najbardziej schodzić pani z drogi, bo cóż lepszego może zrobić taki prosty chłopak jak ja, żeby okazać swoją wdzięczność.

Panna Matty była bardzo zajęta zdejmowaniem okularów, przecieraniem ich i ponownym wkładaniem i zdołała powiedzieć tylko:

— Proszę was, niech nie wygląda na to, że ja was nagłem do małżeństwa! Małżeństwo to bardzo poważna sprawa.

— Ale panna Matylda zastanowi się nad twoją propozycją, Marto — powiedziałam, bo widząc korzystne strony tego projektu nie chciałam tracić sposobności wzięcia go pod rozwagę. — I mogę cię zapewnić, że ani panna Matylda, ani ja nigdy nie zapomnimy twojej dobroci, ani twojej, Jemie.

— No tak, proszę pani! Ja na pewno mam dobre zamiary, ale jestem trochę zbity z tropu, bo mam tak nagle skakać głową w dół wprost w małżeństwo, że tak powiem, i nie umiem wyrazić się odpowiednio. Ale z pewnością mam chęci, dajcie mi tylko czas, żebym przywykł, więc, Marta, dziewczyno, po co płaczesz i kuksasz mnie, gdy się zbliżę?

To ostatnie powiedział sotto voce i miało to taki skutek, że Marta wypadła z

pokoju, a jej chłopak pobiegł za nią, by ją ułagodzić. Zaś panna Matty usiadła i rozplakała się serdecznie. Wyznała mi po chwili, że myśl o szybkim małżeństwie Marty wstrząsnęła nią i że nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby to z jej powodu biedna dziewczyna tak się pospieszyła. Ja współczułam z nich dwojga raczej Jemowi; zarówno jednak panna Matty, jak ja oceniałyśmy w pełni ich dobroć i rzetelność, niemal o tym nie wspominając; rozprawiałyśmy natomiast szeroko o perspektywach, jakie daje małżeństwo i o niebezpieczeństwach, jakie niesie.

Bardzo wcześnie następnego ranka dostałam kartkę od panny Pole, tak tajemniczo pozakładaną i z tyloma pieczęciami chroniącymi jej tajemnicę, że rozdarłam papier nie mogąc go rozwinąć. A kiedy zaczęłam ją czytać zaledwie zdołałam pojąć, o co chodzi, takie wszystko było powikłane i oratorskie. Jednakże zrozumiałam tyle, że mam iść do panny Pole o jedenastej godzinie, która to godzina wypisana była słowem i cyfrą, zaś „przed południem” dwukrotnie podkreślone, tak jakbym mogła przyjść o jedenastej w nocy, gdy całe Cranford już o dziesiątej leżało uśpione. Nie było podpisu, tylko przestawione inicjały, P. E., ale ponieważ Marta wręczyła mi kartkę z uprzejmymi pozdrowieniami od panny Pole, nie potrzebowałam być jasnowidzem, aby odgadnąć, kto ją przysłał, a skoro imię piszącej miało pozostać tajemnicą, dobrze się złożyło, że byłam sama w chwili doręczenia mi listu.

Udałam się do panny Pole, jak prosiła. Drzwi otworzyła mi jej pokojóweczka, Lizzy, w świątecznym fartuszku, jak gdyby tego powszedniego dnia miało się wydarzyć coś niezwykłego. Salon na górze też przedstawiał niecodzienny widok. Stół zasłano najlepszym zielonym sukniem do gry w karty i rozłożono na nim przybory do pisania. Na małej szyfonierce znajdowała się taca z butelką świeżo precedzonego wina wiosennego i trochę herbatników. Panna Pole miała na sobie odświętną suknię, jak na przyjęcie gości, choć była zaledwie jedenasta. Siedziała już u niej pani Forrester, popłakując smutnie, a zdawało się, że moje przybycie wywołało świeże potoki łez. Zanim ukończyłyśmy ceremonię powitania, dokonaną w sposób posepny i tajemniczy, dało się słyszeć nowe

stukanie i zjawiła się pani Fitz-Adam, czerwona ze zmęczenia i przejęcia. Odniosłam wrażenie, że to już całe oczekiwane towarzystwo, bo panna Pole zaczęła dawać do zrozumienia, że przystępuje do otwarcia zebrania, poruszając ogień, otwierając i zamykając drzwi, kaszląc i wycierając nos. Posadziła nas przy stole, pilnując, bym usiadła naprzeciwko niej, a w końcu zapytała mnie, czy smutne pogłoski są rzeczywiście prawdziwe i czy panna Matty istotnie straciła wszystko, co posiadała.

Nie mogłam nie potwierdzić tego i nigdy nie zdarzyło mi się widzieć więcej szczerego smutku niż w owej chwili na twarzach trzech siedzących przede mną pań.

— Żałuję, że nie ma tu pani Jamieson! — powiedziała w końcu pani Forrester, ale sądząc po minie pani Fitz-Adam, nie podzielała ona jej zdania.

— Ale i bez pani Jamieson — podjęła panna Pole z nutką obrażonej godności w głosie — my, panie z Cranford, zebrane w moim salonie, możemy coś postanowić. Wydaje mi się, że żadnej z nas nie można by nazwać bogatą, chociaż wszystkie posiadamy zasoby finansowe wystarczające dla osób, które mają subtelny gust i zawsze, nawet będąc bogate, strzegłyby się wulgarnej ostentacji. (W tym momencie zauważyłam, że panna Pole spojrzała na małą kartkę, trzymaną w ręku, na której, jak sądziłam, miała jakieś notatki.)

— Panno Smith — mówiła dalej, zwracając się do mnie (znanej całemu towarzystwu pod imieniem Mary, ale to przecież była uroczysta okazja) — rozmawiałam prywatnie... uznałam za swój obowiązek przeprowadzenie tych rozmów wczoraj wieczorem... z tymi paniami na temat nieszczęścia, jakie spadło na naszą przyjaciółkę, i zgodziłyśmy się wszystkie, że ponieważ posiadamy nadmiar, jest nie tylko naszym obowiązkiem, ale i przyjemnością... prawdziwą przyjemnością, Mary — w tym momencie głos miała zdławiony i musiała przetrzeć okulary, nim mogła mówić dalej — dać to, co możemy, aby pomóc jej... pannie Matyldzie Jenkyns. Szanując poczucie niezależności, tkwiące w duszy każdej subtelnej kobiety — byłam pewna, że znów spojrzała na kartkę —

pragniemy złożyć nasze wdowie grosze w tajemnicy i ukryciu, aby nie ranić wspomnianych uczuć. Zaprosiłyśmy cię na spotkanie z nami w tym celu, aby, wiedząc, że jesteś córką... że twój ojciec jest de facto jej zaufanym doradcą we wszystkich sprawach finansowych, wyobraziłyśmy sobie, że w porozumieniu z nim mogłabyś wymyślić sposób, aby nasza pomoc wyglądała jako z prawa jej należna, którą panna Matty powinna otrzymać od... Prawdopodobnie twój ojciec, znając jej inwestycje, potrafi zapełnić tę lukę.

Panna Pole kończyła swoje przemówienie i rozejrzała się dokoła wyczekując wyrazów uznania i poparcia.

— Wyraziłam chyba myśli i uczucia pań, nieprawdaż? A podczas gdy panna Smith zastanawiać się będzie nad odpowiedzią, niech mi będzie wolno ofiarować paniom maleńki poczęstunek.

Nie mogłam wygłosić długiej mowy w odpowiedzi: miałam więcej wdzięczności w sercu, niż zdołałabym wypowiedzieć słowami, więc tylko wybałałam coś w tym sensie, „że powtórzę ojcu, co powiedziała panna Pole, i jeżeli będzie można coś zrobić dla kochanej panny Matty”... w tym momencie załamalam się zupełnie i nim zdołałam stłumić płacz, wzbierający we mnie od dwóch czy trzech dni, musiano mnie pokrzepić winem pierwiosnkowym. Najgorsze było to, że zawtórował mi płacz wszystkich pań. Płakała nawet panna Pole, która przecież po stokroć powtarzała, że zdradzanie wzruszenia w obecności innych jest oznaką słabości i braku opanowania. Gdy zdołała wreszcie powstrzymać łzy, ogarnęło ją ledwo widoczne gniewne zniecierpliwienie, skierowane ku mnie, ponieważ to ja sprowokowałam je wszystkie do płaczu, a co więcej, chyba gniewało ją to, że nie potrafiłam wygłosić mowy w odpowiedzi na jej mowę. Gdybym wiedziała z góry, co będzie mówić, i mogła przewidzieć, jakie uczucia zbudzą w moim sercu jej słowa, napisałabym odpowiedź i mając ze sobą kartkę starałabym się ją zadowolić. Ale w tej sytuacji, kiedy odzyskałyśmy spokój, zabrała głos pani Forrester:

— Nie krępuję się, będąc wśród przyjaciół, stwierdzić, że ja... nie! Nie jestem,

ściśle mówiąc, biedna, ale nie sędzę, że mogłybyście nazwać mnie bogatą i żałuję, że nią nie jestem ze względu na naszą kochaną pannę Matty, ale jeżeli pozwolicie, napiszę, ile mogę ofiarować, na kartce, którą zapieczętuję. Żałuję tylko, że to tak mało, moja droga Mary, doprawdy, żałuję.

Teraz zrozumiałam, dlaczego przygotowano kartki, pióra i atrament. Każda z pań napisała, ile może ofiarować rocznie, złożyła podpis i przypieczętowała tę tajemnicę. Gdyby ich propozycja została przyjęta, mój ojciec byłby uprawniony do rozerwania pieczęci, w przeciwnym razie oferty miały wrócić do ich autorek.

Kiedy dopełniono tej ceremonii wstałam, aby się pożegnać, ale okazało się, że każda z pań pragnie odbyć ze mną rozmowę w cztery oczy. Panna Pole zatrzymała mnie w salonie, tłumacząc, dlaczego pod nieobecność pani Jamieson objęła przewodnictwo „ruchu”, jak spodobalo jej się to nazwać, a także informując, że słyszała z dobrych źródeł, iż pani Jamieson niezwłocznie wraca do domu i jest oburzona na swoją szwagierkę, która będzie musiała z miejsca opuścić jej dom i, jak mówią, wyjechać do Edynburga tego samego popołudnia. Oczywiście ta wiadomość nie mogła zostać przekazana w obecności pani Fitz-Adam, tym bardziej iż panna Pole skłonna była uważać, że wobec gniewu pani Jamieson małżeństwo lady Glenmire z panem Hogginsem nie dojdzie do skutku. Parę serdecznych zapytań o zdrowie panny Matty zakończyło naszą rozmowę.

Schodząc na dół spotkałam panią Forrester czekającą na mnie przy wejściu do jadalni, do której zaciągnęła mnie, i zamknąwszy drzwi próbowała parę razy powiedzieć mi coś na temat, widocznie nieodpowiedni do ogólnej rozmowy. W końcu zwątpiłam, czy uda nam się osiągnąć wzajemne zrozumienie. Wreszcie powiedziała. Biedna starsza pani, drżąc przez cały czas, jak gdyby wystawiała na światło dzienne coś, co było zbrodnią, wyjawiała mi, jak bardzo, bardzo niewiele miała na utrzymanie; wyznania tego dokonała z obawy, byśmy nie pomyślały, że skromna pomoc, zaofiarowana na jej kartce, pozostaje w jakiejś proporcja do jej miłości i szacunku dla panny Matty. A przecież suma, której się tak chętnie

wyrzekła, przewyższała dwudziestą część tego, za co musiała żyć, utrzymać dom, małą pokojóweczkę, i to tak, jak przystało osobie urodzonej jako Tyrrell. Kiedy cały dochód nie sięga stu funtów, zrzeczenie się dwudziestej jego części pociągnie za sobą konieczność wielu starannych oszczędności, wielu wyrzeczeń, drobnych i nic nie znaczących w księdze rachunkowej tego świata, ale mających zgoła inną wartość w tej drugiej księdze rachunkowej. Powiedziała i powtarzała, że chciałaby być bogata, i to bez jakichkolwiek myśli o sobie, ale z bolesnym pragnieniem, aby móc zapewnić więcej wygód pannie Matty.

Minęło trochę czasu, nim zdołałam na tyle ją pocieszyć, by mogła zostać sama, a kiedy wychodziłam z domu, zaszła mi drogę pani Fitz-Adam, która także pragnęła mi poczynić zwierzenia, ale wprost przeciwnej natury. Nie chciała wymieniać na kartce wszystkiego, na co ją było stać i co chciała ofiarować. Powiedziała mi, że nie mogłaby spojrzeć w oczy pannie Matty, jeżeli ośmieliłaby się dać jej tyle, ile by chciała.

— Panna Matty! — mówiła. — Uważałam ją za tak elegancką młodą damę, kiedy ja byłam tylko prostą dziewczyną ze wsi, przychodzącą na targ z jajami, masłem i innymi rzeczami. Bo mój ojciec, chociaż zamożny, zawsze kazał mi chodzić na targ, tak jak przedtem chodziła moja matka, i musiałam przychodzić do Cranford co sobota, patrzeć, co sprzedają i jakie są ceny. Pamiętam, jak pewnego dnia spotkałam pannę Matty na drodze do Combehurst. Szła ścieżką dla pieszych, która, jak pani wiadomo, wzniesiona jest znacznie nad drogą. Drogą jechał na koniu jakiś dżentelmen i rozmawiał z nią, a ona spoglądała na trzymane w ręku pierwiosnki, szarpała je i zdawało mi się, że płakała. Ale kiedy mnie minęła, zawróciła i pobiegła za mną... ach, jak to było uprzejmie... aby zapytać o zdrowie matki, która leżała na łożu śmierci. A kiedy rozplakałam się, ujęła mnie za rękę pocieszając... a ten pan czekał na nią cały czas... i ona sama była czymś bardzo wzruszona, jestem pewna. Uważałam to za wielki zaszczyt, że rozmawia ze mną w ten sposób córka pastora, która przyjmowana jest w Arley Hall. Pokochałam ją od tej pory, choć może nie miałam do tego prawa. Jeżeli, moja

droga, zdołasz znaleźć jakiś sposób, który pozwoliłby mi dać jej coś więcej, tak żeby nikt nie wiedział, byłabym ci bardzo wdzięczna. A mój brat z przyjemnością będzie ją leczył darmo i da lekarstwa, pijawki i co trzeba. Wiem, że i on sam, i milady... (moja droga, czyż mogłam wyobrazić sobie w czasach, o których wspomniałam, że kiedykolwiek dojdzie do tego, że zostanę szwagierką milady?...) zrobiliby wszystko dla niej. My wszyscy.

Oświadczyłam jej, że jestem tego pewna, i przyrzekłam mnóstwo rzeczy, pragnąc jak najprędzej dostać się do domu, do panny Matty, która mogła już niepokoić się, co się dzieje ze mną, nieobecną w domu od dwóch godzin, zwłaszcza że nie będę mogła podać powodu wyjścia. Jednakże ona nie zauważyła upływu czasu, zajęta niezliczonymi czynnościami poprzedzającymi ten wielki krok, jakim miało być wyrzeczenie się domu. Najwidoczniej przynosiło jej wielką ulgę robienie czegoś, co łączyło się z ograniczeniami i oszczędnością, jak bowiem powiedziała, ilekroć przestawała się krzątać, stawał jej przed oczyma obraz wieśniaka z pięciofuntowym banknotem, więc skoro ją tak bardzo to niepokoi, o ileż bardziej muszą się męczyć dyrektorzy banku, którzy wiedzą znacznie więcej o niedolach, wywołanych tym bankructwem? Niemal doprowadziła mnie do gniewu tym dzieleniem współczucia między dyrektorów banku (których w jej pojęciu dręczyły wyrzuty sumienia z powodu złego pokierowania sprawami innych ludzi) a tymi, co ucierpieli podobnie jak ona. Doprawdy, zdawała się sądzić, że będę łatwiej znieść niż samooskarżenia, ale ja uważałam, że dyrektorzy nie zgodziliby się z nią, choć głośno tego nie powiedziałam.

Stare skarby zostały wyjęte i przejrzone pod kątem ich wartości, która na szczęście było niewielka. W przeciwnym razie nie wiem, czy panna Matty zdołałaby się rozstać z takimi przedmiotami, jak obrączka matki, jak dziwna nieefektywna brosza, którą jej ojciec miał sobie żabot u koszuli. Jednakże ułożyłyśmy te rzeczy w pewnym porządku, według ich wartości materialnej i wszystko było gotowe następnego rana na przyjazd mego ojca.

Nie mam zamiaru zanudzać was szczegółami narady, jaka się odbyła, a jednym z powodów przemilczenia tego jest fakt, że nie rozumiałam wówczas, co robimy, i nie mogę zdać sobie z tego sprawy teraz. Panna Matty i ja siedziałyśmy zatwierdzając rachunki, projekty, sprawozdania i dokumenty, z których żadna z nas nie rozumiała, jak sądzę, ani słowa, gdyż mój ojciec jako prawdziwy człowiek interesów szybko się orientował i szybko wydawał decyzje, ale jeżeli zadałyśmy najdrobniejsze pytanie lub wyrażałyśmy cię niezrozumienia, mówił ostro: — He? To przecież jasne jak słońce. Jakie macie obiekcje? — A ponieważ nie rozumiałyśmy nic z tego, co proponował, było nam raczej trudno sformułować nasze obiekcje, a tak naprawdę, to nie byłyśmy pewne, czy je w ogóle mamy. Wkrótce panna Matty popadła w stan nerwowej uległości i ilekroć ojciec przerwał, mówiła: „Tak” lub „oczywiście”, czy było to potrzebne, czy nie. A kiedy raz zawtórowałam jej powtarzając: „Zdecydowanie”, co panna Matty powiedziała drżącym i pełnym powątpiewania tonem, obrócił się ku mnie i spytał: „Co tu było do decydowania?” Przyznaję, że po dziś dzień nie wiem. Ale oddając mu sprawiedliwość, muszę powiedzieć, że przyjechał z Drumble, żeby pomóc pannie Matty, i to wtedy, gdy miał mało czasu, a jego własne sprawy bardzo go piliły.

Kiedy panna Matty wyszła z pokoju, aby wydać zarządzenia co do obiadu (w wielkiej rozterce, pragnęła bowiem uczcić mego ojca delikatnym, wyszukany jedzeniem, a jednocześnie była przekonana, że teraz, kiedy jej pieniądze przepadły, nie ma prawa folgować takim zachciankom), powiedziałam ojcu o spotkaniu pań kranfordzkich u panny Pole poprzedniego dnia. Gdy o tym mówiłam, przetarł oczy dłonią, a kiedy przeszłam do onegdajszej propozycji Marty, że przyjmie pannę Matty za lokatorkę, podszedł do okna i począł bębnić palcami po szybie. Potem obrócił się gwałtownie i powiedział:

— Widzisz, Mary, jak takie uczciwe, niewinne życie zjednuje przyjaciół! Tam, do licha! Wygłosiłbym na ten temat kazanie, gdybym był pastorem, a tak, nie potrafię dokończyć mej myśli... ale jestem pewien, że i bez tego wiesz, co

chciałbym powiedzieć. Pójdziemy razem na spacer po obiedzie i porozmawiamy trochę o tych planach.

Wniesiono właśnie obiad, kotlet barani na gorąco i trochę pokrajanej cielęciny. Sprzątnęliśmy to wszystko do czysta, ku wielkiej satysfakcji Marty. Potem mój ojciec oświadczył pannie Matty wprost, że chce porozmawiać ze mną w cztery oczy, że wyjdzie popatrzeć na stare kąty, a potem ja jej powiem, jaki projekt uznaliśmy za dobry. Przed samym wyjściem panna Matty odwołała mnie na bok i powiedziała:

— Pamiętaj, kochanie, że zostałam sama jedna. Chcę przez to powiedzieć, że cokolwiek będę robić, nikogo to nie dotknie. Gotowa jestem robić cokolwiek, byleby to było prawe i uczciwe, i myślę, że jeśli Debora, tam gdzie jest, wie o mnie, nie zmartwi się, jeśli będę musiała pracować nie jak osoba dobrze urodzona, bo rozumiesz, kochana, ona tam wie wszystko. Wskażcie mi tylko, co mogę robić, a tymczasem spłaćcie tych biednych ludzi, jak tylko to jest możliwe.

Ucałowałam ją serdecznie i pobiegłam za ojcem. Wynik naszej rozmowy był następujący. Jeśli wszystkie osoby zainteresowane się zgodzą, Mirta i Jem powinni się pobrać nie zwlekając i zamieszkać w obecnym domu panny Matty. Ponieważ suma, którą kranfordzkie panie zaofiarowały się płacić rocznie, wystarczy na pokrycie znacznej części komornego, Marta sama powinna oszacować, ile panna Matty ma płacić za mieszkanie i pewne konieczne posługi. Do wyprzedaży ojciec ustosunkował się z początku krytycznie. Oświadczył, że stare meble z plebanii, choć używane ostrożnie i konserwowane z szacunkiem, przyniosą bardzo niewiele, a to niewiele będzie jak kropla w morzu długów „Town and County Bank”. Ale kiedy przedstawiłam mu, jaką ulgę przyniesie czułem sumieniu panny Matty poczucie, że uczyniła, co było w jej mocy, ustąpił, zwłaszcza gdy mu opowiedziałam o przygodzie z pięciu funtami, a on zburczał mnie ostro, że do tego dopuściłam. Potem wspomniałam o moim pomysśle, że mogłaby powiększyć swoje skromne dochody sprzedając herbatę i ku memu zdumieniu (bo już prawie zrezygnowałam z tego projektu) ojciec poparł

ten pomysł z całą energią kupca. Myślę, że liczył kurczęta przed ich wykluciem, bo ocenił zyski, jakie mogłaby mieć z tego handlu w Cranford na przeszło dwadzieścia funtów rocznie. Mała jadalnia miała zostać przemieniona na sklep, który nie przywodziłby na myśl tego poniżającego zajęcia: stół mógłby pełnić rolę lady, jedno okno pozostałoby bez zmiany, drugie zastąpiłyby szklane drzwi. Najwidoczniej zyskałam wiele w oczach ojca dzięki tej rozsądnej propozycji. Bałam się tylko, żebyśmy oboje nie stracili w opinii panny Matty.

Ale ona przyjęła z cierpliwością i zadowoleniem nasze postanowienia. Powiedziała, że wie, że będziemy się starać jak najlepiej o nią, i prosi tylko o jedno: aby mogła spłacić co do grosza swoją część długu, a to ze względu na ojca, który cieszył się takim szacunkiem w Cranford. Mój ojciec i ja zgodziliśmy się, że należy mówić jak najmniej o banku, a jeśli można, zgoła o nim nie wspominać. Niektóre z naszych planów były widocznie dość niejasne dla niej, ale widziała rano, jak zostałam zganiona za brak pojętności, więc nie odważyła się na zbyt wiele pytań. Tak więc wszystko potoczyło się dobrze, a ona wyrażała nadzieję, że nikt z jej powodu nie będzie przynaglany do małżeństwa. Kiedy doszliśmy do propozycji, żeby sprzedawała herbatę, dostrzegłam, że była wstrząśnięta, ale nie dlatego, żeby uważała to za zajęcie niegodne osoby z jej sfery, lecz po prostu nie dowierzała, że starczy jej sił na pracę w tej nowej dla niej roli, i w skrytości ducha wolałaby trochę więcej wyrzeczeń niż wysiłek, do jakiego według własnej opinii była niezdolna. Jednakże kiedy zauważyła, że mój ojciec bardzo ten projekt popiera, westchnęła i oświadczyła, że spróbuje, a jeśli jej nie pójdzie, będzie przecież mogła się wycofać. Jedną pomyślną okolicznością było to, że nie przychodziło jej na myśl, by mężczyźni kiedykolwiek kupowali herbatę, a przecież właśnie mężczyźni najbardziej się obawiała. Tacy są głośni i szorstcy, tak szybko rachują należność i resztę! Gdyby miała tylko sprzedawać słodczyce dzieciom pewna jest, że by im dogodziła.

ROZDZIAŁ XV

Szczęśliwy powrót

Zanim wyjechałam z Cranford wszystko ułożyło się pomyślnie dla panny Matty. Udało jej się nawet zdobyć aprobatę pani Jamieson w sprawie sprzedaży herbaty. Wyrocznia ta potrzebowała paru dni na rozważenie, czy przez to zajęcie panna Matty nie straci prawa należenia do uprzywilejowanego towarzystwa kranfordzkiego. Myślę, że wydając wreszcie swoją decyzję, pani Jamieson chciała dokuczyć trochę lady Glenmire. Decyzja ta brzmiała: podczas gdy kobieta zamężna przyjmuje socjalną pozycję swego męża według surowych praw precedensu, niezamężna utrzymuje pozycję, jaką zajmował jej ojciec. Tak więc Cranford otrzymało pozwolenie na odwiedzanie panny Matty, a z pozwoleniem czy też bez niego zamierzało odwiedzać lady Glenmire.

Ale jakież było nasze zdumienie... nasze przerażenie... kiedy dowiedziałyśmy się, że pan i pani Hoggins wracają w najbliższy wtorek. Pani Hoggins! Czyż ona absolutnie zarzuciła swój tytuł i przez to zerwała z arystokracją, aby należeć do Hogginsów? Ona, która do śmierci mogła nazywać się lady Glenmire! Pani Jamieson była zadowolona. Orzekła, że jest to tylko dowodem tego, o czym wiedziała od dawna, a mianowicie, że osoba ta ma zły gust. Ale „osoba ta” w niedzielę w kościele wyglądała na bardzo szczęśliwą. Nie uważałyśmy też za konieczne — jak robiła to pani Jamieson — opuszczać woalek z tej strony kapelusza, z której siedziała pani , Hoggins, i w ten sposób odcinać się od widoku jej promieniejącej twarzy i pięknych rumieńców. Nie jestem pewna, czy Marta i Jem wyglądali bardziej promiennie w owo popołudnie, kiedy i oni ukazali się wszystkim wspólnie po raz pierwszy. W dniu, w którym państwo Hoggins przyjmowali gości, pani Jamieson koła gniew swej duszy zapuszczając rolety okien jak gdyby na pogrzeb i z niejakim trudem udało się ją nakłonić do dalszego prenumerowania „St. James's Chronicle”, tak była oburzona, że znalazło się w

niej miejsce na zapowiedź tego małżeństwa.

Wyprzedaż mebli panny Matty poszła wspaniale. Zatrzymała umeblowanie saloniku i sypialni: salonik miała zajmować, póki Marta nie znalazłaby lokatora, chcącego go wynająć; w te dwa pokoje musiała upchać rozmaite przedmioty, które (jak zapewniał ją prowadzący wyprzedaż) zostały zakupione dla niej przez nieznanego przyjaciela. Zawsze podejrzewałam o to panią Fitz-Adam, musiała mieć jednak współnika, orientującego się, co było dla panny Matty szczególnie cenne ze względu na wspomnienia młodych lat. Reszta domu wyglądała, oczywiście, bardzo pusto, z wyjątkiem jednego pokoju, do którego ojciec pozwolił mi zakupić sprzęty, na wypadek ewentualnych moich wizyt w razie choroby panny Matty.

Ja zaś wydałam moje skromne zasoby pieniężne na zakup najrozmaitszych karmelków i pastylek, chcąc skusić do przyjścia dzieci, które panna Matty tak kochała. Oto herbata w jaskrawozielonych blaszanych puszkach a karmelki w słojach — panna Matty i ja byłyśmy dumne rozglądając się dokoła w przeddzień otwarcia sklepu. Wyszorowana przez Martę podłoga aż lśniła czystością i leżał na niej błyszczący ceratowy chodnik, na którym mieli stawać przed stołem-ladą klienci. Cały pokój przenikała zdrowa woń cementu i wapna. Bardzo niepozorny szyldzik: „Matylda Jenkyns, uprawniona do sprzedawania herbaty”, ukryty był nad nowymi drzwiami, a dwie wielkie skrzynki herbaty, całe pokryte kabalistycznymi napisami, czekały tylko, by przekazać puszkom swą zawartość.

Panna Matty, o czym powinnam była wcześniej nadmienić, miała pewne skrupuły co do sprzedawania herbaty, skoro był w mieście pan Johnson, który wśród licznych towarów trzymał w sklepie i ten artykuł, i zanim pogodziła się z myślą o handlu, udała się do niego, aby mu powiedzieć o naszym projekcie i spytać, czy nie wpłynie to ujemnie na jego obroty. Mój ojciec nazwał ten jej pomysł „wielkim nonsensem” i oświadczył, że nie ma pojęcia, jak ludzie handlu mogliby dawać sobie radę, gdyby chcieli ciągle mieć na uwadze interesy innych kupców, co położyłoby kres wszelkiej konkurencji. I zapewne, nie zdałoby się to

na nic w Drumble, ale w Cranford było całkiem na miejscu, bo pan Johnson nie tylko uśmierzył skrupuły panny Matty i jej obawy o przysporzenie mu strat, ale, jak mam powody sądzić, stale odsyłał jej klientów twierdząc, że sam trzyma tylko pospolite gatunki, a panna Jenkyns ma doborowe. Droga herbata stanowi ulubiony przysmak zamożnych kupców i żon bogatych gospodarzy, którzy kręcą nosem na zwykłe „Congou” i „Souchong”, najczęstsze na stołach dobrze urodzonych, i chcą dla siebie tylko takie drogie gatunki, jak „Gunpowder” i „Pekse”.

Ale wracajmy do panny Matty. Przyjemnie było widzieć, jak jej altruizm i proste poczucie sprawiedliwości wywoływały i w innych te same dobre odruchy. Nigdy nie przypuszczała, że ktoś mógłby chcieć ją oszukać, ponieważ gdyby ona sama kogoś oszukała, sprawiłoby to jej wielką przykrość. Słyszałam, jak przerwała zapewnienia uczciwości swego węglarza, oświadczając spokojnie: — Pewna jestem, że byłoby panu przykro dać mi złą wagę. — Jeśli nawet tym razem miara była skąpa, nie sądzę, aby to się kiedykolwiek powtórzyło. Ludzie czuliby się tak zawstydzeni, nadużywszy jej dobrej wiary, jak gdyby nadużyli wiary dziecka. Ale mój ojciec powiedział: „Taka prostota może być dobra w Cranford, ale nie w świecie”. A więc świat musi być chyba bardzo zły, bo mój ojciec, mimo iż miał się na baczności wobec każdego, z kim prowadził interesy, i pomimo wszystkich swoich środków ostrożności, nie dalej jak ubiegłego roku stracił przez nieuczciwych ludzi ponad tysiąc funtów.

Pozostałam w Cranford, dopóki panna Matty nie przywykła do nowego sposobu życia i dopóki nie spakowałam książek, które zakupił pastor. Przysłał on pannie Matty bardzo uprzejmy list, w którym pisał: „Byłbym bardzo szczęśliwy mogąc przejąć, za każdą cenę, na jaką zostanie on oszacowany, księgozbiór tak doskonale dobrany, jak biblioteka pastora Jenkynsa”. Ale kiedy panna Matty zgodziła się już na to, odczuwając smutną satysfakcję na myśl, że książki wrócą znów na plebanię i zostaną ustawione przy tych samych co kiedyś ścianach, pastor napisał, iż obawia się, że nie starczy mu na wszystkie miejsca, czy więc

panna Matty nie pozwoliłaby łaskawie, by zostawił część u niej na półkach. Ale panna Matty powiedziała, że ma swoją Biblię i „Słownik” doktora Johnsona, a myśli, że nie będzie miała wiele wolnego czasu na czytanie; jednak z uwagi na uprzejmość pastora pozostawiłam u niej nieco książek.

Pieniądze, które zapłacił, oraz te, które wpłynęły z wyprzedaży, wydałyśmy częściowo na zapas herbaty, a częściowo zainwestowałyśmy na czarną godzinę, to jest na starość i chorobę. Była to suma bardzo niewielka, przyznaję, i trzeba było kilka razy rozminąć się z prawdą i powiedzieć parę niewinnych kłamstw (uważam je za rzecz zdrożną w teorii i wołałabym ich uniknąć w praktyce), gdyż zdawaliśmy sobie sprawę, że gdyby panna Matty wiedziała, iż ma jakiś fundusz rezerwowy, podczas gdy długi banku nie zostały jeszcze spłacone, męczyłyby ją wyrzuty sumienia. Poza tym nie wiedziała wcale, że jej przyjaciółki składają się na zapłacenie komornego. Miałabym ochotę powiedzieć jej o tym, ale tajemniczość otaczająca całą sprawę nadawała dobremu uczynkowi pewien smaczek, którego panie za nic nie chciały się wyrzec. Marta musiała z początku wykręcać się przed niespokojnymi pytaniami, jak radzi sobie z utrzymaniem takiego domu i jakie ma na to środki, ale stopniowo niepokój panny Matty, zrodzony z przezorności, ustąpił akceptacji istniejącego stanu rzeczy.

Opuszczałam pannę Matty z nadzieją w sercu. Ilość sprzedanej przez nią w ciągu dwóch dni herbaty przewyższała najśmielsze moje oczekiwania. Wydawać się mogło, że w całej okolicy nagle zabrakło herbaty. Marzyłam tylko o jednej zmianie w jej sposobie prowadzenia handlu, a mianowicie, żeby nie prosiła płaczliwym głosem niektórych swoich klientów o niekupowanie zielonej herbaty, którą degradowała do rzędu powolnej trucizny, na różne sposoby szkodliwej. Upór klientów w nabywaniu tej herbaty, pomimo jej ostrzeżeń, przygnębiał ją tak bardzo, że naprawdę myślałam, że wyrzeknie się sprzedawania tego gatunku i przez to straci połowę klienteli, i szukałam w pamięci przykładów długowieczności, którą przypisać by można wyłącznie stałemu picciu zielonej herbaty. Ale ostatecznym argumentem, który rozstrzygnął problem, była moja

wzmianka o tranie i świecach łożowych, które Eskimosi nie tylko jedzą ze smakiem, ale i dobrze trawią. Usłyszawszy to panna Matty przyznała, że „co dla jednego człowieka jest pokarmem, dla drugiego może być trucizną”. Od tej pory poprzestawała na wyrażaniu protestów od czasu do czasu, gdy sądziła, że nabywający tę herbatę jest za młody, by móc orientować się w złych skutkach, jakie może ona wywołać w niektórych organizmach, i na nawykowym wzdychaniu, kiedy prosili o nią ludzie, którzy ze względu na swój wiek dojrzały powinni być dostatecznie mądrzy, by jej nie pić. Przynajmniej raz na kwartał przyjeżdżałam z Drumble, aby uregulować rachunki i pozalać konieczną korespondencję urzędową. Skoro już mówię o listach, muszę zaznaczyć, że zaczęłam się bardzo wstydić na myśl o moim liście do agi Jenkynsa i cieszyłam się, że nigdy o nim nikomu nie wspomniałam. Miałam nadzieję, że list zaginął. Nie nadchodziła żadna odpowiedź. Aga Jenkyns nie dawał znaku życia.

Mniej więcej w rok po założeniu sklepiku otrzymałam pisany hieroglifami list od Marty, w którym prosiła mnie o szybkie przybycie do Cranford. Wystraszona, że może panna Matty jest chora, wyjechałam tego samego popołudnia i niespodziewanie stanęłam przed Martą w drzwiach domu. Udałyśmy się jak zwykle na poufną rozmowę do kuchni i wtedy Marta powiedziała mi, że wkrótce, za tydzień lub dwa, spodziewa się rozwiązania i przypuszcza, że panna Matty niczego się nie domyśla, i chciałaby, żebym ja ją o tym zawiadomiła.

— Bo doprawdy, panienko — mówiła Marta, płacząc histerycznie — boję się, że nie pochwali mnie za to, a ja znów zupełnie nie wiem, kto się nią zaopiekuje, jak należy, gdy ja będę w połogu.

Pocieszyłam ją zapewnieniem, że nie wyjadę, póki nie będzie znów czuć się dobrze, i tylko wyraziłam żal, że nie wyjawiała w liście powodu swego nagłego wezwania, gdyż zabrałabym wówczas trochę więcej rzeczy. Marta była w tak płaczliwym i bojaźliwym nastroju, że wspominałam jak najmniej o własnych sprawach, starając się natomiast dodać jej odwagi, bo w jej głowie kłębiły się obrazy wszelkich nieszczęść, jakie mogłyby ją spotkać.

Następnie przekradłam się cicho z domu do drzwi sklepu, by wejść przez nie niczym klientka, bo chciałam zajść pannę Matty znienacka i zobaczyć, jak wygląda w nowej roli. Była ciepła majowa pogoda, więc panna Matty zostawiła drzwi uchylone; siedziała za stołem, robiąc na drutach wymyślną parę podwiązek. Wymyślnymi wydawały się mnie, ale zawiły ścieg nie absorbował jej myśli, gdyż śpiewała po cichu do siebie w rytm poruszających się szybko drutów. Nazwałam to śpiewem, ale przypuszczam, że muzyk nie określiłby tak niemelodyjnych, choć miłych dźwięków jej cichego głosu. Poznałam ze słów, bo nie mogłam pochwycić melodii, że nuciła jeden z psalmów, ale spokojne, nieprzerwanie płynące dźwięki świadczyły o zadowoleniu i sprawiały mi przyjemność, gdy tak stałam tuż za drzwiami, w harmonii z cichym, majowym porankiem. Weszłam. Z początku nie dostrzegła, że to ja, i podniosła się z krzesła chcąc obsłużyć klienta, poznawszy mnie z nagłej radości upuściła robótkę, która wpadła w łapki czujnej kotki. Po krótkiej rozmowie upewniłam się, że jest tak, jak sądziła Marta, i że panna Matty nie ma pojęcia o zbliżającym się wydarzeniu. Postanowiłam pozostawić rzeczy ich własnemu biegowi, pewna, że gdy stanę przed nią z dzieckiem na ręku, otrzymam przebaczenie dla Marty, która niepotrzebnie wprawiała się w stan lęku, że panna Matty jej tego nie daruje. Młoda kobieta uroiła sobie, że okazywanie małemu przybyszowi koniecznych starań będzie niecną zdradą wobec panny Matty.

Miałam rację. Widocznie to dziedziczna cecha, bo i mój ojciec mówi, że rzadko kiedy nie ma racji. Nie minął tydzień po moim przyjeździe, a pewnego ranka udałam się do panny Matty trzymając w ramionach flanelowy tłumoczek. Była przerażona, kiedy jej pokazałam, co to jest, poprosiła o okulary z toaletki, przyjrzała się niemowlęciu ciekawie, zdumiona doskonałością kształtów jego drobnego ciała. Cały dzień była pod wrażeniem tej niespodzianki, chodziła na palcach, bardzo cicha. Ale poszła na górę zobaczyć Martę i obie popłakały się z radości, wygłosiła do Jema gratulacyjne przemówienie, lecz nie wiedziała, jak z niego wybrnąć, i uratował ją dźwięk dzwonka sklepowego będący również

wielką ulgą dla nieśmiałego, pocziwego Jema, który tak energicznie uściskał mi rękę, gdy składałam mu życzenia, że dotąd jeszcze czuję, jak to bolało.

Póki Marta nie wróciła do sił prowadziłam bardzo czynne życie. Usługiwałam pannie Matty i przyrządzałam jej posiłki. Prowadziłam za nią rachunki i doglądałam, aby nie zabrakło towaru w puszkach i słoikach. Czasami pomagałam jej również i w sklepie, i obserwując jej zachowanie nieraz ubawiłam się serdecznie, choć niekiedy nappełniało mnie ono troską. Jeżeli przychodziło dziecko prosząc o uncję migdałowych karmelków (a tyle ważyły cztery duże karmelki z tego gatunku, jaki trzymała w sklepie), dodawała jeszcze jeden, „aby wyrównać wagę”, jak mówiła, a kiedy protestowałam przeciw temu, odpowiadała: „Dzieciaki tak to lubią!” Na próżno jej tłumaczyłam, że piąty cukierek waży jedną czwartą uncji i każda taka sprzedaż stanowi stratę dla jej kieszeni. Przypomniałam więc sobie zieloną herbatę i pokonałam ją jej własną bronią. Wyjaśniałam jej, jak niezdrowe są migdałowe karmelki i jak szkodzi dzieciom ich nadmiar. Ten argument odniósł pewien skutek: odtąd nie dawała im piątego karmelka, ale kazała im rozpościerać drobne dłonie i sypała na nie miętowe albo imbirowe pastylki, aby uniknąć niebezpieczeństw, na jakie je narażało kupno karmelków. Choć handel słodyczami prowadzony na tych zasadach nie zapowiadał zysków, z przyjemnością zobaczyłam, że na sprzedaży herbaty w ciągu minionego roku zarobiła ponad dwadzieścia funtów, i co więcej, że teraz, gdy się przyzwyczaiła do swego zajęcia, nie sprawiało jej ono przykrości, gdyż dzięki niemu nawiązała kontakt z wieloma ludźmi z okolicy. Dawała im dobrą wagę, a oni w zamian przynosili wiele drobnych upominków ze wsi „dla córki starego pastora”, takich jak serek kremowy, kilka świeżych jajek, trochę dojrzałych, świeżo zerwanych owoców lub bukiet kwiatów. Mówiła mi, że czasem stół bywa po prostu zawałony tymi podarkami.

Jeśli chodzi o Cranford w ogóle, wszystko działo się jak zwykle. Wciąż trwała waśń między panią Jamieson a państwem Hoggins — choć nie wiem, czy można to nazwać waśnią, skoro podtrzymywała ją tylko jedna strona. Państwo Hoggins

byli bardzo szczęśliwi i, jak większość szczęśliwych ludzi, pełni życzliwości, a pani Hoggins naprawdę chciała odzyskać łaski pani Jamieson ze względu na dawną zażyłość. Ale pani Jamieson uważała samo ich szczęście za zniewagę dla rodu Glenmire, do którego wciąż miała zaszczyt należeć, i uparcie odrzucała i odtrącała każdą próbę wyciągnięcia ręki. Pan Mulliner, jako wierny członek klanu, z zapalem trzymał jej stronę. Jeśli kiedykolwiek zobaczył na ulicy panią Hoggins lub pana Hogginsa, przechodził na drugą stronę albo zapadał w zadumę nad życiem w ogóle, a swoją własną dolą w szczególności, póki ich nie minął. Panna Pole nieraz zabawiała się wyobrażaniem sobie, co też zrobiłaby pani Jamieson, gdyby albo ona sama, albo ktoś z jej domu rozchorował się, bo nie wypadałoby jej przecież wezwać pana Hogginsa, skoro go tak traktowała. Panna Pole oczekiwała z niecierpliwością, aby pani Jamieson czy komuś z jej służby przydarzyła się jakaś niedyspozycja czy jakiś wypadek, a to dlatego, żeby całe Cranford mogło zobaczyć, jak się zachowa w tak niełatwych okolicznościach.

Marta zaczynała już się krzątać po domu, a ja ustaliłam nawet termin mego wyjazdu, niezbyt daleki, kiedy pewnego popołudnia, siedząc w sklepie z panną Matty — pamiętam, że pogoda była chłodniejsza niż przed trzema tygodniami, w maju, więc na kominku palił się ogień i trzymałyśmy drzwi zamknięte — zobaczyłam, że jakiś dżentelmen mija wolno nasze okno, staje przed drzwiami, jak gdyby szukał szyldu, który tak starannie ukryłyśmy. Wyciągnął binokle i rozglądał się przez pewien czas, nim go dostrzegł. Potem wszedł. Nagle przemknęło mi przez myśl, że to jest aga Jenkyns! Jego ubranie bowiem miało jakiś dziwny, zagraniczny krój, twarz była bardzo ciemna, jak od ciągłego przebywania na słońcu. Cera kontrastowała ze śnieżną bielą bujnych włosów, oczy były ciemne i przeszywające, jakoś je dziwnie mrużył, a kiedy w coś się bacznie wpatrywał, twarz jego marszczyła się w liczne fałdy. Tak było, gdy wszedłszy przyglądał się pannie Matty. Jego spojrzenie padło najpierw na mnie i zatrzymało się na chwilę, a potem, z tym szczególnym badawczym wyrazem, skierował się ku pannie Matty. Zaczęła zdradzać podniecenie i niepokój, ale nie

bardziej niż zwykle, gdy do sklepu wchodził jakiś mężczyzna. Myślała, że pewno zapłaci banknotem albo co najmniej suwerenem, i będzie zmuszona wydawać resztę, a tej procedury bardzo nie lubiła. Ale ten klient stał tylko naprzeciwko niej, o nic nie pytał ani o nic nie prosił i wpatrując się w nią bacznie, bębnił palcami po stole — akurat tak, jak panna Jenkyns. Panna Matty (jak opowiadała mi potem) miała go właśnie zapytać, czego sobie życzy, kiedy zwrócił się nagle do mnie:

— Czy pani nazywa się Mary Smith?

— Tak.

Rozpierzchły się wszystkie moje wątpliwości co do tego, kim jest ten dżentelmen, i zastanawiałam się tylko, co on powie czy zrobi i jak panna Matty zniesie radosny wstrząs, który ją czeka. Najwidoczniej nie wiedział, jak dać się poznać, bo w końcu, pewno dla zyskania na czasie, począł się rozglądać, co mógłby kupić, i przypadkiem spojrzenie jego padło na migdałowe karmelki i mocnym głosem poprosił o „funt tego tam”. Wątpię, czy w sklepie znalazłby się funt karmelków, a poza niezwykłą wspaniałością tego zamówienia zaniepokoiła ją myśl o niedyspozycji żołądkowej, jaką te karmelki, spożyte w tak ogromnej ilości, mogą wywołać. Spojrzała na niego z wyrzutem.

Wyraz serdeczności na jego twarzy wydał jej się znajomy. Wyjąkała:

— Czy... Czy... O, proszę pana... Peter?

Drżała od stóp do głów. Momentalnie znalazł się z drugiej strony stołu i trzymał ją w ramionach, łkając jak ludzie starzy, bez łez. Przyniosłam jej kieliszek wina, bo zbladła tak, żeśmy się oboje przestraszyli. Powtarzał:

— Zrobiłem to nazbyt niespodzianie, Matty, moja kochana.

Zaproponowałam, żeby przeszła do salonu i położyła się na sofie. Patrzyła w zamyśleniu na brata, którego dłoń trzymała mocno w swojej, nawet omdlewając, ale usłyszawszy jego zapewnienie, że jej nie opuści, pozwoliła się zaprowadzić na górę.

Pomyślałam, że najlepsze, co mogę zrobić, to pobiec i nastawić czajnik na wczesną herbatę, a potem zająć się sklepem pozostawiając brata z siostrą samych,

by mogli powiedzieć sobie te tysiącne rzeczy, które mają do powiedzenia. Musiałam także oznajmić tę nowinę Marcie, a ta przyjęła ją wybuchając płaczem, co o mało i mnie się nie udzieliło. Co chwila pytała, czy jestem pewna, że to jej brat, bo wspomniałam, że ma siwe włosy, a ona zawsze słyszała, że to bardzo przystojny młodzieniec. Coś podobnego niepokoiło pannę Matty przy herbacie, kiedy usadziliśmy ją wygodnie w wielkim fotelu naprzeciwko pana Jenkynsa, aby mogła mu się dobrze napatrzeć.

Przyglądała mu się tak, że niemal nie mogła pić herbaty, a jeżeli chodzi o jedzenie, było to zupełnie wykluczone.

— Myślę, że w gorącym klimacie ludzie starzeją się bardzo szybko — powiedziała cicho, jak gdyby do siebie. — Kiedy opuszczałeś Cranford, nie miałeś ani jednego siwego włosa na głowie.

— Ale ile to już lat minęło? — zapytał pan Peter z uśmiechem.

— Ach, prawda. Tak, zapomniałam, że oboje posunęliśmy się już w latach. Wciąż jeszcze nie uważam, byśmy byli bardzo starzy. Ale wiesz, tobie jest bardzo do twarzy z siwymi włosami — mówiła, zapewne w obawie, że mogła go urazić wyjawiając, jak wielkie wrażenie zrobił na niej jego zmieniony wygląd.

— Ja również zapominam o latach, Matty, bo jak myślisz, co ci przywiozłem z Indii? Mam dla ciebie, gdzieś w moich kufrach w Portsmouth, muślinową suknię i naszyjnik z pereł — uśmiechnął się, ubawiony myślą, jak bardzo te prezenty nie licują z wyglądem jego siostry, lecz ona w pierwszym momencie nie myślała o tym uderzona elegancją podarków. Widziałam, że przez chwilę wyobrażała sobie z przyjemnością, jak będzie wyglądać tak przybrana. Instynktownie przyłożyła rękę do szyi — tej delikatnej szyi, która (jak po wiedziała mi panna Pole) stanowiła jeden z jej dziewczęcych uroków — ale ręka napotkała fałdy miękkiego muślinu, którym zasłaniała szyję aż po brodę, i dotknięcie jego zbudziło w niej poczucie, jak niestosowny byłby naszyjnik z pereł w jej wieku. Odezwała się:

— Obawiam się, że jestem już na to za stara. Ale to bardzo ładnie, że o tym pomyślałeś. Takie właśnie rzeczy podobałyby mi się dawniej, kiedy byłam

młoda.

— I ja tak pomyślałem, moja droga Matty. Pamiętam twoje upodobania, miałaś takie same, jak nasza kochana matka.

Na wzmiankę o matce brat i siostra jeszcze serdeczniej ścisnęli sobie ręce i chociaż siedzieli w zupełnym milczeniu, czułam, że mają coś do powiedzenia, ale powstrzymuje ich moja obecność, wstałam więc, by iść przygotować dla pana Jenkynsa mój pokój, zamierzając spać razem z panną Matty. Ale gdy się ruszyłam, on poderwał się z miejsca.

— Muszę iść i zamówić pokój u „George'a”. Mój sakwojaż już tam jest.

— Nie! — zawołała panna Matty z rozpaczą. — Nie możesz iść! Błagam cię, Peter, błagam cię, Mary! Och, nie możesz odchodzić!

Była tak podniecona, że oboje przyrzekliśmy zrobić wszystko, czego sobie życzy. Peter usiadł znowu na krześle i podał jej rękę, którą dla większego bezpieczeństwa trzymała w swoich dłoniach, a ja wyszłam z pokoju, aby przygotować mu spanie.

Długo w noc, aż do wczesnych godzin poranka, panna Matty i ja rozmawiałyśmy ze sobą. Miała mi wiele do powiedzenia o życiu i przygodach swego brata, bo mówił jej o tym, gdy siedzieli sami. Twierdziła, że dla niej wszystko jest zupełnie jasne, ale ja nigdy nie mogłam całkowicie zrozumieć całej tej historii, a kiedy w późniejszym okresie moja obawa przed panem Peterem ustąpiła na tyle, że pytałam go sama, śmiał się z mojej ciekawości i prawił mi dziwy, tak bardzo przywodzące na myśl wspomnienia barona Münchhausena, że pewna byłam, iż stroi ze mnie żarty. Od panny Matty dowiedziałam się, że brał udział w oblężeniu Rangunu jako wolontariusz, że został przez Birmańczyków wzięty do niewoli. Udało mu się jakoś zdobyć dla siebie względy, a w końcu wolność dzięki temu, że potrafił puszczać krew wodzowi pewnego plemienia, gdy był niebezpiecznie chory. Po wyzwoleniu z długoletniej niewoli, gdy wysyłane do Anglii listy wracały ze złowrogimi słowami: „nie żyje” — uznał, że jest ostatnim z rodziny, został plantatorem indygo i decydował się już resztę życia

spędzić w kraju, do którego mieszkańców i obyczajów nawykł, kiedy doszedł do niego mój list. Z gwałtownością cechującą go w latach podeszłych, tak samo, jak za młodości, sprzedał pierwszemu nabywcy swą ziemię i nieruchomości i wrócił do siostry, a ta widząc go, czuła się najszczęśliwszą kobietą na ziemi. Mówiła do mnie tak długo, aż wreszcie zasnąłam, a po pewnym czasie obudził mnie jakiś szelest przy drzwiach. Przeprosiła mnie i ze skruchą wróciła do łóżka. Zdaje się, że kiedy już nie byłam w stanie potwierdzić jej wiary, że utracony na tak długie lata brat jest rzeczywiście tutaj, pod tym samym dachem — zaczęła się obawiać, czy to nie sen tylko, że Peter siedział przy niej w ten błogosławiony wieczór, i czy prawdziwy Peter nie spoczywa zmarły, daleko pod falami obcego morza lub pod nieznanym wschodnim drzewem. Ten nerwowy niepokój był tak silny, że w końcu musiała wstać i przekonać się o obecności brata nasłuchując pod drzwiami jego równego, regularnego oddechu — nie chcę nazwać tego chrapaniem, ale słyszałam je przez dwoje zamkniętych drzwi — co stopniowo uspokoiło ją i uśpiło.

Nie sądzę, żeby pan Peter przyjechał z Indii bogaty jak nabab, on sam się nawet uważał za biednego, ale ani on, ani panna Matty nie dbali o to. W każdym razie to, co miał, wystarczało na „bardzo wytworne” życie w Cranford dla nich obojga. W parę dni po jego przyjeździe sklep został zamknięty, a gromadki małych urwisów wesoło oczekiwały na deszcz karmelków i pastylek spadających od czasu do czasu na nich, gdy stali wpatrując się w okna saloniku panny Matty. Od czasu do czasu panna Matty, w pół skryta za firankami, mówiła do nich: — Drogie dzieci, uważajcie, byście sobie nie zaszkodziły. — Ale czyjeś silne ramię odciągało ją od okna i sypał się jeszcze obfitszy deszcz cukierków. Część herbaty rozesłano w prezencie paniom kranfordzkim, a część rozdzielono między ubogich, którzy pamiętali pana Jenkynsa z dni jego psotnej młodości. Suknię z hinduskiego muślinu przeznaczono dla kochanej Flory Gordon (córkę dawnej Jessie Brown). Państwo Gordonowie przez ostatnie parę lat przebywali na kontynencie, ale oczekiwano właśnie ich rychłego powrotu i panna Matty z

siostrzaną dumą i radością myślała o pokazaniu im pana Petera. Naszyjnik z pereł zniknął, a w tym samym czasie wiele pięknych i użytecznych prezentów pojawiło się w mieszkaniach panny Pole i pani Forrester, zaś salony pani Jamieson i pani Fitz-Adam upiększyły delikatne i rzadkie hinduskie ornamenty. Ja również nie zostałam zapomniana. Między innymi rzeczami otrzymałam najpiękniej oprawne i najlepsze wydanie dzieł doktora Johnsona, jakie można było dostać, a droga panna Matty, ze łzami w oczach, prosiła mnie, żebym uważała to za prezent od niej samej i od jej siostry. Jednym słowem, o nikim nie zapomniano, a co więcej, każdy nawet najmniej ważny, kto kiedykolwiek okazał życzliwość pannie Matty, mógł liczyć na serdeczne względy jej brata.

ROZDZIAŁ XVI

Pokój w Cranford

Nie było w tym nic dziwnego, że pan Peter stał się ulubieńcem Cranford. Panie prześcigały się nawzajem w wyrażaniu podziwu dla niego, co łatwo zrozumieć, bo ten przybysz z Indii wprowadził cudowne ożywienie w ich spokojne życie, zwłaszcza że przy tym prawił opowieści bardziej zdumiewające niż Sindbad Żeglarz i, jak twierdziła panna Pole, każdy wieczór przemieniał w noc z „Baśni z tysiąca i jednej nocy”. Co do mnie, całe życie spędziłam między Drumble i Cranford i uważałam za zupełnie możliwe, że wszystkie opowieści pana Petera są prawdziwe, choć zaskakujące, ale zauważywszy, że jeżeli w jednym tygodniu przyjmujemy za dobrą monetę anegdoty z pewną dawką cudowności, w następnym tygodniu dawka ta zostaje znacznie zwiększona, zaczęłam w to powątpiewać, zwłaszcza gdy spostrzegłam, że w obecności siostry opowiadania o życiu w Indiach stają się mniej jaskrawe, a przecież nie wiedziała ona o Indiach więcej niż my — może nawet mniej. Zauważyłam też, że kiedy

przychodzi z wizytą pastor, pan Peter inaczej mu opowiada o widzianych krajach. Myślę jednak, że panie kranfordzkie nie uważałyby go za tak wielkiego podróżnika, gdyby opowiadania jego były zawsze tak spokojne jak przy pastorze. Przecież dlatego go tak lubiły, że był, jak się wyrażały, „tak bardzo orientalny”.

Pewnego dnia, podczas przyjęcia, wydawanego na jego cześć przez pannę Pole w doborowym gronie, z którego, ponieważ pani Jamieson zaszczyliła je swoją obecnością, a nawet zaproponowała, że przyśle pana Mullinera, aby podawał do stołu, z konieczności wykluczeni zostali państwo Hogginsowie i pani Fitz-Adam — jednego zatem dnia u panny Pole pan Peter oświadczył, że zmęczyło go siedzenie na niewygodnym krześle z twardym oparciem, i zapytał, czy wolno mu będzie pozwolić sobie siedzieć po turecku. Panna Pole natychmiast udzieliła mu pozwolenia, a on z największą powagą rozsiadł się na podłodze. A kiedy panna Pole zapytała mnie donośnym szeptem, czy nie przypomina mi on „Ojca Wiernych”, przyszedł mi na myśl kulawy krawiec, biedny Simon Jones, a kiedy pani Jamieson powoli wychwalała elegancję i wygody tej pozycji, przypomniałam sobie, jak my wszystkie z nią na czele potępiałyśmy wulgarność pana Hogginsa, kiedy założył nogę na nogę, choć nawet nie schodził z krzesła. W zachowaniu pana Petera przy stole wiele rzeczy wyglądało nieco dziwnie w obecności takich dam, jak panna Pole i panna Matty, i pani Jamieson, zwłaszcza kiedy przypomniałam sobie nietknięty zielony groszek i widelec o dwóch zębach na obiedzie u biednego pana Holbrooka.

Nazwisko tego dżentelmena przywodzi mi na myśl rozmowę, którą pan Peter i panna Matty prowadzili jednego letniego wieczoru po jego powrocie do Cranford. Dzień był bardzo gorący i panna Matty bardzo się zmęczyła upałem, którym rozkoszował się jej brat. Pamiętam, że nie mogła nawet bawić się z dzieckiem Marty, co było ostatnio jej ulubionym zajęciem. Niemowlę czuło się równie dobrze w objęciu panny Matty jak w matczynym; na szczęście jeszcze mało ważyło i nie ciążyło komuś tak wątlemu jak ona. W dniu, o którym mowa, panna Matty wydawała się bardziej niż zazwyczaj słaba i apatyczna i odżyła dopiero po

zachodzie słońca, kiedy jej sofę przysunięto do otwartego okna, przez które, choć wychodziło na główną ulicę Cranford, wpadały co chwila pachnące sianem pobliskich łąk podmuchy wietrzyka, który poruszał parne powietrze wieczoru i znowu przycichał. Spokój letniego zmierzchu przerywały szemrzące odgłosy, które płynęły z otwartych okien i drzwi; nawet dzieci wyległy na ulice mimo późnej pory (było to między dziesiątą a jedenastą), radośnie biorąc udział w zabawie, na którą w spiekocie dnia brakło im ochoty. Pannie Matty satysfakcję sprawiał fakt, że paliło się bardzo niewiele świec nawet w tych mieszkaniach, skąd rozbrzmiewał największy gwar. Przez chwilę wszyscy troje, panna Matty, jej brat i ja, zachowywaliśmy milczenie, każde nad czymś innym zadumane, a potem pan Peter odezwał się:

— Czy wiesz, moja droga Matty, że kiedy opuszczałem Anglię ostatnim razem, przysiągłbym, że wkrótce wyjdiesz za mąż i gdyby ktokolwiek powiedział mi wtedy, że przejdiesz przez życie jako stara panna, roześmiałbym mu się prosto w twarz.

Panna Matty nic nie odpowiedziała, a ja daremnie starałam się wymyślić jakiś temat, który skutecznie zmieniłby bieg rozmowy, w głowie miałam pustkę i nim coś powiedziałam, on podjął znowu:

— Przypuszczałem, że Holbrook, dziarski Holbrook z Woodley, porwie moją małą Matty. Może dziś myślisz inaczej, Mary, ale ta moja siostra była kiedyś bardzo piękną dziewczyną — przynajmniej ja tak myślałem i sądzę, że tak uważał Holbrook. Och, czemuż zabrał się z tego świata, nim zdążyłem wrócić i podziękować mu za dobroć, okazywaną temu małemu nicponiowi, jakim wówczas byłem. A myśl o tym, że zapadłaś mu w serce, Matty, nasunęła mi się po raz pierwszy, gdy na wszystkich naszych wyprawach na ryby mówiliśmy tylko o Matty i o Matty. O, ta biedna Debora! Jakież kazanie wygłosiła mi jednego dnia za to, że zaprosiłem go na obiad, a ona właśnie widziała w mieście powóz Arleyów i przypuszczała, że milady może nas odwiedzić. Tak, wiele już minęło lat, więcej niż połowa życia, a wydaje się, że to było wczoraj. Nie znałem nikogo

innego, kogo bym wolał mieć za szwagra. Mu-siałaś źle rozegrać karty, moja mała Matty, może zabrakło ci brata jako pośrednika, moja mała — dodał wyciągając rękę do siostry, leżącej na sofie. — No, cóż to? Drzysz cała, Matty, przy tym otwartym oknie. Mary, zamknij je natychmiast.

Zamknęłam je, a potem pochyliłam się, żeby pocałować pannę Matty i zobaczyć, czy rzeczywiście zziębła. Chwyła mnie za rękę i uściśnęła mocno, ale chyba nieświadomie — a już po chwili mówiła do nas zwykłym tonem i rozpraszała nasz niepokój uśmiechem, chociaż ulegle poddała się naszym zaleceniom, położyła się do łóżka i wychyliła szklanę grzanego wina mocno rozcieńczonego wodą. Nazajutrz wyjechałam z Cranford, ale przed wyjazdem stwierdziłam, że wszystkie skutki otwartego okna już przeszły. W ostatnich tygodniach mojego pobytu dopilnowałam, by przeprowadzono większość zmian, koniecznych w domu i gospodarstwie. Sklep stał się znowu jadalnią, puste rozbrzmiewające echem pokoje zostały umeblowane aż do samego poddasza.

Był projekt, by urządzić Martę i Jema w innym domu, ale panna Matty nie chciała o tym słyszeć. Prawdę mówiąc nigdy nie widziałam jej tak poruszonej, jak wtedy, gdy panna Pole doradzała to jako najlepsze rozwiązanie. Jak długo Marta zechce pozostać z panną Matty, ona będzie szczęśliwa, mając ją przy sobie, a owszem, i Jema również, jest to człowiek, którego bardzo jest miło mieć w domu, bo się go nie widuje od początku do końca tygodnia. Co się zaś tyczy ewentualnych dzieci, to jeżeli okażą się tak miłymi maleństwami, jak jej chrzestna córka, Matylda, nie ma nic przeciw temu, żeby było ich dużo — jeśli Marta tego zechce. Co więcej, następna córka miała się nazywać Debora — na tę kolejność panna Matty niechętnie ustąpiła wobec zdecydowanego upierania się Marty, że jej pierworodna ma nosić imię Matylda. Więc panna Pole musiała ustąpić i ściszej głoś powiedziała mi, że skoro państwo Hearn mają nadal mieszkać w tym samym domu z panną Matty, z pewnością postąpiliśmy słusznie, najmując do pomocy siostrzenicę Marty.

Pozostawiłam pannę Matty i pana Petera szczęśliwych i spokojnych, a

współczujące serce jednej z tych osób i przyjazna towarzyska natura drugiej miały już tylko jeden powód do niezadowolenia, a mianowicie ów nieszczęsny zatarg między panią Jamieson i plebejskimi Hogginsami. Kiedyś żartem przepowiedziałam, że trwać on będzie tylko do chwili, gdy pani Jamieson albo pan Mulliner zachorują, bo wtedy jak najchętniej zobaczą w panu Hogginsie przyjaciela, ale pannie Matty nie podobało się, że tak lekkomyślnie mówię o chorobie, a nim rok dobiegł końca, wszystko zostało załagodzone w znacznie przyjemniejszy sposób.

Jednego październikowego dnia otrzymałam dwa listy z Cranford. Zarówno panna Pole, jak panna Matty prosiły, żebym przyjechała spotkać się z państwem Gordon, którzy zdrowi i cali powrócili do Anglii z dwojgiem swych prawie dorosłych dzieci. Kochana Jessie Brown zachowała swoją dawną, dobrą naturę, choć zmieniła nazwisko i sferę i napisała, że wraz z majorem Gordonem spodziewa się zawitać do Cranford czternastego, prosi więc, aby ją przypomnieć pani Jamieson (wymienionej na początku ze względu na jej wysoką pozycję), pannie Pole i pannie Matty — czyż mogłaby kiedykolwiek zapomnieć o ich dobroci, okazanej jej biednemu ojcu i siostrze? — pani Forrester, panu Hogginsowi (tu znowu następowała wzmianka o jego dobroci, wyświadczonej przed laty osobom już nieżyjącym), jego świeżo poślubionej żonie, którą pani Gordon pragnie poznać i jako panią Hoggins, i jako dawną jeszcze ze Szkocji znajomą swego męża. Jednym słowem, wymieniła wszystkich, od pastora — który został mianowany pastorem w Cranford w okresie między śmiercią kapitana i małżeństwem panny Jessie, a teraz udzielał doktorostwu ślubu — aż do panny Barker. Wszyscy zostali zaproszeni na obiad, wszyscy z wyjątkiem pani Fitz-Adam, która zamieszkała tu już po wyjeździe panny Jessie Brown i która straciła humor z powodu tego pominięcia. Zastanawiano się, dlaczego panna Betsy Barker znalazła się na tej honorowej liście, ale później, jak pisała panna Pole, przypomniano sobie, że biedny kapitan wychowywał swoje córki w lekceważeniu subtelnych i wytwornych stron życia, i przez pamięć o nim

zapomniałyśmy o dumie. A pani Jamieson potraktowała to nawet jako komplement, bo stawiało to pannę Betsy (jej dawną pokojówkę!) w równym rzędzie z „tymi Hogginsami”.

Ale kiedy przyjechałam do Cranford, nic jeszcze nie było wiadomo o intencjach pani Jamieson: czy czcigodna lady pójdzie, czy też nie zechce? Pan Peter twierdził, że powinna pójść i pójdzie, panna Pole potrząsała głową z powątpiewaniem. Ale pan Peter był człowiekiem pomysłowym. Po pierwsze, nakłonił pannę Matty, żeby napisała do pani Gordon, doniosła jej o istnieniu pani Fitz-Adam i poprosiła, aby ta dobra, serdeczna i szlachetna osoba również otrzymała to miłe zaproszenie. Odpowiedź nadeszła odwrotną pocztą, z uprzejmą kartką do pani Fitz-Adam i z prośbą, by panna Matty doręczyła ją osobiście i wytłumaczyła poprzednie jej pominięcie. Pani Fitz-Adam była bardzo zadowolona i kilkakrotnie dziękowała pannie Matty. Pan Peter zapowiedział: — Panią Jamieson zostawcie mnie. — Tak też zrobiliśmy, tym bardziej, że nie wiedziałyśmy absolutnie, w jaki sposób mogłyśmy zmienić jej postanowienie, jeżeli już zapadło.

Nie wiedziałam ani też panna Matty nie wiedziała, jak sprawy stoją, dopóki panna Pole, w przeddzień przyjazdu pani Gordon, nie zapytała mnie, czy według mego zdania między panią Jamieson i panem Jenkynsem zawiązuje się nic porozumienia o charakterze matrymonialnym, bo pani Jamieson rzeczywiście wybiera się do „George'a”. Posłała tam Mullinera z życzeniem, żeby przy najwygodniejszym fotelu postawiono stołeczek pod nogi, bo zamierza przybyć, a wie, że mają tam bardzo wysokie fotele. Panna Pole posłyszała tę nowinę i na jej podstawie domyślała się najróżniejszych rzeczy, co budziło w niej jeszcze większy żal.

— Jeśli pan Peter się ożeni, co czeka kochaną, biedną pannę Matty? I to z panią Jamieson, właśnie z nią, spośród wszystkich innych!

Panna Pole zdawała się sądzić, że wybór innej spośród pań kranfordzkich lepiej by świadczył o jego guście, i przypuszczam, że miała na myśli którąś z pań

jeszcze nie zamezną, bo powtarzała: „Co za brak delikatności myśleć o takich sprawach, gdy się jest wdową!”

Kiedy wróciłam do domu panny Matty, i mnie także zaczęło się wydawać, że może pan Peter istotnie myśli o poślubieniu pani Jamieson, i czułam się z tego powodu równie nieszczęśliwa, jak panna Pole. Trzymał w ręku kontrolną odbitkę wielkiego plakatu, „Signor Brunoni, magik władcy Delhi, Radży Oude i Wielkiego Lamy Tybetu” itd., itd., „wystąpi w Cranford tylko jeden raz”, mianowicie nazajutrz. Panna Matty, rozpromieniona, pokazywała mi list od państwa Gordon, w którym obiecywali pozostać na tym przedstawieniu, co według słów panny Matty było wyłącznym dziełem jej brata. On napisał do Signora zapraszając go i miał zamiar pokryć wszystkie koszty. Bilety miały być rozesłane gratis do tylu osób, ile mogło się pomieścić w salce. Pokrótce mówiąc, pannę Matty plan ten oczarował i powiedziała, że nazajutrz Cranford będzie jej przypominać Preston Guild, gdzie kiedyś była w młodości. Wczesny obiad u „George'a” z kochanymi Gordonami, a wieczorem występ Signora w Sali Zebrań. Co do mnie, widziałam tylko te złowieszcze słowa: „Pod patronatem Czcigodnej Pani Jamieson”. Ona więc została wybrana, aby patronować tej rozrywce pana Jenkynsa, a kto wie, czy nie zamierza zająć w jego sercu miejsca mojej drogiej panny Matty i życie jej uczynić znowu samotnym. Myśl o dniu jutrzejszym stała mi się przykra, a każda niewinna aluzja panny Matty do spodziewanych przyjemności powiększała moje strapienie.

Tak więc gniewna i zdenerwowana, wyolbrzymiając każdy irytujący mnie drobiazg, doczekałam momentu, kiedy zebraliśmy się wszyscy w wielkim salonie „George'a”. Major i pani Gordon, ładniutka Flora i młody Ludwik byli bardzo weseli, mili i przyjaźni, ale ja niewiele mogłam im poświęcić uwagi, tak mnie pochłaniało obserwowanie pana Jenkynsa, a spostrzegłam, że i panna Pole jest tym samym zajęta. Nigdy przedtem nie widziałam pani Jamieson tak poruszonej i ożywionej. Na twarzy jej malowało się wielkie zainteresowanie tym, co mówi pan Peter. Przynęła się bliżej, aby słuchać. Doznałam wielkiej ulgi

przekonawszy się, że jego słowa nie są słowami miłości, ale na przekór swej poważnej minie stroi żarty, jak ongiś. Opowiadał jej o swych podróżach po Indiach i opisywał nadzwyczajną wysokość gór Himalajskich. Coraz to podawał jakiś szczegół świadczący o ich ogromie, a każdy następny był coraz bardziej niedorzeczny, ale pani Jamieson przyjmowała wszystko w dobrej wierze. Myślę, że potrzeba było silnych bodźców, aby ją wyrwać z apatii. Pan Peter uwieńczył swoje opowiadanie stwierdzeniem, że oczywiście na tych wysokościach nie można znaleźć żadnych zwierząt, jakie przebywają w niższych rejonach, zwierzyna łowna — wszystko było tu odmienne. Jednego dnia strzelił do jakiegoś fruującego stworzenia i kiedy spadło, stwierdził ku wielkiemu swemu przerażeniu, że zabił cherubina! Pan Peter w tym momencie napotkał mój wzrok i mrugnął do mnie tak figlarnie, że od tej chwili nie miałam już wątpliwości, że nie myśli o pani Jamieson jako o przyszłej żonie. Ona jednak wydawała się skłopotana.

— Ależ, drogi panie, zabicie cherubina... czy pan nie myśli... obawiam się, że to było świętokradztwo!

Twarz jego natychmiast spoważniała, robił wrażenie wstrząśniętego tym sądem, z którym — jak powiedział zupełnie zgodnie z prawdą — spotkał się po raz pierwszy w życiu. Ale przecież pani Jamieson musi wziąć pod uwagę, że przez długie lata żył pośród dzikusów, z których wszyscy byli poganami, a obawia się, że część z nich to nawet kompletni dysydenci. Potem, widząc, że zbliża się panna Matty, pośpiesznie zmienił temat rozmowy, a po chwili zwrócił się ku mnie ze słowami:

— Nie oburzaj się, rozsądna mała Mary, tymi moimi cudownymi historiami. Pani Jamieson to łatwowierny słuchacz, a poza tym chcę ją sobie zjednać, a pierwszy krok ku temu, to ją ożywić. Przekupiłem ją, prosząc, by pozwoliła podać swoje nazwisko jako patronki mojego biednego iluzjonisty na dzisiejszym występie, i chcę, żeby nie miała czasu na podjęcie sporu z Hogginsami, którzy właśnie wchodzą. Pragnę, żeby wszyscy żyli ze sobą w zgodzie, bo Matty bardzo

martwią te kłótnie. Doprowadzę do tego stopniowo, a ty nie miej tak zdumionej miny. Zamierzam wejść dziś do Sali Zebrań mając u jednego boku panią Jamieson, a u drugiego milady, panią Hoggins. Zobaczysz, czy tego nie osiągnę.

No i w jakiś sposób to osiągnął i udało mu się wciągnąć je obie do rozmowy. Major i pani Gordon pomagali w tym zbożnym dziele z całkowitą nieświadomością faktu, że istniały jakieś kwasy między mieszkańcami Cranford.

Od tej pory w społeczności kranfordzkiej panują dawne przyjazne stosunki, a ja cieszę się z tego ze względu na pannę Matty, która lubi spokój i wzajemną życzliwość między ludźmi. Wszyscy kochamy pannę Matty i myślę, że wszyscy stajemy się lepsi, gdy ona jest w pobliżu.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Rozdział I	<i>Nasza społeczność</i>
Rozdział II	<i>Kapitan</i>
Rozdział III	<i>Stara miłość</i>
Rozdział IV	<i>Wizyta u starego kawalera</i>
Rozdział V	<i>Stare listy</i>
Rozdział VI	<i>Biedny Peter</i>
Rozdział VII	<i>Wizyta</i>
Rozdział VIII	<i>Milady</i>
Rozdział IX	<i>Signor Brunoni</i>
Rozdział X	<i>Panika</i>
Rozdział XI	<i>Samuel Brown</i>
Rozdział XII	<i>Zaręczyny</i>
Rozdział XIII	<i>Wstrzymanie wypłaty</i>
Rozdział XIV	<i>Przyjaciele w potrzebie</i>
Rozdział XV	<i>Szczęśliwy powrót</i>
Rozdział XVI	<i>Pokój w Cranford</i>